CHAOS PODATKOWEJ REWOLUCJI

Profesor Ancyparowicz: Polski Ład umacnia „janosikową” politykę

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 8,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 03/459 17–23 STYCZNIA 2022

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

Ziemkiewicz o PiS, który pada ofiarą własnej propagandy

CO ZROBI PUTIN? CO ZROBI BIDEN? ANALIZA PO SPOTKANIU AMERYKANÓW I ROSJAN W GENEWIE

Feministki nienawidzą kobiet

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 54 000 egzemplarzy

„DZIADY” W SZAMBIE

Artystyczna lewica odrzuca dziedzictwo Mickiewicza. Skandal w krakowskim Teatrze im. J. Słowackiego

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

ROZMOWA Z BOHATERKĄ POWSTANIA WARSZAWSKIEGO!

Andrzej Brzeziecki – **Żychoń: superszpieg II RP**
Tomasz Stańczyk – **Tragedia majora Sosnowskiego**
Arkadiusz Karbowiak – **Inwazja w Zatoce Świń**
Sławomir Cenckiewicz – **LWP przeciwko narodowi**
Mikołaj Iwanow – **Feliks Kon: czerwony renegat**
Piotr Zychowicz – **Zbrodnia US Navy na Pacyfiku**
Sławomir Koper – **Tajemnica DNA Śmigłego-Rydza**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl c9911e100d

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Na czym polega inna droga?

Kiedy przed rokiem pisałem, że w Polsce musi zacząć się debata nad korzyściami przynależności do Unii Europejskiej, natychmiast podniósł się chór potępień. Jak to możliwe? – słyszałem. Nasze członkostwo w Unii nie podlega i nie może podlegać dyskusji. To jest absolutny i nie do zakwestionowania dogmat, a kto ma wątpliwości, ten służy obcym interesom. Jeszcze całkiem niedawno, żeby uciąć wszelkie możliwe podejrzenia i wątpliwości, podobne stanowisko przyjął PiS.

Wszystkie te wyznania wierności pomijały kluczowe pytanie: Co się stanie w sytuacji, w której koszty przynależności do Unii będą coraz bardziej rosły? Co zrobi Warszawa, jeśli Bruksela dalej będzie stawiać, tak jak obecnie, Polskę pod ścianą? Na te pytania nie sposób uzyskać odpowiedzi. Wiadomo jedynie, że przy pani Unii stać będziemy na zawsze i że niepodległości nie oddamy. W jaki jednak sposób można obie rzeczy pogodzić? To się jakoś okaże. Musimy być w Unii, bo musimy, bo to się nam musi opłacać. Musimy, bo musimy, bo nie wolno nie musieć i nie chcieć.

Na szczęście w ciągu kilku ostatnich dni pojawiły się na horyzoncie pewne znaki zmiany. Mam tu na myśli wyjątkowo trzeźwy głos wicepremiera Jacka Sasina (szkoda jedynie, że tak późno), który powiedział, że wprowadzenie w Polsce rozwiązań wynikających z unijnego pakietu „Fit for 55" jest nie do wykonania. Słusznie. Przypomnę, że pakiet klimatyczny przewiduje podwyższenie celu redukcji emisji gazów cieplarnianych w Unii Europejskiej do 2030 r. z 40 do 55 proc. w zestawieniu z poziomem z 1990 r. Dla Polski musiałoby się to skończyć katastrofą. Dokładnie pokazują to wyliczenia analityków Banku Pekao. Według nich spełnienie programu przygotowanego przez Fransa Timmermansa może kosztować Polskę aż 527,5 mld euro, czyli 2,5 bln zł.

„Wprowadzenie tych rozwiązań jest nie do udźwignięcia przez budżet Polski. 256 tys. zł na czteroosobową rodzinę – taki byłby koszt wprowadzenia tego pakietu. To spowodowałoby ogromne rozwarstwienia społeczne" – mówił wicepremier Sasin. I dodał: „W takim tempie, które proponuje Bruksela, osiągnięcie redukcji CO_2 o 55 proc. do 2030 r. jest po prostu niewykonalne". To wszystko racja. Wreszcie ważny przedstawiciel rządu dokonał realistycznej oceny kosztów unijnego projektu.

W tej samej rozmowie pierwszy raz pojawiła się najważniejsza kwestia – pytanie o przyszłość. Co będzie, jeśli Unia przy projekcie będzie się upierać? Wicepremier Sasin: „My, jako rząd, nie możemy się na to zgodzić, dlatego będziemy przekonywać naszych partnerów w UE, żeby porzucić te propozycje. Gdyby to się nie udało, to musimy bardzo poważnie rozważyć, czy jesteśmy jako kraj, jako społeczeństwo, gotowi te obciążenia dźwigać. Być może powinniśmy tutaj wybrać inną drogę". I to jest właśnie najciekawsze: na czym ma polegać ta inna droga?

Właściwie możliwości są trzy. Pierwsza to przekonanie Brukseli, że „rewolucyjny", „śmiały" i „odważny" projekt jest dla Polski nie do przyjęcia. Cóż, problem polega na tym, że podpisał się pod nim obecny premier. Tak negocjacje w grudniu 2020 r. opisywały media: „Mateusz Morawiecki zrezygnował z drugiego weta. Cel klimatyczny zaakceptowany. UE obniży emisję CO_2 o 55 proc. do 2030 r. Polska po ciężkich negocjacjach zaakceptowała ten ambitny cel". Skoro zaakceptowała, to jak ma się z tego obecnie wycofać? Nie bardzo wiem, jak to możliwe? Niewątpliwie ten podpis i wycofanie weta bardzo ograniczyły nasze możliwości.

Jeśli przekonywanie nie poskutkuje, to co? Możliwe są dwa inne rozwiązania. Można liczyć na przeczekanie. Można mieć nadzieję na to, że Unia nie będzie w stanie wymusić wprowadzenia rozwiązań. Może pojawią się inne problemy? Gra na zwłokę, odkładanie – to jest jakaś opcja. Tyle że bardzo ryzykowna. Wyraźnie widać, że Bruksela postanowiła dokręcić śrubę i wykorzystuje obecny kryzys pandemiczny do wprowadzenia w życie projektów federacyjnych. Ekologizm to jeden z kamieni węgielnych nowej ideologii. A tam, gdzie chodzi o ideologię – co pokazuje sprawa reformy sprawiedliwości – Unia nie chce się cofać nawet o krok.

Pozostaje zatem trzecie wyjście, najbardziej kontrowersyjne: poważna refleksja nad skutkami opuszczenia Unii. Dokonanie rachunku zysków i strat. Zastanowienie się, czy może „inna droga" jednak Polsce się nie opłaca. Tylko żeby taką refleksję podjąć, należałby uwolnić się od bariery mentalnej. Na razie polskie elity nie są na to gotowe. ©℗

eprasa.pl c9911e100d

TEMAT TYGODNIA

12 ELŻBIETA MORAWIEC
BARBARZYŃCA W KATEDRZE
Kleczewska wyrwała „Dziadom" serce

15 KRZYSZTOF MASŁOŃ
TRAKTAT O GLISTACH

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 JACEK BARTOSIAK I PIOTR ZYCHOWICZ
POLSKI MŁOTEK – ROSYJSKI GWÓŹDŹ
Fragment książki „Nadchodzi III wojna światowa"

50 JAN FIEDORCZUK
CHWIEJE SIĘ LEGENDA TUSKA

HISTORIA

52 MAREK KLECEL
ZAGŁADA WARSZAWY
Stolica Polski miała się nie podnieść

55 SEBASTIAN LIGARSKI
USTAWODAWCZA FARSA

ŚWIAT

58 JACEK PRZYBYLSKI
ROSJA USŁYSZAŁA TWARDE „NIET"
Poważne ryzyko nowej wojny w Europie

62 TERESA STYLIŃSKA
SZCZĘŚLIWA GWIAZDA MARIA DRAGHIEGO

64 ROZMOWA Z BALLI MARZEC
REŻIM OD 30 LAT ZWALCZA OPOZYCJĘ

66 PIOTR WŁOCZYK
CORAZ NIŻSZE NOTOWANIA

KRAJ

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NIEMOTA WŁADZY
PiS otoczył się klakierami

20 KAMILA BARANOWSKA
TUSK NA WOJNIE Z LEWICĄ

22 PIOTR SEMKA
OLEKSY – POSTKOMUNISTA BEZ SUKCESJI

24 TOMASZ ROWIŃSKI
POWRÓT WATYKAŃSKIEJ OSTPOLITIK

26 ROZMOWA Z AGNIESZKĄ PAWLIK-REGULSKĄ
NAUCZYCIELE JUŻ DOŚWIADCZAJĄ SEGREGACJI

28 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
CENA DOBROCZYNNOŚCI

30 ZUZANNA DĄBROWSKA
FEMINISTKI NIENAWIDZĄ KOBIET

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
MASKOTKI Z BANDYTÓW

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
PĘKNIĘTY GLOB
Walka o dominację w biznesie filmowym

36 ROZMOWA Z PIOTREM KITRASIEWICZEM
STRACH I WAZELINA

EKONOMIA

68 ŁUKASZ WARZECHA
TO NIE ŁAD
Podatkowe zamieszanie

72 ROZMOWA Z PROF. GRAŻYNĄ ANCYPAROWICZ
POLSKI ŁAD UMACNIA „JANOSIKOWĄ" POLITYKĘ SPOŁECZNĄ

FELIETONY:

ZIEMKIEWICZ, JUREK (6), GMYZ, GOCIEK (7), SEMKA (8), KOWALCZUK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (49), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (77), KARWELIS, POSPIESZALSKI (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl c9911e100d

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Murem za panią kurator

Przykro mi było słuchać wypowiedzi polityków opcji, na którą głosowałam, którzy nawoływali do dymisji pani kurator Barbary Nowak, która głośno powiedziała o oczywistej oczywistości – że działanie szczepionek przeciw COVID nie jest dogłębnie zbadane. Cieszę się, że wygrał rozsądek, ale musimy być gotowi na więcej takich bitew i w żadnej z nich nie ustępować. **K.C.**

Sprostowanie

W związku z opublikowaniem w dniu 10 stycznia 2022 r. artykułu pt. „Niemiecka obstrukcja" autorstwa Tomasza Rowińskiego („Do Rzeczy") Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego informuje, że inicjatywa wspólnego apelu do obywateli niemieckich o zwrot zagrabionych dóbr kultury podczas drugiej wojny światowej nie należała do minister kultury Moniki Grütters. Propozycja wspólnego listu ministrów kultury została wysunięta przez wicepremiera Piotra Glińskiego.

Anna Pawłowska-Pojawa, dyrektor Centrum Informacyjnego, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem przyjęliśmy informację o śmierci

ŚP.

Ireneusza Kratiuka

Taty

naszego redakcyjnego Szefa i Kolegi

Promienny Chryste, Boski Zbawicielu,
jedyne światło, które nie zna zmierzchu,
bądź dla tej duszy wiecznym
odpocznieniem, pozwól oglądać chwały Twej majestat.

Requiem aeternam dona ei, Domine,
et lux perpetua luceat eis.
Requiescat in pace.
Amen.

Redakcja portalu PCh24.pl

Dagny i Tomaszowi Sakiewiczom

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci Ojca i Teścia

ŚP.

Ryszarda Antoniego Gitisa

składają przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy"

Łącząc się w żałobie, składamy

Krystianowi Kratiukowi

wyrazy głębokiego żalu i smutku z powodu śmierci

ŚP. ***Ojca***

przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy"

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Brukseła)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Żygadło**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (kierownik), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczyk-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Na podstawie dagerotypu z 1842 r., domena publiczna, Adobe Stock, oprac. graf. Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664
ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 54 000 egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl c9911e100d

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Precedens debila

Literat Jakub Żulczyk (w niektórych mediach nazywany pisarzem – mylenie tych dwóch pojęć jest niestety nagminnie popełnianym błędem językowym) w internetowym wpisie nazwał prezydenta Andrzeja Dudę „debilem". Ponieważ ktoś – osoba prywatna, której danych nie ujawniono – wystosował w tej sprawie do prokuratury oficjalne „zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa", nie mogła ona zgodnie z prawem zrobić nic innego, niż wystąpić z oskarżeniem. Po ponad roku postępowania, w ubiegłym tygodniu, sąd postępowanie umorzył. A może lepiej napisać, manierą wprowadzoną przez TVN24, że umorzył je pan Tomasz Grochowicz. Fakt, że sprawa trafiła się właśnie temu, a nie innemu panu w todze, może bowiem mieć znaczenie, zważywszy zarówno na decyzje, które podejmował on wcześniej w sprawie pań Lempart i Suchanow, jak i na to, że Żulczyka uniewinnił, korzystając z formuły o „znikomej szkodliwości społecznej", który to relikt prawa PRL-owskiego z zasady służy do uzasadniania wyroków merytorycznie uzasadnić się niedających.

Fakt, że sędzia Tomasz Grochowicz nie posunął się tak daleko jak sędzia Przemysław Grajzer z Poznania (który uniewinnił działaczkę KOD krzyczącą „j…ć Dudę" argumentem, że prezydent sobie na takie okrzyki zasłużył), tylko schował się za formułą „znikomej szkodliwości", niesie jednak ciekawe implikacje. Jak wiemy, z tego samego paragrafu o obrazie głowy państwa skazano kiedyś (i to na ponad rok więzienia!) śp. Andrzeja Leppera, skazano też Wojciecha Cejrowskiego. Skoro ich zniewagi warte były kary, a zniewaga literata Żulczyka nie, bo miała „znikome" znaczenie, to co wynika z orzecznictwa sądów RP? Że aby skutecznie znieważyć prezydenta, trzeba nie tylko go zelżyć, ale być przy tym Kimś, a nie Byle Kim. I że literat Żulczyk, decyzją sędziego Grochowicza, zaliczony został do tej drugiej grupy.

Najśmieszniejsze, że literat Żulczyk wyraźnie nie zrozumiał mechanizmu swego uniewinnienia i publicznie się z niego cieszy. Co dowodzi, że jeśli któryś z bohaterów tej historyjki jest debilem, to na pewno nie prezydent Duda. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Antysemici z ducha

Katoidioci, żydokretyni, islamodebile – używanie któregokolwiek z podobnych określeń staje się nieuchronnie legitymacją dla pozostałych. W każdym cywilizowanym społeczeństwie, przyjmującym zasadę powszechności praw (nawet jeśli nie popada ono w – zakazujący wyróżniania czegokolwiek – ekstremizm równości), aprobata dla manifestacji pogardy i złości musi prostą drogą prowadzić do ich rozpowszechniania, do roszczenia ich legalności, a więc do rozkładu prawa i społecznej solidarności. Właśnie w imię tolerancji i praw przysługujących każdemu. W tym sensie „tolerancja" dla antysemityzmu ma funkcje antykatolickie, tak jak tolerancja dla nienawiści antykatolickiej ma funkcje antysemickie. Niezależnie od zapewnień i intencji swych promotorów, którzy mogą najgoręcej piętnować antysemityzm albo potępiać nienawiść antykatolicką.

Napięcie między (społecznym) współżyciem a (indywidualnym) wy-życiem znakomicie swego czasu opisał Szlomo Goren, aszkenazyjski naczelny rabin Izraela, nawiązując do sporu, który od czasów machabejskich kształtuje naszą cywilizację: „Dwie gigantyczne kultury starły się w tych konfliktach: kultura żydowska, ucieleśniająca duchowość, najwyższą dobroć, moralność i świat, który ma przyjść, oraz hellenizm, który popiera siłę, piękno, hedonizm i materializm doczesnego świata". Właśnie dlatego Pius XI uczył, że wszyscy jesteśmy „z ducha Semitami".

Kiedy zaś czytam teksty „Wyborczej", w których rozwiązłość jest jeśli nie najwyższą, to co najmniej podstawową formą wolności, w których „aborcja jest OK", gdy widzę wściekłość, którą wywołują zakazy moralne i społeczne, gdy patrzę na pogardę dla czystości seksualnej, nabieram coraz głębszego przekonania, że niezależnie od tego, ile deklaracji wygłoszą przeciw antysemityzmowi – sami na końcu okażą się „z ducha antysemitami". ©℗

eprasa.pl c9911e100d

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Smuteczek. Pandemia ciężko dotknęła rząd. Nie dlatego, że wszyscy chorują. Ale dlatego, że mogą zachorować. Z powodu nieustannego stanu wyjątkowego. Jak nie urok, to srebrne wesele i zajęć jest od groma, więc kolejni ministrowie opóźniają przyjęcie boostera. Znaczy trzeciej dawki szczepionki. Dotyczy to nawet pewnego wicepremiera. Oj, jak się nie poprawicie, to wam Joanna Lichocka da do wiwatu!

Doktor Włodzimierz Bodnar – ten od leczenia amantadyną – opowiada z kolei, że z powodu COVID-19 założy partię polityczną. Jej celem ma być walka z pandemią. Proponowana nazwa „Wspólnie dla Zdrowia" wydaje nam się bardzo mało sexy. Mamy własną propozycję: Partia Pandemokratyczna.

Tymczasem w Sejmie. Ludzie naiwni sądzą, że aby być w parlamencie większością rządzącą, trzeba mieć 231 głosów. Są w mylnym błędzie. Jak dowodzą ostatnie głosowania, opozycja jest tak zjednoczona i zmobilizowana, że rządowi wystarczy 220 głosów, a czasem mniej.

Apropos głosów – ludziska ekscytują się tym, co w Sejmie czy w Senacie, a tymczasem naprawdę ważne rzeczy dzieją się gdzie indziej. Szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński jednego dnia w zeszłym tygodniu wywalił wszystkich pełnomocników okręgów wyborczych w PiS. Dosłownie wszystkich. Poseł, nie poseł; baron, nie baron; nabab, nie nabab. A na ich miejsce powołał nowych, często 30-letnich, którzy nie będą nigdzie kandydować. No i kto tu się lepiej przygotowuje do wyborów?

W minionym tygodniu z hukiem ogłoszono także deal Orlenu z węgierskim MOL i arabskim Saudi Aramco. Nie zdziwiło nas, że z hukiem, bo to w naszej części Europy transakcja stulecia. Musimy jednak zdradzić, że o tym dealu wiedzieliśmy dzień wcześniej. Był on bowiem bardzo hucznie świętowany.

Otóż nasze wiewiórki w hotelu Regent dostrzegły wiele ciekawych postaci. Rej wiódł niejaki Adam Hofman. Ale bohaterem wieczoru był Robert Pietryszyn. Większość myśli: Kim, do diaska, jest Pietryszyn? Odpowiadamy: Był kiedyś z nadania KGHM prezesem Zagłębia Lubin. Uwaga: zapamiętajcie to nazwisko! Niedługo będzie prawie tak rozpoznawalny jak Obajtek. Wiele bowiem wskazuje, że to właśnie on będzie szefem MOL Polska. Jeśli ktoś zapyta, po co Adam Hofman otwierał ponad rok temu przedstawicielstwo swojej firmy R4S na Węgrzech, to tłumaczymy: Właśnie po to.

Była jednak jedna postać na tym raucie, której obecność zaskoczyła nasze wiewiórki. Mariusz Chłopik. Nazwisko – przyznajcie – odrobinę plebejskie. Od razu zaznaczmy – nie jest to przygana. Panowie G. na drzewie genealogicznym mają samych chamów, a co najwyżej chudopachołków. Chłopik zresztą też. Ale Chłopik jest Radziwiłłów zięciem. A konkretnie jednego, czyli wojewody mazowieckiego. Konstantego. Od razu dodajmy, że nie z tego jego siła wynika. Ma też tytuł tajnego radcy dworu. No dobra. Jajcowaliśmy. Jest doradcą Mateusza.

Apropos świętowania. Rafciowi Trzaskowskiemu z okazji 50. urodzin (17 stycznia) życzymy spełnienia wszystkich marzeń. Ale nie tych obecnych, lecz tych z czasów, gdy miał osiem lat. Mało kto pamięta, że Rafcio marzył wtedy o karierze filmowej i wystąpił w serialu „Nasze podwórko" (1980), którego scenariusz napisał Tomasz Jastrun. No więc uważamy, że nie jest za późno. Z dwojga złego wolimy, żeby Rafcio szkodził polskiemu kinu niż Warszawie, zwłaszcza że polskiemu kinu mało co jest w stanie zaszkodzić.

Przy okazji – smuteczek. Pięćdziesięciolatek Rafcio nie spełni swego największego marzenia. Donald Tusk jako 50-latek został szefem rządu. Rafciowi, jak wiadomo, to nie grozi.

Dla tych, którzy uważają, że Rafcio Trzaskowski to młoda siła w polskiej polityce, mamy sole trzeźwiące. Otóż jest starszy niż Adam Bielan, Misio Kamiński, Zbigniew Girzyński, Marek Balt – długo by wymieniać. A w chwili, gdy mały Rafcio grał w serialu, Władysława Tygryska-Kamysza nie było jeszcze na świecie. Cóż, Trzaskowski to taki Kuba Wojewódzki polskiej polityki.

Ciąg dalszy świętowania. Z zainteresowaniem przyjęliśmy sugestie, jakoby Bartłomiej Sienkiewicz znajdował się podczas debaty sejmowej pod wpływem alkoholu. Tak się bowiem składa, że pamiętamy, co mówili jego współpracownicy, gdy był jeszcze, za rządów PeŁo, ministrem spraw wewnętrznych. Otóż narzekali, że Bart pojawia się w robocie koło południa, ponieważ odsypia wieczorne, hm..., jakby to powiedzieć, godziny namysłu nad sensem życia. To zamyka sprawę. W PeŁo nie ma dziś nikogo, z kim można poważnie się zastanawiać nad sensem życia, Bartłomiej musiał więc być trzeźwy.

Żegnamy Davida Sassolego, przewodniczącego europarlamentu, któremu zmarło się kilka dni przed upływem kadencji. Znaliśmy człowieka, w sumie równy był z niego chłop. Kłaniał się sekretarkom, zauważał nawet poślednich urzędników, mówił pierwszy „dzień dobry". Budził też naszą sympatię, gdyż zanim zaczął karierę, był zwykłym dziennikarzem. Nie mówiąc o tym, że jak kiedyś pewien polski europoseł przez pomyłkę podmienił z nim walizki na pasie bagażowym, to gonił go, śmiejąc się do rozpuku przez pół lotniska. Co nie jest łatwe, przyznacie. Śmiać się i gonić jednocześnie. ©℗

eprasa.pl c9911e100d

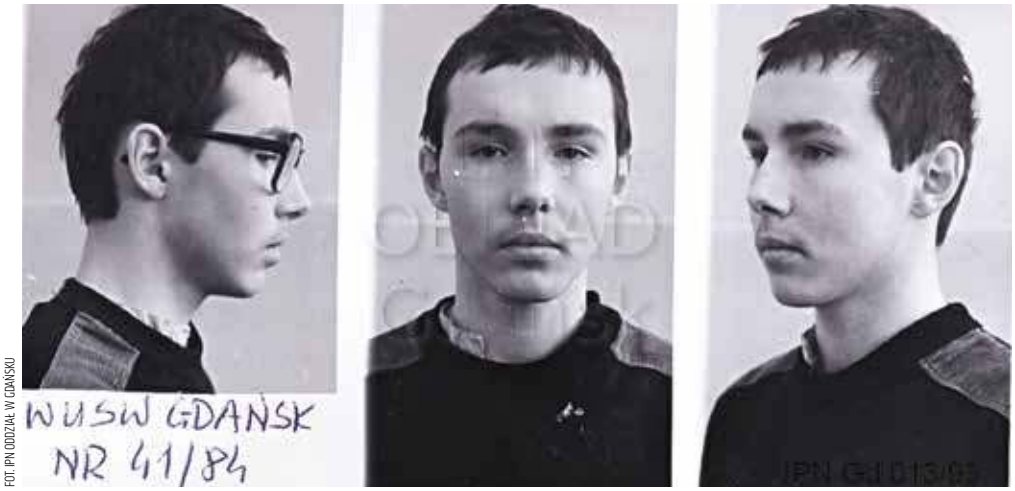

FOT. IPN ODDZIAŁ W GDAŃSKU

Po prostu Winek

Piotr Semka

11 stycznia w Gdańsku odbył się pogrzeb Winicjusza Załęskiego. Nie pozował na kombatanta, ale bez takich ludzi podziemia machina Solidarności nie mogłaby się toczyć tak sprawnie

Jego imię zawsze wzbudzało zdziwienie. Winicjusz Załęski, mój szkolny kolega z licealnej klasy III E, otrzymał imię kojarzące się z jednym z głównych bohaterów „Quo vadis". Gdy 5 marca 1984 r. dowiedzieliśmy się, że w jego mieszkaniu była rewizja, po której potem został zawieziony na przesłuchanie do prokuratora, byłem zaskoczony. Sam zajmowałem się w III LO w Gdańsku wydawaniem szkolnej gazetki podziemnej i zdawało mi się, że mniej więcej wiem, kto w mojej szkole konspiruje. Ale w tamtych czasach często nie było to oczywistością. Ludzie wchodzili w struktury podziemia dzięki znajomościom z kolegą z podstawówki czy z kimś z rodziny. Jeśli tylko nie było bezwzględnej potrzeby, to nikt nie dzielił się informacją o swoim zaangażowaniu w podziemie.

Winek, bo tak go nazywaliśmy, związał się z grupą Solidarność Młodych, w której działał m.in. Grzegorz Bierecki, późniejszy szef SKOK. Winicjusz zajmował się w tej strukturze drukarstwem. Tymczasem w moim liceum od jesieni 1983 r. trwała akcja w obronie krzyży w klasach szkolnych, które powieszono w czasie karnawału Solidarności w latach 1980–1981. Akcja, w ramach której aresztowano Winicjusza, dziwnym trafem zbiegła się z rozpoczęciem słynnego strajku w obronie krzyży w zespole szkół w miejscowości Miętne koło Garwolina. Winek był już wówczas chory na cukrzycę. Brak odpowiednich leków groził mu nawet śmiercią. Natychmiast zaczęliśmy akcję ulotkową i dokładnie informowaliśmy Radio Wolna Europa o losie Winicjusza. Szybko zderzyliśmy się z bardzo poważnym dylematem – typowym dla tamtych lat. Część przyjaciół Winka przekazywało sygnały, które słyszeć mieli rodzice Winka, że jeśli dojdzie do akcji protestacyjnych w jego obronie na terenie szkoły, to szanse na jego zwolnienie znacznie zmaleją. Nigdy nie zapomnę wizyty „negocjatora dobrej woli", którym był jeden z uczniów zaklinający mnie i Jacka Kurskiego, by nie organizować przerwy milczenia, bo zniweczy to rzekome starania w Warszawie w sprawie zwolnienia Winicjusza. Puściliśmy te apele mimo uszu, rozumowaliśmy dokładnie na odwrót. Im większy będzie hałas wokół uwięzienia Winka, tym bardziej cała sprawa będzie dla władzy niewygodna.

Z dużym współczuciem obserwowaliśmy, jak bezpieka chce złamać dziewczynę Winka, Jolę. Jej mieszkanie zostało wybebeszone przez ekipę esbeków, była śledzona w taki sposób, aby ją wyraźnie zastraszyć, kilkakrotnie ją przesłuchiwano. Jolka nie pękła i nie dała się wykorzystać przeciwko swojemu późniejszemu mężowi.

W obronie Winka doszło do jednego spontanicznego wiecu, który odbył się w szkolnej auli. Dosyć sprawnie udało się zwędzić klucze do auli z dyżurki przy wejściu. Pesymiści krakali, że przyjdzie niewiele osób. Ale moje liceum, „Topolówka", nie zawiodło. Aula pękała w szwach, a wicedyrektor szkoły dosyć mętnie tłumaczył się z pytań, dlaczego nie działa na rzecz zwolnienia naszego kolegi. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że dwoje przyjaciół Winicjusza, którzy przemawiali na wiecu i odczytali rezolucję w sprawie jego zwolnienia, zostało zatrzymanych. Paula Junka została zwolniona po 24 godzinach, ale drugi przemawiający, uczeń III E Robert Tomaszewski, trafił do więzienia na dłużej. W obronie Winicjusza udało się rozkręcić wielką akcję solidarnościową w wielu trójmiejskich liceach. Gdy usłyszeliśmy, że w trakcie konferencji rzecznika rządu PRL Jerzego Urbana padło pytanie o los Winka, zacząłem wierzyć, że władze mogą w końcu go puścić. I tak się stało. 30 marca Winek został zwolniony. Przemawiający na wiecu w jego obronie Robert Tomaszewski wyszedł dopiero dwa miesiące później. Winek działał dalej w podziemiu aż do upadku komuny.

11 stycznia odbył się jego pogrzeb w Gdańsku. Zdążył jeszcze otrzymać status poszkodowanego, ale nie otrzymał Krzyża Wolności Solidarności. Nigdy nie pozował na kombatanta i nigdy nie pchał się w pierwsze rzędy solidarnościowych imprez. A jednak bez takich szeregowych ludzi podziemia machina Solidarności nie mogłaby się toczyć tak sprawnie.

O Winku przypominałem sobie, gdy po wybuchu sporu o współpracę Lecha Wałęsy z SB jego obrońcy wskazywali, że nie można mieć żadnych pretensji o podpis Wałęsy na deklaracji współpracy złożony po zmiażdżeniu rewolty Grudnia '70. Winek miał w momencie aresztowania 17 lat. Mógł realnie obawiać się, że władze pozbawią go lekarstw, które były niezbędne do jego przeżycia. Raptem 10 miesięcy wcześniej milicja zakatowała na śmierć Grzegorza Przemyka. A jednak Winek nie uległ naciskom i wyszedł z aresztu z podniesionym czołem. Zmarł w wieku 55 lat. Niespodziewanie, na zawał serca.

Niech odpoczywa w spokoju. ©℗

eprasa.pl c9911e100d

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Nasza wina, nasza bardzo wielka wina

W sylwestra na głównym placu Mediolanu przed katedrą grupa kilkudziesięciu przybyszów z północnej Afryki dopuściła się kilku, jeśli nie kilkunastu ataków na kobiety na tle seksualnym. Kobiety, w tym dwie Niemki, zostały przy tym pobite i okradzione.

W świecie arabskim tego rodzaju delikty jako zjawisko społeczne doczekały się swojej nazwy – „taharrush gamea", dosłownie „molestowanie zbiorowe", i opisuje je szeroko Wikipedia. Termin używany jest w języku arabskim od 70 lat. Świat zachodni o tego rodzaju „obyczajach" dowiedział się najpóźniej w 2006 r., gdy młodzieńcy egipscy potraktowali w ten sposób kobiety w Kairze z okazji święta zakończenia ramadanu, a doświadczył w Kolonii w sylwestra 2016 r.

Informacja o wydarzeniach w Mediolanie przedzierała się do włoskich mediów z najwyższym trudem, zapewne za sprawą postępowych wyznawców kultu św. Migranta. Skrzętnie zamiatano pod dywan, że sprawcami ataków byli Arabowie. Poświadczał to zresztą filmik ilustrujący jeden z ataków, który ktoś wrzucił do sieci już dzień po sylwestrze. Pokazywały go wszystkie włoskie telewizje.

Co na to politycy? Postępówka Silvia Roggiani (lewicowa Partia Demokratyczna): „To przemoc i zachowania dzieci patriarchalnej kultury w NASZYM (sic!) społeczeństwie. Musimy kontynuować zdecydowaną akcję kulturową, rozpoczynając od szkół". Jej koleżanka partyjna Paola Bocci: „Niestety, kultura macho, nękania i zastraszania kobiet jest głęboko zakorzeniona wśród młodzieży. Musimy nauczać w szkołach wzajemnego respektu". Co na to hałaśliwe włoskie feministki? Nic.

Z kuriozalnego komentarza nawiedzonych niewiast można wyciągnąć dwa wykluczające się wnioski. Pierwszy, że sprawcami ataków byli młodzi Włosi, a wszystkiemu winne są włoskie patriarchalne społeczeństwo i system edukacji. Drugi, choć wyłącznie domyślny, jest taki, że włoskie społeczeństwo i państwo żałośnie zawiodły w wysiłkach integracji przybyszów. Policja schwytała 15 agresorów. Wszyscy jak jeden mąż z północnej Afryki. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl c9911e100d

FOT. PAWEŁ CROMADA

CO POKAŻE NATALIA

Natalia Siwiec pochwaliła się, że wreszcie kupiła wymarzony dom w Meksyku. Mówiła o tym od dawna, a teraz realizuje swoje marzenia. Trwa remont nowego domu celebrytki. – Jesteśmy jeszcze na placu budowy, jeszcze wszystko nie jest skończone, ale mamy materace, mamy na czym spać, mamy kuchnię, więc można przeżyć – opowiadała swoim fanom, po raz pierwszy pokazując zdjęcia z wnętrza domu i narzekając na spartańskie warunki, w których przyszło jej funkcjonować. Mimo to Natalia pełna jest, jak to ujęła, „cholernie pięknych" uczuć i cieszy się z nowego nabytku. – Bardzo dziękuję za wszystkie wiadomości, które od was dostajemy, i od razu odpowiem wam na pytanie, czy pokażemy, jak urządzamy dom: Oczywiście, że pokażemy – uspokoiła wszystkich fanów. Uf! Wy też odetchnęliście z ulgą?

PIESKIE ŻYCIE

FOT. ADOBE STOCK

Na trwających już kilka tygodni wakacjach w Tajlandii jest Małgorzata Rozenek-Majdan z rodziną. Niestety, okazało się, że Majdany wypoczywają w niepełnym składzie, bo w Polsce zostały ich cztery psy, które celebrytka określa mianem „gangu Majdana".

Małgorzata wyznała, że bardzo tęskni i codziennie rozmawia z nimi na wideoblogu. – Strasznie tęsknimy za gangiem Majdana. Dlatego codziennie rozmawiamy z nimi na Facetime – poinformowała, zamieszczając przy okazji screeny z pogawędki z jednym z czworonogów. Stwierdzenie, że show-biznes schodzi na psy, nabiera w tej sytuacji całkiem nowego znaczenia.

CZAS ODLOTÓW

Tymczasem Maryla Rodowicz ma powody do radości. Po trudnym i bolesnym rozwodzie, relacjonowanym przez plotkarskie media, piosenkarka weszła w nowy rok w dobrym nastroju. W święta TVP pokazała film dokumentalny o jej życiu, a teraz

FOT. PAWEŁ MURZYN/EAST NEWS

Maryla poinformowała, że trwają właśnie przygotowania do kolejnego dużego projektu dotyczącego jej kariery i życia. Będzie to musical! Gwiazda jest właśnie w Los Angeles, gdzie trwają przygotowania. „To już pewne! Trwają prace nad musicalem »Maryla«" – poinformowała na swoim Facebooku. „Jak wyobrażacie sobie ten musical? Które piosenki Maryli powinny do niego trafić waszym zdaniem? Piszcie w komentarzach. I niech muzyka gra..." – czytamy. Z grafiki promującej nowy musical można się dowiedzieć, że to „widowisko, o którym będzie mówił cały świat". A raczej wszechświat, skoro już o odlotach mowa.

WRESZCIE SUKCES!

Niejaka Magda Pyznar, była uczestniczka show „Warsaw Shore", polegającego na tym, że się tam pije, imprezuje i romansuje, a wszystko transmituje telewizja, wyjechała do Hiszpanii. Poinformowała, że kupiła tam dom i wyprowadza się na stałe. „Tak, jak zapowiadałam. Rok pełen zmian zaczynam od największego marzenia. To tu czuję się po prostu szczęśliwa. Już nie mogłam się doczekać, aż wam o tym powiem. Witam was w Hiszpanii" – napisała pod zdjęciem z nowego lokum.

To nie koniec szokujących doniesień. Pyznar odstawiła także alkohol, którego nadużywała, i w ogóle zmieniła swoje życie. Teraz przedstawia się jako mama, dietetyk i bizneswoman. Pozostała niestety gwiazdą Instagrama, bo w końcu z czegoś żyć trzeba, rozumiemy. Na pytanie, dlaczego zdecydowała się na wyprowadzkę z Polski, odpowiedziała, zamieszczając... logo partii rządzącej. No proszę, czyli jednak PiS u progu nowego roku może pochwalić się jakimiś sukcesami! ©℗

eprasa.pl c9911e100d

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

No kochani, Winter Holidays za nami, Sześciu Króli już było, a więc oznacza to, że na razie koniec wolnego i trzeba brać się do roboty, a następne długie weekendy znów dopiero przy okazji wydarzeń churchingowo-nacjonalistycznych. Osoby się będą biły z myślami, czy branie urlopów w tym czasie to przypadkiem nie jest legitymowanie takiej sytuacji i godzenie się z dominującą katofashystoffską narracją.

Na szczęście u nas w korpo większość jest albo na umowę o dzieło albo na kontrakcie B2B, więc kłopotów z urlopami nie mają na takiej samej zasadzie jak kłopotów z osoboyeti – bo nie istnieją. Z tego powodu wszyscy kombinują z L4 i podejrzanie często dla Nowego z Tarnowa cierpią na rozstroje żołądkowo-jelitowe. Nowy twierdzi, że to wszystko przez dietę wege i tę dziwną kawę, którą na co dzień pijemy.

W ogóle to ostatnio był u nas taki jeden, rocznik chyba 2000, millennials pełną gębą, i wiecie, co sobie zażyczył? Umowy o pracę. Spojrzeliśmy tylko z politowaniem, iż człowiek wyjątkowo młody, a standardy już niestety wypaczone i zamiast pytać, jak korpo mogłoby oszczędzić na jego pensji, woła o przywileje. Czasy się zmieniają, serio, oszaleć można.

Wybaczcie, iż na początek tak refleksyjnie, ale zawsze nas tak dopada na początku roku. Zresztą wiecie, tak sobie myśleliśmy, że wobec 2022 r. nie śmiemy mieć chyba żadnych oczekiwań. Mieliśmy je na początku 2021 r., że pandemia się skończy, odsuniemy katofashystów od władzy, wrócimy do Europy i takie tam inne normalne plany.

A tymczasem sami wiecie i widzicie, co się działo i dzieje. Dlatego strach w ogóle o czymś marzyć. Może faktycznie jedynie te certyfikaty i przepustki szczepionkowe oraz kolejne podwyżki składek dla prywaciarzy, bo skoro my nie możemy mieć lepiej, to chociaż niech inni mają gorzej, dzięki czemu my się na chwilę przynajmniej poczujemy lepiej.

Podobno Węgry wprowadzają regulację cen podstawowych produktów żywnościowych. Będą więc mieli regulowaną państwowo mąkę, cukier, olej słonecznikowy, mleko, pierś kurczaka i udziec wieprzowy. Jak sami widzicie, nie ma to niczego wspólnego z byciem eko albo wege, ale my nie o tym.

Przez chwilę zastanawialiśmy się, jakie są podstawowe produkty żywnościowe Polaków? Czym oni się karmią? No i wyszło nam na to, iż byłyby to: zawiść, nienawiść, ksenofobia, tureckie telenowele, „Sylwester Marzeń" i wina Tuska.

Natomiast w wersji bardziej dosłownej, a mniej metaforycznej, pewnie byłyby to np.: smalec, wódka, papierosy, parówki, kiszone ogórki i oscypki. Taki zestaw.

No i teraz powiedzcie sami, jak to świadczy o tym kraju? To, jak my sobie wyobrażamy przeciętnego janusza, jego nawyki, dietę, postawy? Z niczego się to nie bierze i jest nam zwyczajnie wstyd.

No, ale dość tego rytualnego narzekania, bo w końcu mówimy o cenach regulowanych – naszym zdaniem co do zasady jest to dobry pomysł, ale lepszym byłoby wprowadzenie od razu kartek, tak aby każdy miał jednakowo mało, albo uzależnienie ceny chleba od dochodu i konieczność wykazania się PIT-em przed panią w piekarni. Wtedy będzie to miało więcej sensu, nie? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Promocja e-sportu

Mati, o tym e-sporcie to jednak była wtopa, co mówiłeś w Sejmie. Sprawdziłem i to faktycznie jest granie na kompie. Więc to tak nie bardzo z tym: „żeby dzieci nie siedziały w domu".

Szlag! Michał, ale ja się nie mogę przyznać do błędu, bo na idiotę wyjdę. Trzeba będzie również kogoś zwolnić za to, że mi nie sprawdził, co to jest ten e-sport.

A dawałeś komuś do sprawdzenia?

Nie, ale zwolnić trzeba. Dla przykładu. Nie mogą ludzie za pewnie się czuć.

No dobra, tylko co z tym e-sportem, bo się cały Internet śmieje.

Wiem: powiemy, że nam chodziło, owszem, o gry komputerowe, ale żeby dzieci grały na dworze.

Ale jak? Przecież zima jest. ciemno, ciągle deszcz albo śnieg pada. Nawet z laptopem nie wyjdziesz.

To ogłosimy, że w ramach promocji e-sportu robimy narodowy program wiat do grania na dworze. Ogrzewanych i z podłączeniem do prądu, żeby można się było ładować. Na panele słoneczne. Żeby było eko. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Tak jak za PRL-u człowiek się w domu dowiadywał o Katyniu, tak teraz dzieci w domu dowiedzą się o okrutnym nieinternowaniu Kaczyńskiego".

RADOSŁAW SIKORSKI, *europoseł KO, na Twitterze o nowym przedmiocie szkolnym historia i teraźniejszość*

eprasa.pl c9911e100d

Barbarzyńca w

Elżbieta Morawiec

Zdawało się, że po „Klątwie" Frljicia w Teatrze Powszechnym w Warszawie – z bezczeszczeniem krzyża, oralnym seksem ze statuą Jana Pawła II – już nic gorszego zdarzyć się nie może. A jednak...

Tę wojnę z teatrem o teatr toczę od 1974 r. Zaczęło się od pamiętnej „Balladyny" z Goplaną jeżdżącą na srebrzystej hondzie. Nie mnie jedną raziła wówczas produkcja Hanuszkiewicza. A i on, realizator świetnego „Beniowskiego" czy „Norwida", niejedną miał twarz. Biograficznie mistrz Adam nie należał jednak do pokolenia, wraz z którym rozpoczął się marsz barbarzyńców przez teatr. A zaczął się on w paryskim maju 1968 r. wraz z dewizą tej nowej rewolucji „Zakazuje się zakazywać". Sam wielki Jean-Louis Barrault pokłonił się nowemu bożkowi w Odeonie.

W Polsce z racji polityczno-historycznych (powstanie Solidarności, stan wojenny) „nowa rewolucja kulturalna" przyhamowała w latach 80., by z wściekłą siłą uderzyć po odzyskaniu niepodległości. Stało się to wraz z wejściem na scenę wychowanych w pepinierze Krystiana Lupy „młodych, zdolniejszych" (Warlikowski, Jarzyna, Zadara, Klata, Kleczewska). Poświęciłam ich wyczynom w 2016 r. tekst „W roztrzaskanym lustrze" (w tomie „Obrazki polskie"). Jego tezy się nie

eprasa.pl c9911e100d

katedrze

„Dziady" w reżyserii Mai Kleczewskiej w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie to próba zmiany kodu kulturowego Polski. Na to nie można się godzić

FOT. BARTEK BARCZYK

zestarzały, a zasady pracy tych twórców sprowadzają się do obniżenia rangi dzieła, niszczenia języka i jasności przekazu oraz indywidualności aktora.

Maję Kleczewską z jak najgorszej strony poznałam w dwóch inscenizacjach – z „Fedry" z Teatru Narodowego w Warszawie wyszłam po krótkiej chwili, kiedy na proscenium stanęła bohaterka w sukience typu op-art, czerwonym szerokoskrzydłym kapeluszu, z pieskiem na smyczy. Wokół niej na gimnastycznych materacach leżeli pacjenci szpitala wariatów. Z kolei na Szekspira „Śnie nocy letniej" w krakowskim Starym mężnie wytrwałam do końca, nie bacząc ani na bogactwo ubarwiających tekst wulgaryzmów, ani na to, że sprawa działa się w... burdelu. Mniej więcej wiedziałam, czego oczekiwać po Kleczewskiej. Jednak „Dziadami" w krakowskim Teatrze im. Słowackiego (gdzie prapremierę Mickiewicza firmował sam Wyspiański) wprawiła mnie w przerażenie.

W czasach, kiedy na scenie figlował sobie Adam Hanuszkiewicz, w Polsce istniała też inna, bogata propozycja – teatr Konrada Swinarskiego, Jerzego Jarockiego, Andrzeja Wajdy, Jerzego Grzegorzewskiego. W erze Kleczewskiej już prawie nie ma nic – na dalekiej rubieży broni się Wierszalin Tomaszuka, nie wiem, jak sobie radzą w Warszawie ze Sturm und Drang nowej teatralności – Jan Englert w Narodowym czy jego brat we Współczesnym.

W Krakowie już się kamień na kamieniu nie ostał. Parę tygodni temu pisałam o „Halce", która oprócz tytułu z Moniuszką nie miała nic wspólnego. Teraz, zanim przejdę do scenicznego produktu propagandowego Kleczewskiej, zatrzymam się przy innym „dziele". Wykonano je w małym teatrzyku (Teatr Nowy/Proxima) na krakowskim Kazimierzu. Zwie się to „Kora boska" i jest niby opowieścią o zmarłej gwieździe Maanamu. Rozwodzić się nad tym nie ma co, wystarczy powiedzieć, że oto Kora staje w zaświatach przed sądem ostatecznym, na który składają się trzej transwestyci przebrani odpowiednio za – Matkę Bożą Częstochowską, Fatimską i tę z Guadalupe. Nazwisk tych panów – binarni oni czy niebinarni – wymieniać nie będę. Dzieło wydaliła z siebie bliżej nikomu nieznana Katarzyna Chlebna. Podniosły się protesty tu i ówdzie, na co zespół odpowiedział, że to cenzura, kneblowanie, a w ogóle rzecz jest o miłości, nadziei i wierze. Ów teatrzyk radzi sobie znakomicie – dwie matki ssie – jedna to Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, druga – samorząd. I żadnej z tych instytucji nie przyszło w ogóle do głowy, że trzeba absolutnie odciąć źródło zasilania dla brzydoty, głupstwa i profanacji. Polacy – nic się nie stało? Stało się, i to bardzo. Ministerstwo i władze samorządowe nie mogą dłużej zamykać oczu na profanację świętości, kulturowe barbarzyństwo, po którym pozostają tylko ruiny i spalona ziemia. Nie wolno im. Pora zakręcić kurek zasilający z pieniędzy podatników – spektakle, które obrażają ich godność, opluwają ich religię, obracają wniwecz tradycję. Czy to będzie cenzura? Skądże! Zresztą już Wyspiański w „Wyzwoleniu" wołał: „Musi być cenzura n a r o d o w a".

KTO SIĘ WYKLUCZA Z POLSKIEJ KULTURY

Wiele widziałam w życiu realizacji „Dziadów". Dejmkowe z 1967 r., Swinarskiego z 1971 r., Kazimierza Brauna z 1978 r., dwie realizacje Grzegorzewskiego (1978, 1995) oraz wiele pomniejszych. Każda z nich nosiła piętno reżyserskiej ręki, ołówka i odcisku czasu, w którym powstała. „Dziady" Dejmkowe były uświęcaniem się męczeńskiego narodu, cierpienia Konrada oplatała pobożna, piękna liturgia ludowa. Swinarski wykreował wyrazistą

eprasa.pl c9911e100d

psychomachię dobra ze złem, kreśląc przy tym głęboki podział rysujący się w społeczeństwie pomiędzy romantyczną, uskrzydloną młodzieżą a pochrapującym we śnie ludem. Braun (chyba jako jedyny zagrał prawie cały tekst) prowadził widza przez całe miasto jak Gustawa-Konrada przez życie; był to swoisty Bildungsroman, kształtowanie się świadomości, Grzegorzewski kreował rekonstrukcję pamięci zbiorowej. Żaden z tych inscenizatorów, łącznie z Wyspiańskim i Schillerem, nie odarł arcydramatu narodowego z jego historycznej skóry, nie wyrwał mu serca. A tak właśnie po raz pierwszy w dziejach scenicznych Mickiewiczowskiego dzieła zachowała się Kleczewska – obdarła go ze skóry i wyrwała mu serce.

Są w kulturach narodów dzieła, nie waham się tych przymiotników użyć, wielkie i święte, w których zamykają się narodowa dusza i tożsamość. Nigdzie nie jest to wyrazistsze niż w kulturze polskiej i właśnie w „Dziadach". Ten dramat heroiczny, dramat patriotycznego ofiarnictwa stał się – jakże proroczo, dzięki geniuszowi Mickiewicza – paradygmatem polskich dziejów w czasach, które nastąpiły po buncie filaretów. Jego dziejowymi odwzorowaniami były czyn listopadowy w 1830 r. i czyn styczniowy w 1863 r., czyn legionowy, męczeństwo narodowe w czasach PRL – śmierć Inki, śmierć 13-letniego Romka Strzałkowskiego z Poznania, Grzegorza Przemyka, Zbyszka Godlewskiego, dziewięciu z Wujka i ks. Jerzego Popiełuszki. Ilekroć słyszę o śmierci Rollisona, przed oczyma pamięci staje mi Jan Rodowicz, wypchnięty przez bezpiekę z okna w 1948 r. Wszystko to „Dziady" obejmują swoimi orlimi skrzydłami i wznoszą do panteonu chwały. Kto tego nie rozumie, ten nic nie rozumie z polskości. Kto profanuje „Dziady" i sprowadza je do roli brudnej agitki gender, Strajku Kobiet czy innych fałszywych wiar neomarksizmu, jak Kleczewska, wyklucza się z kultury polskiej.

Zdawało się, że po „Klątwie" Frljicia w Teatrze Powszechnym w Warszawie – z bezczeszczeniem krzyża, oralnym seksem ze statuą Jana Pawła II – już nic gorszego zdarzyć się nie może. A jednak Kleczewska wszystko przebiła.

BARBARZYŃCA W SPÓDNICY

Kultura europejska, kultura każdego kraju ma swoje symbole. We Francji są nią najpiękniejsze na świecie katedry gotyckie. W paryskiej Notre Dame, rekonstruowanej po pożarze, podobni naszym szalejącym inscenizatorom barbarzyńcy chcą uwić gniazdko multi-kulti, zlikwidować konfesjonały, cytaty z Biblii wyświetlać na ścianach, wprowadzić do świątyni jakieś opowiastki. U nas w wielkiej świątyni polskiej literatury szaleje komisarz Kleczewska, barbarzyńca w spódnicy. Dzieło „rekonstruktorów" z Paryża i krakowskiej inscenizatorki ma to samo przesłanie – ogołocić Europę, ogołocić Polskę z tożsamości, uczynić z niej targowisko fałszywych wiar i pustych słów.

Nad spektaklem unosi się wyświetlony obraz Marii Janion wypowiadającej tekst Mickiewicza: „Człowieku! gdybyś wiedział, jaka twoja władza!". Jakżeby inaczej – to nie duch autora polatuje ponad kurtyną Siemiradzkiego, ale duch pani profesor od transgresji, systematycznie zwalczającej „paradygmat romantyczny". Dlaczego Konrada gra w tym przedstawieniu kobieta (mniejsza o nazwisko, jako zasadę przyjmuję niewymienianie nazwisk takich kuglarzy) o kulach? Ano, jak uzasadnia jedna z głupszych apologetek spektaklu, to połączenie w jednej osobie Janiny Ochojskiej i Klementyny Suchanow?! Ale kobieta – dlaczego? To już sama odpowiem: albowiem w XXI w. i zapyziałym światku Kleczewskiej biały samiec alfa (nic to, że import z BLM z Ameryki, poprawki są rodzime) nie może już być bohaterem, teraz ofiarą historii może być tylko kobieta. Najlepiej o kulach (i po aborcji, ale tego na scenie nie widać). Konsekwentnie kobietami są też (na szczęście słabo widoczne, bo w orkiestrowym kanale p.o. „współwięźniów, współwyznawców" Konrada paniusie ze Strajku Kobiet). Wszystko się we mnie wzbrania przed dalszym opisywaniem tej bredni, ale jedno trzeba podkreślić w szczególności – w całej tej inscenizacji chodzi o zmianę kodu kulturowego. Czas będzie się odtąd liczył od przedstawienia Kleczewskiej – jako transgresja (wedle recepty Mistrzyni Janion) głupiego, zaściankowego kodu męskiej, heroicznej ofiary, do wejścia w krainę ofiary szemranej „kobitki" ze Strajku Kobiet.

Dzieło „rekonstruktorów" z Paryża i krakowskiej inscenizatorki ma to samo przesłanie – ogołocić Europę, ogołocić Polskę z tożsamości, uczynić z niej targowisko fałszywych wiar i pustych słów

Jeszcze jedna podmiana, znamienna – „sługa pokorny i cichy", ks. Piotr, u pani komisarz Kleczewskiej jest napuszonym purpuratem, który egzorcyzmuje i... gwałci małą dziewczynkę. Jak to się ma do sensu oraz tekstu i skąd ten purpurat? Ano Kościół według komisarz Kleczewskiej to wszeteczeństwo i źródło wszelkiego zła. Ale jesteśmy w Krakowie, tu arcybiskupem miejsca jest ks. Marek Jędraszewski, duchowny wyjątkowej mądrości, klasy, wielki patriota. Czemuż by weń nie uderzyć? I jako dopełnienie całości – lud z obrzędu, widoczny w głębi sceny, to szalikowcy, kibole, prymitywy.

No i dokonało się – degradacja wielkiego narodowego arcydzieła do roli agitki feminizmu. Świątynia wielkiej sztuki zadeptana buciorami tępego barbarzyńcy. Mickiewicz zniszczony, możemy ruszać dalej. Tylko dokąd? Komisarz Kleczewska i inni jej podobni nie mają świadomości, że przemieniając całą kulturę w rzeczywistość „niższej rangi", odbierając jej tożsamość, sami stają się ludźmi bez tożsamości, wykorzenionymi dziećmi pustki.

Walec poczynań ludzi pokroju Kleczewskiej przetoczył się już przez całą Polskę. Władza nie może cierpieć na niedowidzenie i nadal subsydiować rujnowanie polskiej kultury. Nie można nie zauważać, co zrobił z „Halką" dotowany kwotą 14 mln zł Stary, nie wolno wspomagać instytucji, które niczym wartościowym absolutnie się nie wykazały, jak Teatr Nowy/Proxima.

W pochwalnych recenzjach z „Dziadów" jako argument na rzecz „wybitności" powraca… frekwencja. Teatr jest oblegany, zatem „Dziady" to arcydzieło. Jakby nigdy skandale nie były lepem na gawiedź żądną sensacji. Marszałek województwa małopolskiego bezwzględnie powinien odciąć Teatrowi im. Słowackiego finansowanie [Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego z patronatu nad Teatrem im. Słowackiego w Krakowie niedawno się wycofało – red.]. Mają frekwencję – niech żyją z kasy. Zdecydowanie lepiej zaprosić do Krakowa wspaniałą inscenizację „Dziadów" Piotra Tomaszuka z teatru Wierszalin.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

Traktat o glistach

Krzysztof Masłoń

Chętnych do obejrzenia „Dziadów" w Krakowie czy „Klątwy" w Warszawie nie brakuje, bo nic tak narodu nie ciekawi jak skandal. A że przy tej okazji najświetniejsze dzieła naszej literatury topione są w szambie, to nic takiego – ot, koszty rewolucji artystycznej

Próba medialna spektaklu „Klątwa" w Teatrze Powszechnym w Warszawie FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

Nie będzie to specjalnie oryginalne, ale gdybym miał wskazać początek tej fali gówna, które zalało coś, co z przyzwyczajenia nazywamy kulturą, cofnąłbym się do końca wieku XIX, dokładnie roku 1896, kiedy to po paryskiej premierze „Ubu Króla" Alfreda Jarry'ego, groteski dziejącej się – przypomnę – „w Polsce, czyli nigdzie", W.B. Yeats, ćwierć wieku przed otrzymaniem Nagrody Nobla, miał krzyknąć: „Po nas Bóg Bestia!". To ów „Ubu Król' dał sygnał startowy nowemu barbarzyństwu, które może nie okazało się tak krwiożercze jak to dawne, za to z całą pewnością stokrotnie głupsze.

Tak to jest z gówniarzami, którzy zabierają się do rewolucji, niechby tylko artystycznej. Oczywiście można nad tym wszystkim przejść do porządku dziennego, a nawet – jak Janusz Głowacki – stwierdzić, że „w teatrze na sztukach brutalistów podcinających sobie żyły wśród okrzyków »fuck me« na zmianę z »love me« – bawię się po prostu znakomicie". Gorzej ze starszym pokoleniem. Ten sam Głowacki w swojej mocno podszytej ironią autobiografii „Z głowy" nadmieniał, że jego matka, absolwentka filozofii i polonistyki, „padła ofiarą literatury francuskiej i wykazała zupełny brak wyczucia, jeśli idzie o kierunek, w którym będzie się rozwijać ludzkość, a z nią kultura. W ogóle, na przykład, nie mogło jej przyjść do głowy, że Salvador Dali za największego artystę XX wieku uzna Yves'a Saint Laurenta. Albo że nad głównym wejściem do Metropolitan Museum w Nowym Jorku zawiśnie ogromny billboard reklamujący wystawę Gianniego Versace, a po bokach dużo mniejsze – Degasa i Filippina Lippi, i zupełnie malutki – z Picassem, oraz że tylko na Versacego ustawi się ogromna kolejka, a kobiety i mężczyźni będą płakać przed szklanymi gablotami, bo wystawiano w nich suknie, które nosiła lady Diana. Albo że na przykład nowojorski krytyk mody nazwie nową kaplicą Sykstyńską gigantyczny billboard, na którym sławny model Antonio Sabato Jr., piękny i nagi poza obcisłymi majtkami Calvina Kleina, będzie z zadumą spoglądał na Times Square. I że kiedy tenże Sabato będzie składał na majtkach autografy, na godzinę zamrze ruch na Manhattanie".

W PUŁAPCE ŚWIATA

„Z głowy" wydał autor w 2004 r. i co nieco się od tamtego zmieniło, oczywiście na gorsze. Dziś nie budzi zdziwienia wiadomość o tym, że na bardzo prestiżowej, a jeszcze bardziej postępowej uczelni Georgetown w Waszyngtonie, „słuchaczy kursów literatury angielskiej uwolniono od obowiązku czytania Szekspira, Miltona czy Chaucera – ponieważ wymieniona

eprasa.pl c9911e100d

trójka, a zwłaszcza autor »Króla Leara«, w niesprawiedliwym świetle ukazywała postacie kobiet. Zamiast lektury seksistów studentom zapewniono kursy z zakresu »Historii i teorii seksualności« oraz cieszące się ogromnym powodzeniem seminarium »Kobiety, rewolucja i media«. Jeszcze bardziej elegancki Uniwersytet Stanforda w Kalifornii, żeby nie uchodzić za wsteczniaka, wymienił wykłady o poetach europejskich na rzecz afrykańskich. Do tego strachu, żeby nie być zacofańcem, dochodzi jeszcze poczucie winy za krzywdę Indian oraz całą aferę z niewolnictwem, w związku z czym Amerykanie czarni, a także inne mniejszości, zasypywane są stypendiami, nagrodami oraz punktami za pochodzenie przy przyjmowaniu na wszystkie uczelnie. Jednym słowem, traktowani są jak osoby skrzywdzone i upośledzone, coś tak jak polscy pisarze w Niemczech". Ci ostatni co nieco na tym wygrali, bo choć w Ameryce do mniejszości się nie zaliczali, to na Starym Kontynencie ich akcje stoją wysoko, czego najlepszym dowodem może być Nobel dla Olgi Tokarczuk. Oczywiście pisarka musiała dodać od siebie jakąś wartość, w jej wypadku była to miłość do wszelkiego żywego stworzenia, rzecz jasna – poza człowiekiem, i osobista niechęć do Pana Boga.

W „Czułym narratorze" na przykład naucza tymi słowy: „Reguły temu światu narzucił […] Bóg-Stworzyciel (gnostycki demiurg), Bóg Światowy, zazdrosny, osobowy, mściwy i podejrzliwy. To on sformatował naszą moralność i sprokurował te wszystkie poddańcze gry z pierwszymi rodzicami w raju. To Bóg rzeczy małych, który jednak śni o wielkości. On zamknął nas w pułapce świata, z której próbujemy się wydobyć. Mesjasz, który ma się pojawić i nas uwolnić, przychodzi spoza świata, choć przybiera postać cielesną […]. Mesjasz będzie czysty i nieskalany, żeby jednak dostosować się do świata upadku, musi się wytarzać w jego ekskrementach, jak pies, który tarza się w odchodach, żeby zgubić i zniwelować własny zapach".

Noblistka, jak się zdaje, od – nazwę ją tak – zwierzęcej empatii nie może się uwolnić, a że nie jest w tym odosobniona, wielu z nas lituje się nad drobiem tuczonym na święta, karpiami tracącymi swój rybi żywot przed Wigilią, wiecznie głodnymi dzikami, które niebawem w poszukiwaniu żywności będą chodzić po Marszałkowskiej, krowami, którym odbiera się mleko, żabami, pijawkami i Bóg wie, czym jeszcze, ale nie nad nienarodzonymi dziećmi – a skąd, w końcu współcześni mędrcy powiadają, że jeśli kochamy swoje dziecko, to nie róbmy mu krzywdy i pozostawmy jedynakiem. A zresztą i nad posiadaniem tego pierwszego potomka należałoby się zastanowić. W końcu może z niego wyrosnąć faszysta. Wszystko to byłoby w jakiś przedziwny sposób nawet śmieszne, gdyby nie było prawdziwe i straszne.

GRAMY U SIEBIE

Tove Jansson orzekła niegdyś, że „teatr jest najważniejszą rzeczą na świecie, gdyż tam pokazuje się ludziom, jakimi mogliby być, jakimi pragnęliby być, choć nie mają na to odwagi, i jakimi są". Tak też w naiwności swojej myślałem, aż w teatrze polskim zdarzyło się to, co się zdarzyło, w związku z tym, niemal jak jeden z bohaterów „Misia" Stanisława Barei, rodzime sceny omijam szerokim łukiem. Chętnych do obejrzenia „Dziadów" w Krakowie czy „Klątwy" w Warszawie i tak nie brakuje, bo nic tak narodu nie ciekawi jak skandal. A że przy tej okazji najświetniejsze dzieła naszej literatury topione są w szambie, to nic takiego – ot, koszty rewolucji artystycznej.

Literatura z kolei, wyrzucając klasykę na śmietnik historii, wzięła się za bary ze współczesnością, zapominając, że nie ma niczego nudniejszego od piśmiennictwa, które międli tematy wzięte z debaty publicznej. Staje się wtedy publicystyką, do tego na ogół mocno nieaktualną, czy też upolitycznioną krytyką, która uprawiana przez grafomanów okazuje się wręcz nieznośną. Ale, doceńmy to, pojawiły się nowe, nieznane wcześniej gatunki literackie. Mniej ważny jest tu może szeroko w swoim czasie reklamowany blog, za to wielką karierę zrobił bluzg. W literaturze, teatrze, o filmie nie wspominając. Wulgaryzmy i obelgi, będące już nie częścią, ale wręcz treścią debaty publicznej, w świecie kultury zadomowiły się na dobre i bynajmniej nie mają zamiaru ustępować zdobytego tam miejsca. „Gramy u siebie" – skandują kibice na boiskach przeciwników zachwyceni swoją odwagą, wprost proporcjonalną do wielkości grupy, w której pojawili się na tych gościnnych występach. Podobnie dzieje się w „naszej" sferze kultury (naprawdę coraz trudniej przychodzi używanie tego określenia w stosunku do realiów życia literackiego, teatralnego itd.), gdzie zaakceptowane zostało to, co przyjęło się najpierw pod budką z piwem, potem w sklepowej kolejce, na osiedlowym podwórku, aż doszło do studiów telewizyjnych, kuluarów sejmowych i do przybytków tzw. kultury wysokiej. Ta zaraza postępuje błyskawicznie. Pod pozorem, że język sztuki nie może pozostawać w sprzeczności z językiem społeczeństwa, przy czym udając, że czyni się zadość wymogom obyczajowej poprawności, wprowadzono swego czasu do obiegu publicznego przymiotnik „zajefajny", z miejsca zaakceptowany przez usłużnych językoznawców. Od początku było jasne, że prędzej czy później to mruganie okiem do słuchaczy znudzi się „rewelatorom" i będziemy odtąd „jebać" wszystko i wszystkich.

Gdy Agnieszka Chylińska pokazała przed kamerami fuckera, wiele osób, nie tylko starszych wiekiem, nie ukrywało zażenowania zachowaniem młodej (wtedy 21-letniej) piosenkarki, której nie chciało się uczyć i uznała, że jako człowiek sukcesu może bezkarnie obrażać nauczycieli jako takich. Kiedy w „Wojnie polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną" 19-letniej Doroty Masłowskiej poważni, zdawałoby się, ludzie dojrzeli objawienie, nie brakowało jednak głosów rozsądku (pamiętam np. reakcję Wojciecha Młynarskiego). Niemniej zaraz redakcja „Polityki" nagrodziła autorkę „pierwszej w Polsce powieści dresiarskiej" swoim Paszportem za – uwaga! – „twórcze wykorzystanie języka pospolitego".

Gdybyż chodziło jedynie o język… W ślad za tym idzie jednak akceptacja działań obscenicznych, wulgarnych, brutalnych, a nawet zachęta do nich. W imię, no cóż – nic nowego, epatowania burżuja. Tylko gdzie tego ostatniego szukać w Rzeczypospolitej, w której nie możemy się doczekać nawet przyzwoitej klasy średniej?

„Odkryłem ostatnio – pisał Sławomir Mrożek do Leopolda Tyrmanda, lat temu, bagatela, pięćdziesiąt i cztery – że świat dzieli się na inteligentów i tych, którzy nimi nie są. Poza tym występują jeszcze: wariaci, chamy, niezdolni i kobiety oraz metysi, czyli mieszańcy tych kategorii. Ale nimi nie będę się teraz zajmował. Otóż osobiście nie uważam siebie za inteligenta, z czego wynika, że inteligentów cenię niżej. Inteligentem był na przykład Karol Marx, a Franciszek Kafka nim nie był. Inteligentem jest Sartre, ale Kierkegaard nim nie był. Inteligentem jest w gruncie rzeczy Ionesco. Beckett nim nie jest". Dziś

eprasa.pl c9911e100d

sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej, przynajmniej na naszym podwórku. Teatralna interpretatorka Maja Kleczewska, której należną laurkę sporządziła Elżbieta Morawiec, jest zapewne kobietą choćby dlatego, że ze swoich „Bachantek" wyprosiła mężczyzn i na pewno inteligentką, ale – kto wie? – czy nawet nie intelektualistką. Klementyna Suchanow z kolei powala literaturoznawczą finezją, ale i godną gombrowiczowskiego parobka krzepą, z kobiecością jakby kłócącą się trochę. A taki Krzysztof Varga, literat, to inteligent czy wyłącznie cham, do tego griaduszczij? Ciężko się w tym rozeznać.

Z POZYCJI BIDETU

Gilbert Keith Chesterton powiadał: „Kiedy ludzie przestają wierzyć w Boga, to nie jest tak, że w nic nie wierzą, ale wierzą w cokolwiek". Ale w co wierzą – poza tym, że nie ma Boga – pozornie szaleni, a w istocie bardzo wyrachowani, „nowocześni" artyści, z piorunami w oczach i na oczach. Wyciągają pewnie wnioski z tego, co utrzymywał inny, nie gorszy od Chestertona pisarz, Fiodor Dostojewski, że skoro tak, to „wszystko jest dozwolone". Przyjmijmy te słowa z całym ich dobrodziejstwem, a wyniknie z nich, że oto np. kobiety będą mogły bez opamiętania uprawiać seks, nie obawiając się konsekwencji, bo aborcja będzie na życzenie, choćby i w dziewiątym miesiącu, że będą bez umiaru używać wulgarnego języka, chlać, ćpać, no co jeszcze. W istocie robić prawie to samo, co robią już teraz. Tylko gdy już zdemolują wszystkie pozostałe jeszcze świątynie, z kim będą walczyć? Jedno jest pewne, że ich nieliczni potomkowie – bo rozumiem, że jacyś przypadkowi jednak się trafią – w trudzie będą te kościoły odbudowywali. I chyba tylko w tej wizji jest coś optymistycznego. To Tadeusz Konwicki wystawił najbardziej trafną diagnozę kultury współczesnej, z którą się zetknąłem, gdy akcentując swoją pogardę dla filmów pokazujących kobietę z pozycji bidetu, powiedział: „Kiedyś przeczytałem w gazecie śmiałe oświadczenie pewnej pani, że lubi seks. To nie dodaje nam oryginalności. Psy, na przykład, bardzo lubią seks, nieustannie są zainteresowane seksem w sensie biologicznym". No i proszę, znów mamy rzeczywistość zezwierzęconą. Nie do końca jednak.

Sięgając do korespondencji Mrożka z Tyrmandem, natrafiłem na jeszcze jedną perełkę, w sam raz pasującą do klimatu stworzonego przez rewolucyjny ruch spod znaku Black Lives Matter, choć datującą się na 2 czerwca roku 1969, a więc prawie dwa miesiące przed postawieniem przez człowieka stopy na Księżycu: „Te ch.je [przepraszam za Mrożka – przyp. K.M.] nie dopuszczą Cię do głosu, jeśli przypomnisz, że to wprawdzie biali uciskali Murzynów, ale ci sami biali doszli do wniosku, że to nieładnie. Że gdzie indziej zawsze postępowano wedle woli, ale tylko w tej ohydnej, nieszczęsnej Europie wynaleziono sumienie, sprawiedliwość społeczną itp. To właśnie ją zgubi, bo gdyby biała cywilizacja nie bawiła się w myślenie i skrupuły, gdyby dawała całemu światu w dupę konsekwentnie i bez troski, inni nadstawialiby dupy i szanowali za konsekwentne bicie. A tak nie szanują. I gdyby nie brodaty Żyd niemiecki, prezydent Mao w dalszym ciągu, i co najwyżej, studiowałby Konfucjusza, co zresztą wielka szkoda, że tak się nie stało. A skądże się wziął ten brodaty Żyd, jak nie z Europy, kto mu pozwolił, jak nie biała Europa. Żeby już nie wspomnieć o innym Żydzie z Nazaretu, bez którego by tego Żyda z Niemiec też nie było, bo bez tego z Nazaretu nigdy by nikomu nie przyszło do głowy, że wszyscy są równi, bo mają takie same dusze, ergo nikt by się biedakami nie przejmował i nie płakał nad losem robotników z Manczesteru". Czy innego Zawiercia.

MACKIEWICZOWSKA KAZIONSZCZINA

Będę ja pierwszym w Polsce futurystą,
A to nie znaczy, bym się stał głuptasem,
Co sport z poezji czyni, i z hałasem
Udaje maga, a jest tylko glistą [...]
– pisał Julian Tuwim.

A pół wieku temu, znów w tym samym, tyle razy już tu przywoływanym roku 1969, w odpowiedzi na ankietę londyńskich „Wiadomości" – „O Witoldzie Gombrowiczu" – Józef Mackiewicz stwierdził: „Stanowczo był przecenionym. Źródłem tej przeceny stała się duża reklama, jaką Gombrowicz potrafił sobie wyrobić w międzynarodowych sferach literackiego establishment, czyli kumoterstwa popieranej przez pewne koła amerykańskie tzw. awangardy. Zbliżonej lub czasem identycznej z pojęciem »Lewicy Intelektualnej«, która w dzisiejszej Demokracji w odniesieniu do spraw intelektualno-artystycznych spełnia mniej więcej tę funkcję, jaką za czasów carskich spełniała Prokuratura św. Synodu w odniesieniu do spraw Cerkwi prawosławnej. Czyli miarodajną funkcję. Nasi ojcowie tego rodzaju manipulacje w dziedzinie ducha nazwali z przekąsem: »kazionszczina«; w tamtych, dawnych czasach, gdy awangardy nie bywały jeszcze subsydiowane przez kancelarie państwowe. Rozgłos i powodzenie, jakie udało się Gombrowiczowi osiągnąć w tych rządzących dziś Duchem Czasu, literaturą i sztuką, najbardziej miarodajnych sferach, zaimponowało rodakom.

Tymczasem tajemnica powodzenia Gombrowicza jest, moim zdaniem, dosyć prosta. Gombrowicz nie umiał pisać i nie miał nic do napisania. Zastosował więc chwyt, jakiego używają malarze, którzy nie umieją malować i nie mają nic do namalowania: ukrycie treści, a raczej jej braku, pod niezrozumiałą dla otoczenia formą. Czym mniej treści, tym bardziej niezrozumiała forma. Trzeba się tyko nie obawiać absurdu".

I wywodził dalej autor „Drogi donikąd": „Sam oglądałem na pewnej wystawie, subsydiowanej przez miasto o wielkiej tradycji malarskiej, gumowe talerze przyklejone do krzesła z podpisem: »Proszę na nie usiąść, aby uzyskać lepszy kontakt ze sztuką«; stare pończochy damskie przybite gwoździami do ściany; kawałek znalezionej na ulicy deski, z pietyzmem ułożony na cokole. Wszystko nieprotestowane przez podatników, którzy boją się przyznać do własnej ignorancji w dziedzinie sztuki współczesnej".

Zatem nihil novi, tylko oswojona awangarda jest już od dawna passé, mamy za to szalejący, najbardziej prymitywny hedonizm, pogardę dla autorytetów, kategoryczne odrzucenie religii i tradycji; naukowcy, chociaż w dobie pandemii ponieśli jedną z najbardziej spektakularnych klęsk w swojej wojnie z naturą (w tym wypadku – z wirusem), przeszli nad nią do porządku dziennego, a ludzie sztuki – jak to wyśpiewał też bardzo dawno temu, bo w 1971 r. Czesław Niemen – „nonsensami karmią się nawzajem, spraw komicznych omotani siecią". W przeciwieństwie do innego autorskiego przeboju Niemena „Dziwny jest ten świat" ten utwór – „Człowiek jam niewdzięczny", kończący się słowami: „Wstyd mi za tych, co nie mając wstydu, zapomnieli, że u kresu groby nas zrównają" – rzadko jest dziś przypominany. Szkoda.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Niemota władzy

Rafał A. Ziemkiewicz

Dziś przekaz rządu w życzliwych mu mediach nazbyt rozjeżdża się z rzeczywistością. Klęska komunikacyjna Polskiego Ładu jest dzwonkiem alarmowym, być może już ostatnim

Zdarzyło mi się być pośrednim świadkiem takiej sytuacji: w jednym z mediów, postrzeganych jako „PiS-owskie", gościł pewien wiceminister. Jego wizyta nie miała związku z planowaną przez rząd reformą – tą właśnie, która obecnie jest wprowadzana – ale pracownik stacji skorzystał z okazji, by wypytać go „off the record", czy rząd zdaje sobie sprawę, jakie ta wielka reforma, pchana kolanem na zasadzie „jakoś to będzie", a widać przecież, że jest niedopracowana, zacznie wkrótce generować problemy. Polityk obruszył się i omalże skrzyczał dziennikarza, używając argumentu, że tak to mówią w TVN, ale tu, wśród swoich, usłyszeć „czegoś takiego" się nie spodziewał. Co ważniejsze – okazało się, że po programie zadzwonił do szefa wykazującego grzeszne wątpliwości dziennikarza i naskarżył na niego.

Dodam, że w ten sposób zachował się nie żaden z przedstawicieli partyjnego aparatu, nie któryś z wypróbowanych w niezłomnej wierze w nieomylność Prezesa członków PiS-owskiej „pierwszej brygady" czy też „zakonu PC", ale polityk z ekipy postrzeganej jako młodzi, pragmatyczni technokraci.

To wspomnienie nie mogło nie ożyć w mojej pamięci, gdy obawy owego dziennikarza ziściły się na całego. Księgowi, nie tylko ci z zakładów pracy, lecz także nawet ci z firm wyspecjalizowanych od lat w rozliczaniu różnych rodzajów i form dochodów, po tygodniach wgryzania się w nowe przepisy rozkładają bezradnie ręce; nawet urzędnicy skarbówki przyznają bezradnie, że nie wiedzą, o co chodzi, że nikt ich nie przeszkolił i niczego nie wyjaśnił. Nie wiedzą także, jak bronić rządu, choćby sprzyjający władzy dziennikarze nie wiem jak byli przekonani, że bronić go trzeba. Wymaga się od nich powtarzania propagandowych mantr, że większość Polaków zyska, że problemy są przejściowe, ograniczone i wyolbrzymiane przez propagandę opozycji, a nawet że skala krytyki (oszczerczej, oczywiście), która spadła na Polski Ład, jest najlepszym dowodem, jak dobra, potrzebna i opłacalna dla „zwykłych Polaków" jest to reforma. Na dodatek mantry te zmieniają się z dnia na dzień, od „to podłe kłam-

eprasa.pl c9911e100d

stwo, że ktoś dostał mniejszą pensję" do „dzięki błyskawicznej reakcji ministerstwa straty zostaną mu niezwłocznie wyrównane".

ŻOŁNIERZE SPRAWY A ŻOŁNIERZE PARTII

Środowiska, potocznie zwanego „dziennikarzami prawicowymi", wbrew temu, jak próbują je przedstawiać politycy PO oraz pracownicy sprzyjających im medialnych korporacji, nie tworzą cynicy, kupieni apanażami czy stanowiskami. Zdecydowana większość z nich wyborów ideowych dokonała w czasach, kiedy uważano, że wszelka prawica „wymrze jak dinozaury", a już na pewno, że głoszenie prawicowych idei nie zapewni nigdy nikomu żadnych materialnych korzyści. Przypominam zawsze, że w czasach, gdy Tomasz Lis z honorariów za medialne obsługiwanie kolejnych „fajnych" i „europejskich" rządów stawiał sobie pałacyk w Konstancinie, Tomasz Sakiewicz zastawiał odziedziczone po rodzicach mieszkanie, żeby mieć za co wydać kolejne numery „Gazety Polskiej".

Faktem jest jednak, że PiS zupełnie tego zasobu, który stanowili i, mimo pewnej demoralizacji, być może nieuniknionej, gdy jest się częścią obozu władzy, nadal stanowią ideowi „prawicowi" liderzy opinii, wykorzystać nie chciał. Nie potrzebował „żołnierzy sprawy", oddanych głoszonym przez PiS wartościom, tylko „żołnierzy partii", i takich skłonny był, na miarę skromnych zasobów, które daje w tej dziedzinie sprawowanie władzy, promować.

Parafrazując klasyka, to gorzej niż naruszenie demokratycznych wartości – to błąd. Aż szkoda powtarzać truizmy, że każda władza potrzebuje krytyki, nawet jeśli utrudnia jej ona życie, a „tłuczenie termometru", z którym może być porównywane tłumienie krytyki we własnym obozie, prędzej czy później źle się kończy. Niestety, sposób myślenia obecnej władzy o mediach ukształtowało przede wszystkim poczucie osaczenia, nieustającej nagonki, której obiektem były w ćwierćwieczu pomagdalenkowej Polski prawica, Kościół i wszelkie bliskie im siły. W jakiś sposób mogę zrozumieć, że atakowani bezpardonowo, „po całości" i za wszystko politycy nie chcieli mieć po swojej stronie ludzi krytykujących ich, dla odmiany, merytorycznie – chcieli mieć „swoją" „Wyborczą" i „swój" TVN; więc kiedy zyskali pieniądze dla wsparcia swoich zwolenników i władzę nad mediami państwowymi, postanowili zrobić właśnie lustrzane odbicie swoich prześladowców. Ale nie było to mądre.

Tym bardziej że na traumę zaszczucia przez media lewicowo-liberalne nałożyły się wieloletnie problemy centroprawicy z jednością, takie same jak to, co obserwujemy dziś w obozie kłócącej się zajadle o zjednoczenie opozycji. Swoista „doktryna Kaczyńskiego", o której pisałem jeszcze w latach 90., kazała dzielić media na te, które panują nad elektoratem wrogim, oraz te, które mają wpływ na elektorat „nasz" – i bać się zwłaszcza tych drugich. Bo to, co napiszą o PC czy RdR Michnik albo Urban, nie wpłynie na notowania, natomiast media „prawicowe" mogą przesunąć poparcie z jednej partii (czy frakcji) „prawicowej" na drugą. Wniosek oczywisty: właśnie „prawicową" gazetę, choćby niszową, trzeba mieć pod partyjną kontrolą albo lepiej, żeby jej w ogóle nie było. W ten sposób, „wśród serdecznych przyjaciół" padły „Nowy Świat", „Nowe Państwo" i wiele innych medialnych inicjatyw. A już w obecnych czasach ten właśnie sposób myślenia wyraża się wściekłymi reakcjami rządzących polityków na krytykę we własnym obozie czy „propozycje nie do odrzucenia", obwarowujące, na przykład, oferty reklamowe zmianą polityki redakcyjnej lub niezapraszaniem wskazanych osób.

Patrząc na sprawę zimno, ochroniło to PiS przed nieszczęściem, w które popadł obóz pomagdalenkowy, gdzie „ogon kręci psem" – to znaczy, od dawna już nie politycy wyznaczają polityczną narrację, tylko grupy medialne, podążające za emocjami najbardziej radykalnej „bańki" antypisowskiej, prześcigając się w ich nakręcaniu. Widzieliśmy to np. w sprawie inwazji imigrantów: Donald Tusk próbował iść za opinią większości społeczeństwa, podkreślając, że granicy trzeba bronić, lewicowo-liberalnym mediom bardziej opłacała się histeria „bandyci w polskich mundurach mordują uchodźców", i to Tusk musiał dostosować się do TVN, a nie odwrotnie. Tu właśnie tkwi w wielkim stopniu przyczyna wieloletniej impotencji PO i jej przystawek.

SPADEK SKUTECZNOŚCI

Drugą stroną zjawiska jest jednak rozpaczliwy spadek propagandowej skuteczności obozu władzy. O ile bowiem propaganda uprawiana przez media koncernów Discovery czy Ringer Axel Springer nastawiona jest na uzyskanie efektu propagandowego u odbiorcy, o tyle przekaz większości mediów „PiS-owskich" ma się przede wszystkim podobać „Komendantowi" i jego pretorianom. Mówiąc krótko, podczas gdy media opozycji starają się nakręcić Polaków przeciwko PiS i rządowi, to media władzy przede wszystkim starają się przekonać PiS, że robią, co mogą, by Polacy byli za rządem.

Śmiem twierdzić zaś, że Jarosław Kaczyński, człowiek z epoki słowa pisanego i gazet drukowanych w formie wielkich czarno-białych płacht, od wielu lat zamknięty w bardzo wąskim kręgu współpracowników i podwładnych, najuprzejmiej mówiąc, nie jest dobrym probierzem społecznych nastrojów. Być może tępe propagandowe zagrania, w rodzaju nazywania skutków inflacji „tuskowym", wydają mu się właściwym sposobem docierania do ludowych mas, a obrazy rozbawionej publiczności „Sylwestra Marzeń" przekonują, że jeśli nawet Polska nie rośnie w siłę, to przynajmniej ludziom żyje się dostatniej – ale dla przeciętnego Polaka, nawet życzliwego władzy, jest to przekaz ciosany zbyt grubo.

Rzecz zresztą nie w tym, że tak funkcjonujące media muszą stopniowo uczynić z Kaczyńskiego ową „babcię" z piosenki Wojciecha Młynarskiego, którą wszyscy trzymają w błogiej nieświadomości, że – np. – Poczta Polska nie jest w stanie przeprowadzić wyborów albo że wielkiej reformy podatkowej nie da się zrobić „na cito" w wąskim gronie najętych „czarodziejów". Rzecz w tym, że przekaz rządu w życzliwych mu mediach nazbyt rozjeżdża się z rzeczywistością. Przykładem są nie tylko zaklęcia, że na Polskim Ładzie zyskujemy, i tylko wydaje nam się, że tracimy. Pokazują to choćby takie zdarzenia jak otrąbienie sukcesu, że oto rząd ma w budżecie 50 mld zł nadwyżki, a kilka tygodni potem kolejnego, że rok zamykamy deficytem zaledwie 35 mld zł.

Podczas gdy lewicowo-liberalni politycy zachłystują się obłudnymi oskarżeniami, że PiS czyni z mediów narzędzia propagandy (jakby sami robili kiedykolwiek co innego), prawdziwy problem PiS polega na tym, że stworzył narzędzia nieskuteczne, a być może nawet wręcz przeciwskuteczne. Klęska komunikacyjna Polskiego Ładu jest sygnałem alarmowym. Być może już ostatnim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

Kamila Baranowska

Donald Tusk coraz mocniej uderza w Lewicę, grając na jej dalsze rozbijanie i osłabianie. Czy jednak przy okazji nie rozbija i nie osłabia całej opozycji?

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Tusk na wojnie z Lewicą

Patrząc na to, o kim najczęściej krytycznie wypowiada się w ostatnich tygodniach i miesiącach Donald Tusk, można by uznać, że Lewicę uznaje za takiego samego wroga jak PiS. Zresztą Tusk wprost zarzuca Włodzimierzowi Czarzastemu chęć współpracy z partią rządzącą. Argument ma jeden i wciąż ten sam – głosowanie Lewicy razem z PiS za Krajowym Planem Odbudowy.

– Lewica sama stawia znak zapytania, na ile partia Czarzastego chce współpracować z PiS, a na ile chce zmienić tę władzę i tej jasności nikt z nas nie ma – stwierdził kilkanaście dni temu Donald Tusk w wywiadzie w TVN24. Dodał, że jego zdaniem Lewica wciąż się waha, czy iść na starcie z obozem władzy czy się do niego przyłączyć. W związku z tym zaapelował do lewicowych wyborców, aby rozważyli głosowanie na tych, którzy definitywnie chcą odsunięcia PiS od władzy. – Będę tak czy inaczej coraz intensywniej apelował do wszystkich wyborców, także do wyborców Lewicy, aby to kryterium wzięli pod uwagę, to znaczy, żeby nie głosować na żadną z partii, które przedłużają, zwiększają ryzyko kontynuacji rządów Kaczyńskiego i PiS – powiedział Tusk.

– Skandaliczne są to słowa, prędzej czy później osłabią opozycję. Demokracja to szacunek do różnorodności, jej przeciwieństwem jest wyrzucanie kogoś za burtę – skomentowała Paulina Piechna-Więckiewicz z Lewicy.

ELEKTORAT ANTYPISOWSKI

Jednak słowa i apel Tuska nie są żadnym wypadkiem przy pracy. Tusk świetnie wie – i ma na to potwierdzenie w badaniach – że elektorat lewicowy jest bardzo antypisowski, nie mniej antypisowski niż elektorat Platformy, a na pewno bardziej niż wyborcy PSL czy Szymona Hołowni. Uznał więc, że najlepszym sposobem, by go pozyskać, jest konsekwentne wpychanie Lewicy w ramiona PiS. Im więcej razy Tusk powtórzy, że Lewica chce dogadywać się z PiS, tym większa szansa, że myśl ta zacznie rezonować w środowiskach sympatyzujących dotąd z lewicą.

– Od 2005 r. o wyniku wyborów rozstrzygały w dużej mierze przepływy elektoratu między Platformą a lewicą. W interesie Tuska jest dziś przekonanie wyborców innych partii, że nawet jeśli się z nim nie we wszystkim zgadzają, to powinni na niego głosować, gdyż tylko on daje gwarancję skutecznej walki o bliskie im wartości i odsunięcia PiS od władzy – tłumaczył w „Do Rzeczy" jakiś czas temu prof. Chwedoruk. – Ten scenariusz jest przez lidera Platformy konsekwentnie realizowany. Widać, że to bój strategiczny, wykraczający poza doraźne korzyści – przyznaje dzisiaj. Pytanie, czy docelowo okaże się skuteczny?

– Donald Tusk w swoich kalkulacjach nie uwzględnia tego, że bez wizji rządzenia, bez politycznego planu, co zamierza zrobić po odsunięciu PiS od władzy, trudno mu będzie przekonać wyborców, także lewicowych, by głosowali na Platformę – wskazuje dr Rydliński.

Politycy Lewicy, choć publicznie oburzają się na Tuska, to w mniej oficjalnych rozmowach przyznają, że obecna sytuacja i tak jest dla nich o wiele korzystniejsza niż scenariusz, którego bali się najbardziej, czyli ten zakładający, że na czele Platformy (lub formacji stworzonej na jej gruzach) stanie Rafał Trzaskowski. Prezydent stolicy, dużo młodszy od Tuska, ze swoimi liberalnymi poglądami na

eprasa.pl c9911e100d

sprawy światopoglądowe i wyczuciem, jeśli chodzi o nośne na lewicy tematy, miałby o wiele większe szanse na przeciąganie do siebie lewicowej młodzieży – nie tylko wyborców, lecz także polityków czy działaczy w terenie.

– Jeśli opozycja wygra wybory i będzie chciała tworzyć wspólny rząd, to wątpię, by lewica, zwłaszcza ta młodszego pokolenia, widziała Tuska w roli premiera. Młodzi lewicowi politycy formowali się w kontrze do rządów Platformy i rządów PiS, w kontrze do Tuska i Kaczyńskiego – uważa dr Rydliński. Tusk pewnie zdaje sobie z tego sprawę i dlatego tym mocniej dąży do podporządkowania sobie Lewicy, by nikt nie kwestionował w przyszłości jego przywództwa. – Widać, że to dobrze przemyślany i precyzyjnie przygotowany atak, który już przyniósł pierwszy efekt, czyli podział Lewicy i odejście kilku dość rozpoznawalnych nazwisk z partii – dodaje prof. Rafał Chwedoruk, politolog z UW.

W połowie grudnia z Lewicy odeszli posłowie skłóceni już wcześniej z Włodzimierzem Czarzastym, m.in. Andrzej Rozenek, Robert Kwiatkowski czy Joanna Senyszyn. Utworzyli w parlamencie własne koło, używając historycznej nazwy PPS. Wewnętrzny konflikt dotyczył w dużej mierze tego, że ci, którzy ostatecznie odeszli, domagali się bliższej współpracy z Platformą i Donaldem Tuskiem, na co Czarzasty z Biedroniem i Zandbergiem nie chcą się zgodzić. Zwłaszcza dwaj ostatni mają z Tuskiem problem generacyjny. Jest dla nich politykiem z minionej epoki, który nie rozumie wyzwań stanowiących dziś trzon lewicowego myślenia o świecie, takich jak zmiany klimatyczne, przemiany obyczajowe czy walka z nierównościami.

Sam Tusk zresztą oficjalnie zarządził odwrót od lewicowego skrętu Platformy, zainicjowanego przez jej poprzedniego szefa, Borysa Budkę. Tusk chce Platformy centrowo-konserwatywnej, bo tylko taka ma szansę wygrać z PiS, na lewicowe pomysły nie bardzo więc jest tu miejsce. W swojej książce stwierdza zresztą wprost, że Lewica jest zbyt skupiona na „mniejszościowych projektach, a ostry spór o prawa LGBT czy też migrantów uniemożliwi budowanie większości, która jest w stanie wygrać".

– Wszystko wskazuje na to, że plan Tuska zakłada zepchnięcie Lewicy pod próg wyborczy i doprowadzenie do sytuacji, w której Lewica będzie występować wobec Platformy w roli petenta – podkreśla dr Rydliński. To, że Tusk idzie z Lewicą na wojnę na wyniszczenie, dostrzegli także inni obserwatorzy życia publicznego, zwłaszcza ci, którzy nie kryją lewicowych poglądów. „Tusk redukuje Lewicę do Czarzastego, bo Biedroń cieszy się dwukrotnie większym zaufaniem i wskazanie go jako ewentualnego koalicjanta PiS byłoby groteskowe. A za Czarzastym ciągną się cień Rywina i trudny charakter, więc się nadaje do straszenia wyborców […]" – pisał na łamach „Gazety Wyborczej" Jacek Żakowski. „Aby zmienić władzę, musimy współpracować, szanując odmienne tożsamości wyborców i partii. Współpraca wymaga zaufania" – zaapelował do Tuska.

RYZYKOWNA ROZGRYWKA

W tej samej „Wyborczej" ukazał się także tekst pod znamiennym tytułem „Lewica pod progiem, czyli niebezpieczna gra Tuska", w którym wskazywano, że dalsze ataki na Lewicę mogą zakończyć się scenariuszem z 2015 r., gdy SLD nie wszedł do Sejmu, otwierając drzwi do samodzielnych rządów Zjednoczonej Prawicy. „Tusk gra na to, żeby Lewica w ogóle nie weszła do Sejmu albo wszedł jej substytut koncesjonowany przez KO" – czytamy w „Wyborczej". Jakub Majmurek w „Krytyce Politycznej" wytykał szefowi Platformy, że jego gra „jest bardzo ryzykowna, krótkoterminowe korzyści sondażowe wydają się w niej przesłaniać szerszy plan". – Równie nierozsądnie zachowuje się Lewica, dając aż tak łatwo się sprowokować i rozgrywać – dodał.

To, że Lewica nie chce dać się sprowadzić do roli partii, która pokornie realizuje plan Tuska, nie powinno specjalnie dziwić. SLD ma z Tuskiem własne rachunki krzywd – Tusk, będąc u władzy, przez lata „podszczypywał" SLD, o podkradaniu jego popularnych polityków takich jak Bartosz Arłukowicz, Danuta Hübner czy Dariusz Rosati nawet nie wspominając. Politycy SLD alergicznie reagują też na to, że czołowym krytykiem Lewicy u boku Tuska stał się dziś Leszek Miller, były premier i były szef SLD, a obecnie europoseł Koalicji Obywatelskiej, który ma uwiarygodniać Tuska w oczach najtwardszego lewicowego elektoratu.

– Lewica musi walczyć, nie może zdezerterować, bo lepiej być liderem małej formacji, ale niepodległej. Dlaczego Lewica miałaby się zapisywać do Platformy, skoro już raz zapłaciła wysoką cenę za próbę konkurowania z liberałami. Lewica musi być socjaldemokratyczna, bo tylko wtedy będzie odróżniać się od reszty opozycji – podkreśla dr Bartosz Rydliński.

Nie ułatwiają zadania Tuskowi, któremu marzy się jedna wspólna lista opozycyjna – tak jak na Węgrzech – także pozostali potencjalni sojusznicy, czyli ludowcy oraz Szymon Hołownia. PSL wciąż upiera się przy budowie własnego bloku umiarkowanej chadecji, który wystartowałby bez Platformy. A Hołownia dał właśnie Platformie bolesnego prztyczka w nos – jego ludzie dogadali się z PiS i wspólnie przejęli władzę w radzie miasta w Krakowie, którą rządziła Platforma wraz z Nowoczesną i ludźmi urzędującego prezydenta miasta.

Politycy Lewicy też nie zasypiają gruszek w popiele. Na wpychanie ich przez Tuska w ramiona PiS odpowiadają wpychaniem Tuska w ramiona Konfederacji. Krzysztof Śmiszek stwierdził, że Tusk nagminnie krytykuje Lewicę i inne partie z wyjątkiem Konfederacji. „O tym się nie mówi" – stwierdził w jednym z wywiadów. „Stawiam więc pytanie, czy Donald Tusk woli w przyszłej koalicji rządowej rządzić z Konfederacją, z nacjonalistami i z grupami skrajnymi czy z Lewicą, socjaldemokratyczną, demokratyczną partią, która walczy i o prawa człowieka, i o praworządność?" – pytał.

Na pytanie o to, kto będzie rządził po wyborach i w jakiej konfiguracji, trudno dzisiaj odpowiedzieć. Podobnie jak nie sposób dziś jednoznacznie stwierdzić, jak będą wyglądały opozycyjne listy wyborcze i ile ich będzie. Wszystko – jak twierdzi prof. Rafał Chwedoruk – będzie zależało od przedwyborczych sondaży i tego, w jakiej kondycji w okres przedwyborczy wkroczą poszczególne partie. To szczególnie dotyczy Lewicy.

– Siłą Włodzimierza Czarzastego jest to, że po kadencji nieobecności jednak wprowadził SLD do Sejmu i sejmików. Jeśli Lewicy uda się utrzymać na poziomie 7–8 proc., to prawdopodobieństwo jej samodzielnego startu będzie bardzo duże. Jeśli będzie niższe, to zdarzyć się może absolutnie wszystko, z najmniej korzystnymi dla Lewicy scenariuszami włącznie – prognozuje Chwedoruk.

Na to ostatnie bardzo liczy Donald Tusk. Co wybrzmiewa praktycznie z każdej jego publicznej wypowiedzi w ostatnich miesiącach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM

Oleksy – postkomunista bez sukcesji

Piotr Semka

Jest coś zdumiewającego w tym, że tak wyrazista postać postkomunistycznej lewicy jak Józef Oleksy jest dzisiaj symbolem raczej bezpańskim

Kilka dni temu, 9 stycznia, minęło siedem lat od śmierci Józefa Oleksego, jednego z liderów obozu postkomunistycznego po 1989 r. Podczas pogrzebu w 2015 r. jego trumnę odprowadzał korowód polityków Sojuszu Lewicy Demokratycznej i pomniejszych partii lewicy. Teraz nie sposób nie zauważyć, że pamięć o Józefie Oleksym okazała się dosyć krucha. Na stronie partii Nowa Lewica nie zauważono rocznicy śmierci byłego premiera. W „Gazecie Wyborczej" ukazała się jedynie ufundowana przez „przyjaciół" klepsydra z przepraszającym zapisem: „Józef Oleksy, premier rządu RP i wieloletni marszałek Sejmu RP, ze względu na pandemię nie możemy jak co roku spotkać się przy jego grobie na Powązkach Wojskowych. Mimo panujących obostrzeń pamiętamy o Józefie i wspominamy go jak co roku".

Jedyny szerszy tekst na temat śmierci Oleksego napisał na stronie Krytyki Politycznej Michał Syska, szef lewicowego Ośrodka Myśli im. Ferdinanda Lassalle'a. Jego wspomnienie otrzymało tytuł: „Oleksy – ostatni taki postkomunista". Michał Syska wyraźnie ubolewa w nim, że przedwczesna śmierć spowodowała, iż Józef Oleksy nie bierze po raz drugi udziału w tworzeniu nowej formacji polskiej lewicy. Cytuje współtworzoną przez Oleksego deklarację na ostatnim XI Zjeździe PZPR, znanym powszechnie ze słów Mieczysława Rakowskiego „Sztandar wyprowadzić". Syska chwali odwagę gen. Jaruzelskiego i Mieczysława Rakowskiego w dziele odmłodzenia kadr komunistycznej partii w drugiej połowie lat 80. To wtedy Aleksander Kwaśniewski i Józef Oleksy trafili do rządu, a Leszek Miller do komitetu centralnego PZPR. Jak podkreśla, wszyscy trzej zasiedli przy Okrągłym Stole.

„Gdy zmieniał się ustrój, byli już doświadczonymi, ale wciąż młodymi politykami, dla których perspektywy nie wydawały się obiecujące. Nie chcieli wycofać się z życia publicznego, nie szukali możliwości bycia dokooptowanym do obozów historycznych zwycięzców. Nie wybrali też drogi Tadeusza Fiszbacha, czyli budowy formacji lewicowej koncesjonowanej przez Lecha Wałęsę".

Syska przypomina, że do Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej, powołanej w przerwie ostatniego zjazdu PZPR w styczniu 1990 r., wstąpiło na początku jej istnienia zaledwie 6 tys. osób. Tymczasem już po paru latach trzej kolejni przywódcy SdRP – Kwaśniewski, Oleksy i Miller – będą w wyniku demokratycznej wygranej sprawować najwyższe urzędy państwowe.

Jaka była przyczyna tego sukcesu? Syska, co ciekawe, wskazuje, że „SdRP była tworzona przez generację, która polityczną inicjację przechodziła w czasach dezideologizacji PZPR [...]. Dominacja myślenia pragmatycznego i technokratycznego znalazła swoje odzwierciedlenie w działaniach liderów SdRP. Józef Oleksy w czasie jednej z narad socjaldemokratów w 1996 r. mówił: »Świadomie przyjęliśmy, że nie będziemy partią ideologiczną, że jako socjaldemokracja będziemy partią nieideologiczną – pragmatyczną partią dążącą do sukcesu, do spożytkowania możliwości i że będziemy partią wyborczą«".

Syska przywołuje też wypowiedź innego założyciela SdRP Sławomira Wiatra, który podkreśla: „Od początku w działaniach lewicy [po 1989 r. – przyp. P.S.] nie

eprasa.pl c9911e100d

było ani patetyzmu, ani bujania w obłokach. Byliśmy pragmatyczni i uczciwi w swej ofercie politycznej".

Szef instytutu im. Lassalle'a zadaje wnikliwe pytanie: „Co zatem łączyło członków SdRP, jeśli tym spoiwem nie była ideologia?". I odpowiada: „Wspólnota życiorysów i chęć adaptacji na własnych warunkach w nowych okolicznościach ustrojowych". I dalej: „Ta wspólnota zaczęła słynąć wraz ze wzmacnianiem się postkomunistycznej lewicy na politycznej arenie, a jej erozja w latach 2001–2005 przez wiele osób uważana jest za przyczynę trwającego do dzisiaj kryzysu całej formacji". Jak wskazuje Syska, Oleksy należał do tych polityków SLD, którzy przestrzegali przed wewnętrznymi sporami personalnymi i apelowali o ideową i programową refleksję. Nikt się jego przestrogami po lewej stronie nie przejął.

SZCZEGÓLNY WYPADEK JÓZEFA O.

Istotnie, jest coś zdumiewającego w tym, że tak wyrazista postać postkomunistycznej lewicy jak Józef Oleksy jest dzisiaj symbolem raczej bezpańskim. Obecny lider Nowej Lewicy – Włodzimierz Czarzasty – nigdy specjalnie za Oleksym nie przepadał. Jak się wydaje, przez lata raczej irytowała go bardzo długa dominacja w obozie SLD „generacji 1946 r.". W tym symbolicznym 1946 r. urodzili się obok Józefa Oleksego Leszek Miller i Marek Borowski. Młodszy od nich o 14 lat Czarzasty (rocznik 1960) musiał czekać długie lata, zanim dopchał się do pierwszych rzędów partii w obozie czerwonych.

Jednak Oleksy był też postacią, która musiała zmagać się z niechęcią nawet w środowisku dawnych młodych wilków z PZPR. Niespecjalnie przepadał za nim Aleksander Kwaśniewski, a Leszek Miller wręcz go nie cierpiał. Oleksy wywodził się z Podhala i reprezentował wszystkie cechy ludzi, którzy w środowisku małomiasteczkowym wybrali drogę kariery w aparacie PZPR. Za młodu był ministrantem i – jak wspominają jego koledzy – rozważał wybranie kariery duchownego. Maniery dobrodusznego proboszcza dochodowej parafii towarzyszyły mu do końca życia. Wstąpił do partii już na fali naboru nowego narybku partyjnego po marcu 1968 r. Nigdy nie zapomniał mu tego Adam Michnik, który w odróżnieniu od miłości do Aleksandra Kwaśniewskiego czy Włodzimierza Cimoszewicza Oleksego traktował jak kryptomoczarowca. Była to przesada, choć faktem jest, że Oleksy w trakcie swojej kariery pierwszego sekretarza KW PZPR w Białej Podlaskiej nauczył się nie lekceważyć wpływów Kościoła. Nigdy jednak nie przestawał być jednocześnie bardzo zdyscyplinowanym aparatczykiem partyjnym.

W 1977 r. przeszedł do pracy w Wydziale Pracy Ideowo-Wychowawczej Komitetu Centralnego PZPR. Nigdy nie zapomnę, jak rozmawiałem z nim kiedyś o fenomenie Wałęsy w czasie karnawału Solidarności lat 1980–1981. Zazwyczaj pozujący na dobrodusznego gawędziarza tym razem Oleksy pod wpływem wspomnień zapłonął irytacją. W bardzo ostrych słowach wspominał, że na lidera Solidarności patrzył wówczas jak na nieodpowiedzialnego awanturnika, który może ściągnąć na Polskę katastrofę. Gdy słuchałem jego tyrady, przyszło mi do głowy, że Oleksy bał się Wałęsy jako czynnika, który może zburzyć strukturę, w ramach której on sam mozolnie wspinał się w górę do elit PRL.

Po 1990 r. Oleksy bardzo sprawnie zatarł swój poprzedni wizerunek kadrowego aparatczyka. Trafnie wyczuł, że zwykli ludzie w Polsce zostali ciężko potrąceni reformą Balcerowicza, i rozpoczął grę na zostanie trybunem ludowym. Prezentował się jako przyjaciel byłych PGR-owców i robotników z upadających kombinatów. Było to bardzo perfidne w sytuacji, gdy jednocześnie ten sam Oleksy korzystał ze swojej pozycji do utrzymywania jak najlepszych stosunków z czerwonymi oligarchami, takimi jak Aleksander Gudzowaty. Wypominano mu na lewicy jego wizytę na Jasnej Górze w 1994 r. i jego ostrzeżenia, by SLD nie angażował się np. w spór o zdejmowanie krzyży w szkołach i instytucjach publicznych. Pragmatyzm Oleksego w tej kwestii to efekt doświadczenia czerwonego pokolenia lat 80., które widziało na własne oczy siłę autorytetu Kościoła.

Świat Oleksego zaczął się chylić ku upadkowi wraz z dymisją ze stanowiska premiera, która była z kolei echem oskarżeń o związki z sowieckim dyplomatą i funkcjonariuszem KGB Władimirem Ałganowem. Oleksy, wypchnięty z funkcji premiera przez partyjnych kolegów, po nagraniu pożegnalnego przemówienia w TVP rzucił kąśliwie: „Jak zostanę prymasem, to nie dam się wyrzucić z siodła". Ale tak naprawdę był to już koniec jego wielkiej kariery. Mógł obserwować, jak Leszek Miller wepchnął lewicę w aferę Rywina, i jeszcze próbował reanimować SLD jako jej szef w latach 2004–2005. W ostatnich pięciu latach życia Oleksy marniał w oczach trawiony chorobami.

NIEPOWTARZALNY PRZYPADEK

Tekst Michała Syski demonstrujący żal za Oleksym doskonale pokazuje, jakim trudnym do powtórzenia fenomenem była pozycja postkomunistów w latach 1990–2005. Tacy politycy jak Kwaśniewski czy Oleksy potrafili doskonale zrozumieć, że istnieje pole do ich przetrwania na politycznej scenie. Zrozumieli, że obóz Solidarności po przekonaniu się o swoim ostatecznym sukcesie w czerwcu 1989 r. będzie ulegał wewnętrznym konfliktom, gdy tylko zniknie komunizm – wielki integrator solidarnościowego obozu. Postkomuniści zrozumieli też wtedy, jak bardzo potrzebni są Adamowi Michnikowi, który obawiał się dominacji jakiejś formy neoendecji nad polską sceną polityczną, a jednocześnie tacy politycy jak Oleksy dobrze rozumieli, że nie zyskają mocniejszej pozycji, jeśli będą niewolniczo realizować poprawnościową agendę postępowców z Zachodu.

I dlatego SLD mógł wygrywać wybory w latach 1993 i w 2001. Potem w naturalny sposób pokolenie Oleksego zaczęło starzeć się i tracić kontakt z lewicową młodzieżą, która zachwycała się LGBT, feministkami i walką w obronie klimatu. Problemem lewicy obecnie jest brak polityków łączących w sobie powagę ze słuchem społecznym. Ani dość tandetny macher Włodzimierz Czarzasty, ani infantylny Robert Biedroń, ani wreszcie pryncypialny Adrian Zandberg nie dają się porównać z Józefem Oleksym. Można postawić tezę, że utrącenie Oleksego w 1995 r. przez koalicję wrogów z Leszkiem Millerem na czele przyspieszyło znacznie koniec sukcesów lewicy. A nowa generacja nie wykreowała nikogo, kto mógłby przyciągać do siebie duże grupy wyborców.

Lewica nigdy nie była w stanie wymyślić programu „500+" i zawsze jedynie sprawnie imitowała wrażliwość społeczną. Michał Syska naiwnie wierzy, że gdyby Oleksy żył, być może tworzenie nowej lewicy odbywałoby się mądrzej. Trudno rozstrzygnąć, ale prawdopodobne mogłoby być to, że Oleksy dzisiaj byłby ignorowany przez młodszą generację lewicowców. Pokolenie 1946 wygrało w latach 90. los na loterii politycznej koniunktury. Dzisiaj to wspominanie złotej epoki przez takich lewicowców jak Syska tylko podkreśla, jak bardzo był to fenomen krótkiego czasu i dzieło specyficznej grupy ludzi. Było, minęło, to se ne vrati…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

Powrót watykańskiej Ostpolitik

Tomasz Rowiński

Cel nowej odsłony polityki wschodniej Watykanu jest jasny – działać na osłabienie regionu, który Moskwa uważa za swój polityczny bufor, w zamian za ochronę katolickiej struktury na obszarze prawosławnym

Konflikt graniczny między Polską a Białorusią, który z różnym natężeniem tli się od kilku miesięcy, jest sytuacją nową nie tylko dla władz Rzeczypospolitej. W niespodziewanych trudnościach znalazł się także Kościół katolicki w Polsce, na który – pierwszy raz od dziesięcioleci – Stolica Apostolska wywiera presję w kwestiach bezpośrednio politycznych. Choć medialne zainteresowanie sytuacją na granicy w ostatnich tygodniach się zmniejszyło, to nie znaczy to, że zniknęły napięcia, które ona generuje.

Napięcia te nie mogą zresztą zniknąć, ponieważ wynikają z jednej strony z kursu w polityce międzynarodowej, który przyjęła Stolica Apostolska, a z drugiej – z polityki informacyjnej samego papieża, który nieustannie podnosi temat migracji. Ponieważ wciąż powracają słowa o „drucie kolczastym" i „murach", nie da się pominąć w lekturze tych wypowiedzi kontekstu polskiego.

W przemówieniu do korpusu dyplomatycznego 10 stycznia papież po raz kolejny wyłożył aktualną interpretację watykańskiej doktryny w sprawie migracji i migrantów. Stanowi ona w ostatnich latach ważne narzędzie międzynarodowej polityki Kościoła. Za prezydentury Donalda Trumpa dawała amunicję, by krytykować nielubianego republikańskiego prezydenta deklarującego walkę z nielegalną imigracją. Dziś pozwala ona na ocieplanie stosunków z Moskwą kosztem państw i katolickich Kościołów lokalnych w Europie Wschodniej. Papież o migracji

PAPIEŻ O MIGRACJI

„Nie możemy pozostać obojętni, nie możemy okopać się za murami i drutami kolczastymi pod pretekstem obrony bezpieczeństwa czy stylu życia" – mówił papież. „Zdaję sobie sprawę z trudności, które niektóre państwa napotykają w obliczu dużego napływu osób. Nikogo nie można prosić o zrobienie tego, czego nie jest w stanie uczynić, ale istnieje wyraźna różnica między przyjęciem, choć w ograniczonym zakresie, a całkowitym odrzuceniem" – kontynuował Franciszek. I zaznaczał: „Musimy przezwyciężyć obojętność i odrzucić pogląd, że migranci to problem innych. Skutek takiego podejścia widzimy w dehumanizacji migrantów [...]". Dodajmy jeszcze jeden fragment: „Niestety należy również zauważyć, że sami migranci często stają się narzędziem szantażu politycznego, swego rodzaju kartą przetargową, która pozbawia osoby godności".

Papieskie pouczenia, które w swoich ogólnikach mogą wydawać się moralnie słuszne, na poziomie politycznym zawierają pewne sprzeczności, dzięki którym Watykan od dłuższego czasu prowadzi swoją polityczną grę. Stolica Apostolska, widać, uznała, że świat wszedł już w nową fazę koncertu mocarstw i Kościół potrzebuje dziś bilateralnie zabezpieczać swoją obecność. Szczególnie w relacjach z najważniejszymi, niedemokratycznymi graczami, takimi jak Chiny i Rosja. Tę grę dobrze było widać podczas spotkania abp. Paula Gallaghera, watykańskiego sekretarza ds. relacji z państwami, z rosyjskim ministrem Siergiejem Ławrowem 9 listopada 2021 r. w Moskwie. W udostępnionym wideo watykański dyplomata wezwał kraje europejskie do zażegnania „kryzysu humanitarnego", a jednocześnie poinformował, że Kościół w Polsce skrytykował zachowanie polskiego rządu wobec uchodźców. Ławrow nie pozostał dłużny w uprzejmościach i zwrócił uwagę na „uważny i pełen szacunku stosunek Franciszka do stanowiska rosyjskich władz w sprawach międzynarodowych". Szybko również zdyskontował wypowiedź Gallaghera, rzucając pytanie o to, dlaczego Unia Europejska nie pomoże Białorusi. Skoro bowiem mamy do czynienia po prostu z „kryzysem humanitarnym", który w równym stopniu dotyczy Polski, Litwy czy Białorusi, to należy go rozwiązać wspólnym wysiłkiem.

PRZENOSZENIE WIN

Moralizatorskie stanowisko Stolicy Apostolskiej, unikające odniesień do konkretu politycznego, którym jest konflikt graniczny pomiędzy państwami, było

eprasa.pl c9911e100d

FOT. VATICAN MEDIA/AFP/EAST NEWS

i jest Rosji na rękę. Pozwala Putinowi i jego ludziom retorycznie przenosić odpowiedzialność z Łukaszenki, świadomie dążącego do eskalacji na granicy z Polską, na nasz kraj i Unię Europejską. Pozwala omijać istotne kwestie, takie jak rozróżnienie na migranta i uchodźcę, zasadnicze w ocenie działań służb wszystkich krajów zaangażowanych w konflikt. Poza tym stanowisko papieża z pewnością ma znaczenie w kształtowaniu opinii społeczeństw, nawet na zlaicyzowanym Zachodzie.

Na słowa abp. Gallaghera polski Kościół zareagował 10 listopada 2021 r. stanowiskiem abp. Stanisława Gądeckiego, przewodniczącego KEP. „Stanowczo potępiam wykorzystywanie przez stronę białoruską dramatów ludzkich do prowadzenia działań przeciwko suwerenności Polski [...]. Pragnę raz jeszcze powtórzyć, że osobom dotkniętym tym złem potrzebna jest nasza solidarna troska" – napisał metropolita poznański. Wyraził wdzięczność „dla wszystkich służb państwowych, w tym przede wszystkim dla Straży Granicznej, wojska i policji, za pełną oddania obronę polskich granic". Uzupełnił też wypowiedź prośbą o „modlitwę w intencji Polski, w intencji ofiar tego kryzysu oraz o jego pokojowe zażegnanie".

Reakcja na słowa Gallaghera była czymś więcej niż tylko odpowiedzią na sprokurowany w Moskwie dysonans dyplomatyczny. Stanowiła próbę balansowania narastającego w Polsce niezrozumienia dla stanowiska Kościoła wobec kryzysu granicznego, którego głównym suflerem w sposób ciągły był Franciszek. Wcześniej hierarchowie właściwie milczeli w tej sprawie lub zwracali uwagę głównie na trudności, których doświadczali migranci. Dodatkowo 5 listopada 2021 r. zaskoczyli polskich katolików ogłoszeniem zbiórki na ich rzecz. Zbiórka została zaplanowana na 21 listopada. Tymczasem 16 listopada doszło do bezpośredniego szturmu na przejście w Kuźnicy, a listopadowe tygodnie okazały się okresem apogeum agresywnej presji na polską granicę. Dziwne wyczucie miejsca, czasu i okoliczności mieli polscy biskupi.

Polscy biskupi zareagowali na sytuację przy granicy jeszcze raz w szerszym zakresie w komunikacie z 390. Zebrania Plenarnego Konferencji Episkopatu Polski, który opublikowany został 19 listopada. Powtórzono w nim właściwie znane już stanowisko Stolicy Apostolskiej skupiające się na konieczności zapewnienia dobrostanu migrantom. „Nie ma też wewnętrznego konfliktu między dobrze rozumianym patriotyzmem i koniecznością obrony naszych granic a pomocą bliźniemu w potrzebie, w duchu dobrego Samarytanina". Czy rzeczywiście?

PRESJA NA BISKUPÓW

Trzeba postawić raczej hipotezę, że na polskich biskupów była wywierana presja – lub oni sami czuli się pod presją – by trzymać się watykańskiego przekazu niekorzystnego dla Polski. W przekazie tym działania obronne państwa polskiego w najlepszym razie zostały przedstawione jako zło konieczne.

Warto w tym kontekście przywołać jeszcze jedno wydarzenie z tamtego czasu. 30 listopada 2021 r., dwa dni po tym, jak Franciszek wspomniał przed modlitwą „Anioł Pański" sytuację na granicy polsko-białoruskiej, nasz kraj odwiedził, w ramach konsultacji synodalnych, przewodniczący niemieckiego episkopatu bp Georg Bätzing. Po spotkaniu obie strony wydały odpowiednie komunikaty, które jednak znacznie się od siebie różniły. Zwrócił na to uwagę Cezary Kościelniak w tekście „Jakiego dialogu z Kościołem niemieckim dziś potrzebujemy?", który ukazał się na portalu pisma „Christianitas".

„W rozmowie z polskimi biskupami Konferencja Episkopatu Niemiec wyraziła także opinię, że push-backi nakazywane przez rząd polski nie są zgodne z europejskimi wartościami i normami. Aby zażegnać kryzys, kraje europejskie muszą ostatecznie także być gotowe na przyjmowanie uchodźców bez cofania się przed szantażem ze strony Białorusi" – napisali biskupi niemieccy w swoim podsumowaniu. Biskupi polscy nie wspomnieli o tym wątku, ewidentnie wykonując świadomy unik. Biorąc pod uwagę znaczenie niemieckiego episkopatu w dzisiejszej układance polityki kościelnej, pojawienie się takiego tematu w rozmowach episkopatów, i to w takim czasie, nie mogło być przypadkiem. W opinii niemieckiej znakomicie zresztą widać, na czym polega wspomniana wcześniej sprzeczność stanowiska watykańskiego, dzięki któremu Stolica Apostolska prowadzi swoją grę z Rosją.

„Nie sposób było przyjąć migrantów i tym samym nie zagrać w planie destabilizacji Europy. Bez umowy o readmisji nie byłoby możliwości odsyłania tych ludzi na Białoruś. Niestety, o tym dylemacie nie ma ani słowa w niemieckiej nocie. Równie niepokojąco kształtuje się strategia narracyjna tego komunikatu w aspekcie geopolitycznym" – podsumował sprawę Kościelniak.

Cel nowej odsłony polityki wschodniej Watykanu jest jasny – działać na osłabienie regionu, który Moskwa uważa za swój polityczny bufor, w zamian za ochronę katolickiej struktury na obszarze prawosławnym. Kościół w Polsce – po okresach katolickiego sprzeciwu wobec komunizmu i rosyjskiej ekspansywności, które trwały od rewolucji bolszewickiej do pontyfikatu Jana XXIII, a potem od wyboru Jana Pawła II do abdykacji Benedykta XVI – wchodzi w trudny dla siebie czas, gdy będzie musiał balansować pomiędzy kierunkiem politycznym Watykanu a wymogami polskiego dobra wspólnego. Jak to może wyglądać, historia już pokazała, gdy Grzegorz XVI potępił powstanie styczniowe czy abp Casaroli uprawiał politykę z satrapiami bloku sowieckiego ponad głowami lokalnych hierarchów i wiernych. Współczesne owoce nowej Ostpolitik Watykanu widać już w relacjach z Chinami, gdzie – w imię tajemniczego bilateralnego układu państw – katolików wydano w ręce totalitarnej władzy.

Obawiam się, że ta nowa sytuacja sprawi, że Kościół w Polsce będzie jeszcze bardziej wycofany i bezradny, niepewny swojej misji, skłonny, by ulegać jednostronnie lewicowemu spojrzeniu na migrantów. Polskie państwo ze słabym Kościołem nie będzie wcale mocniejsze w trudnych czasach, które nadchodzą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

FOT. RAFAŁ ZIANDARSKI/NA ŻYWO FOTO

Nauczyciele już doświadczają segregacji

Z Agnieszką Pawlik-Regulską, prezes Stowarzyszenia Nauczycieli i Pracowników Oświaty „Nauczyciele dla Wolności”
rozmawia Ryszard Gromadzki

RYSZARD GROMADZKI: Jakie pani zdaniem będą konsekwencje wprowadzenia projektowanych przez rząd obowiązkowych szczepień nauczycieli przeciw COVID-19 dla funkcjonowania polskiej szkoły?

AGNIESZKA PAWLIK-REGULSKA: Konsekwencją wprowadzenia przymusowych szczepień nauczycieli i innych pracowników oświaty może być zapaść systemu szkolnego w Polsce, spowodowana masowymi odejściami nauczycieli ze szkół. Nawet w tak dużym mieście jak Warszawa, gdzie pracuję, nie jest wcale oczywiste, że znajdzie się np. brakujących matematyków czy fizyków. To nie jest tak, że jeżeli w szkołach pojawią się wakaty, to automatycznie znajdą się nauczyciele. Minister Czarnek zdaje sobie z tego doskonale sprawę. Jego sceptyczne stanowisko wobec obowiązkowych szczepień tej grupy zawodowej wynika z tego, że ma świadomość, iż ok. 20 proc. nauczycieli, czyli ok. 100 tys. osób, pozostaje niezaszczepionych.

Co ewentualny przymus szczepień naszej grupy zawodowej oznacza? Dla uczniów oznacza to brak nauczycieli w szkołach. Oznacza to przerwy w nauczaniu konkretnych przedmiotów, destabilizację systemu. Oznacza to również, że jeżeli wejdzie w życie ustawa określana jako „lex Czarnek”, to rozszerzone zostanie nasze pensum, czyli liczba godzin. W ten sposób próbuje się łatać braki kadrowe.

Trzeba mieć świadomość, o czym się głośno nie mówi, że wielu nauczycieli w naszych szkołach to emeryci. Na przykład w szkołach branżowych. W Warszawie jest przynajmniej kilka takich szkół, które bazują na nauczycielach emerytowanych. Tacy nauczyciele emeryci mogą odejść z zawodu, żeby mieć święty spokój. Jeżeli wejdzie przymus szczepień, to wielu z nich po prostu to zrobi, zadowalając się swoim świadczeniem emerytalnym. To nie jest dla nich sprawa życia i śmierci, tylko dodatkowy zarobek. Oni sobie poradzą. Będą udzielać korepetycji i świetnie na tym wyjdą. Zresztą z sygnałów, które docierają do naszego stowarzyszenia z całego kraju, wynika, że nauczyciele już teraz odchodzą z zawodu.

Odchodzą, chociaż na razie przymus szczepień jeszcze nie obowiązuje...

Powtórzę to, co podkreślałam podczas publicznego wysłuchania w sprawie projektu ustawy nr 1846. Ustawy nie ma, ale nauczyciele już doświadczają segregacji i nacisków w kierunku szczepień. Moje koleżanki i koledzy bardzo często mają z tym do czynienia. Jeżeli idzie się kolejny raz na kwarantannę i otrzymuje 80 proc. pensji zasadniczej, a to naprawdę nie są duże pieniądze, i traci wszystkie dodatki oraz nadgodziny, a także jest się w areszcie domowym jako człowiek zdrowy, ze świadomością, że nie zrealizuje się podstawy programowej, bo ileś czasu ucieka, i gryzie się ściany, siedząc w domu, to też działa destrukcyjnie na psychikę. U jednych budzi to złość i chęć walki. Tacy nauczyciele rzeczywiście zaczynają walczyć, wielu z nich jest zresztą w naszym stowarzyszeniu. Inni popadają w rezygnację i rozgoryczenie czy nawet depresję. Wiem o koleżankach nauczycielkach, które doświadczają tego rodzaju problemów i są pod opieką specjalistów. Wielu nauczycieli bierze urlop zdrowotny po to, żeby odpocząć od tego szaleństwa. Jednak najbardziej poszkodowane są dzieci i młodzież. Bo to oni nie mają lekcji, oni mają braki w wiedzy. Może teraz nie

eprasa.pl c9911e100d

zdają sobie z tego sprawy, bardziej świadomi tych ponurych skutków są rodzice.

Stosunek do szczepień mocno dzieli środowisko? Jakie nastroje panują w pokojach nauczycielskich?

Często zdarzają się przejawy bezpośredniej dyskryminacji. Na przykład sytuacje, kiedy do pokoju nauczycielskiego wpada nauczyciel z pretensjami do innego, mówiąc mu, że przez niego umrze. Publiczne piętnowanie jest dość powszechne. Zgłaszają się do nas nauczyciele, którzy tego doświadczają. Piętnowane są dzieci, niestety na ogół przez nauczycieli. Same dzieciaki, jak widzę i słyszę, raczej się jeszcze palcami nie wytykają z powodu szczepień.

Drugie zjawisko, które obserwuję, to zmowa milczenia. Owszem, rozmawia się o sprawie w grupach, ale na szerszym forum temat nie istnieje. Oczywiście jedno trzeba powiedzieć wprost: nauczycieli, którzy przeciwstawiają się przymusowi szczepień i dyskryminacji z tego powodu, jest mniejszość. Wymieniając informacje w ramach naszego stowarzyszenia, a działamy w 13 województwach, dowiadujemy się, że w dużych szkołach, zatrudniających na przykład 100 nauczycieli, aktywnie przeciw segregacji opowiada się tylko jeden lub kilku z nich. Zauważam jednak pewien trend. Koleżanki, które przyjęły nawet obydwie dawki szczepionki przeciw COVID-19 i doświadczyły różnych przykrych objawów zdrowotnych, które mogły być spowodowane przez ten preparat, mówią, że nie zdecydują się na przyjęcie trzeciej dawki, bo się po prostu boją. Poza tym sytuacja w szkołach jest taka, że ewidentnie częściej chorują nauczyciele zaszczepieni. Tak wynika z rozmów, które prowadzimy we własnym środowisku. Myślę, że jest grupa nauczycieli, która nie ma odwagi się wychylać, ale obserwuje sytuację i wcale nie jest chętna, żeby przyjąć kolejną dawkę szczepionki.

Przeciwnicy szczepień na COVID-19 w narracji forsowanej przez zdecydowaną większość polskiej sceny politycznej i mediów klasyfikowani są jako „antyszczepionkowcy", co ma oznaczać zwolenników teorii spiskowych, osoby ulegające zabobonom czy wręcz nieobliczalnych ekstremistów. Taki obraz wdrukowuje się w świadomość społeczną.

Jedno z pytań, które usłyszeliśmy podczas spotkania z minister Bogną Janke, sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta – z prezydentem niestety nie udało nam się spotkać – brzmiało: „Dlaczego jesteśmy przeciwnikami szczepień?". My nie sprzeciwiamy się szczepionkom jako takim, choć mamy na ten temat swoje zdanie, lecz domagamy się szacunku dla naszego prawa wyboru. Jeśli ktoś decyduje się przyjąć preparat oceniany przez nas jako produkt inżynierii genetycznej i eksperyment medyczny, to robi to na własne ryzyko i ma do tego prawo. My chcemy, żeby szanowano nasze zdanie. Pani minister przekonywała nas, że trzeba uszanować lęk ludzi, którzy się szczepią, bo boją się zachorować czy umrzeć na COVID-19. Ja to szanuję, ale bardzo proszę, żeby uszanowano lęk tych osób, które boją się zaszczepić, bo słyszą o niepożądanych objawach poszczepiennych.

Kiedy podobne stanowisko wyraziła Barbara Nowak, małopolska kurator oświaty, została natychmiast brutalnie zbesztana przez ministra Niedzielskiego. Choć złożyła coś w rodzaju samokrytyki, to ludzie z doradzającej premierowi Rady Medycznej, na czele z prof. Horbanem, cały czas domagają się jej dymisji. Przejawów takiego pełzającego totalitaryzmu w naszym życiu publicznym wobec przeciwników oficjalnej narracji na temat COVID-19 szybko przybywa...

Proszę zwrócić uwagę, że prawo do własnej opinii, a nawet prawo do wykonywania zawodu usiłowano odebrać także lekarzom z tytułami naukowymi. Na szczęście Izba Lekarska tego nie zrobiła. Zdecydowanie te totalitarne tendencje, których przykładem jest sprawa kurator Nowak, są bardzo niepokojące. Pani kurator napisała, że jako historyk nie powinna się wypowiadać na tematy medyczne, ale w tym miejscu wręcz narzuca się pytanie, czy powinien to robić w sposób nacechowany wyjątkową butą minister Niedzielski, który przecież też nie jest lekarzem. W 100 proc. zgadzam się z tym, co powiedziała pani kurator w sprawie szczepień. Każdy bierze odpowiedzialność za to, co mówi. Jakim prawem nam się to odbiera? Uczę dzieci krytycznego myślenia. Takie praktyki je wykluczają. Jestem przerażona postawą naszych decydentów, którzy dyktują obywatelom, co oni mają myśleć. Nikt też nie ma prawa przymuszać kogokolwiek do czegokolwiek. Nasze babcie mawiały, że do czegoś dobrego nie trzeba przymuszać, a jeśli ktoś próbuje tak zrobić, to się pięć razy zastanów. Wszelki przymus jest elementem władzy totalitarnej. Absolutnie nie ma na to naszej zgody.

Czy nauczyciele spotykają się z przejawami presji w sprawie szczepień przeciw COVID-19 ze strony rodziców uczniów?

Myślę, że tu dużo zależy od środowiska, w którym działa szkoła. Sytuacja jest bardzo zróżnicowana. Na przykład w Warszawie mamy bardzo różnych rodziców, w różnych dzielnicach miasta. Podobnie jest w całej Polsce. Z mojej obserwacji wynika, że rodzice są przede wszystkim bardzo zmęczeni sytuacją, często zdenerwowani i zestresowani. Chcieliby nie mieć problemów i na różne sposoby próbują to zrealizować. Część decyduje się zaszczepić dzieci, bo wtedy będzie mniej problemów. Można będzie podróżować po świecie, będzie większa szansa na zajęcia w szkole. Wszystko w imię świętego spokoju. Nie słyszałam, żeby ze strony rodziców były naciski na nauczycieli w kierunku szczepień. I Bogu dzięki. Jedyny taki sygnał dotarł do mnie ze szkół w Wielkopolsce, gdzie rodzice nie chcieli posyłać dzieci do szkoły tydzień przed feriami, żeby nie pozarażały się na ferie, co w mojej ocenie w dalszej perspektywie jest bardzo niepokojącym zjawiskiem.

W jaki sposób kryzys związany z COVID-19 odbija się na uczniach? Jaki ślad zostawiają w nich zdalne nauczanie, kwarantanny, maskowanie twarzy?

Skutkiem zdalnego nauczania jest zauważalne wycofanie dzieci. Ta diagnoza bardzo często pojawia się, kiedy wymieniamy się opiniami z nauczycielami z różnych stron kraju. To są inne dzieci, inna młodzież. Bardziej wyizolowani, wyciszeni. Ale nie wyciszeni w pozytywnym znaczeniu. Od strony psychologicznej czas pandemii odbija się na naszych dzieciach fatalnie.

W ubiegłym roku nosiłam się z zamiarem, żeby pokazać uczniom bardzo wartościowy film wyświetlany wówczas w kinach, którego bohaterka, młoda dziewczyna, kilka razy przeżywała swoją śmierć. Po konsultacji z wychowawczynią zdecydowałam, że nie mogę go pokazać. Uznałam, że w obecnej sytuacji byłby on za mocny. Dzieci i młodzież są bardzo pokiereszowane sytuacją, z którą mamy do czynienia od dwóch lat. Boją się o przyszłość, mają problemy emocjonalne, stany depresyjne. Chcę zwrócić uwagę na jeszcze jedno niepokojące zjawisko, swoiste rozdwojenie rzeczywistości. Uczniowie zakładają maski, kiedy przechodzi nauczyciel, ale ściągają je, jak tylko ich minie. Podobnie jest wszędzie. Przecież to uczy fałszu, nieszczerości, kombinowania. Naprawdę chcemy w takim kierunku prowadzić naszą młodzież?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

Agnieszka Niewińska

Cena dobroczynności

Kilkusetprocentowe podwyżki cen gazu postawiły pod ścianą organizacje charytatywne. Trzeba było nowelizacji ustawy, by mogły płacić „tylko" o połowę więcej

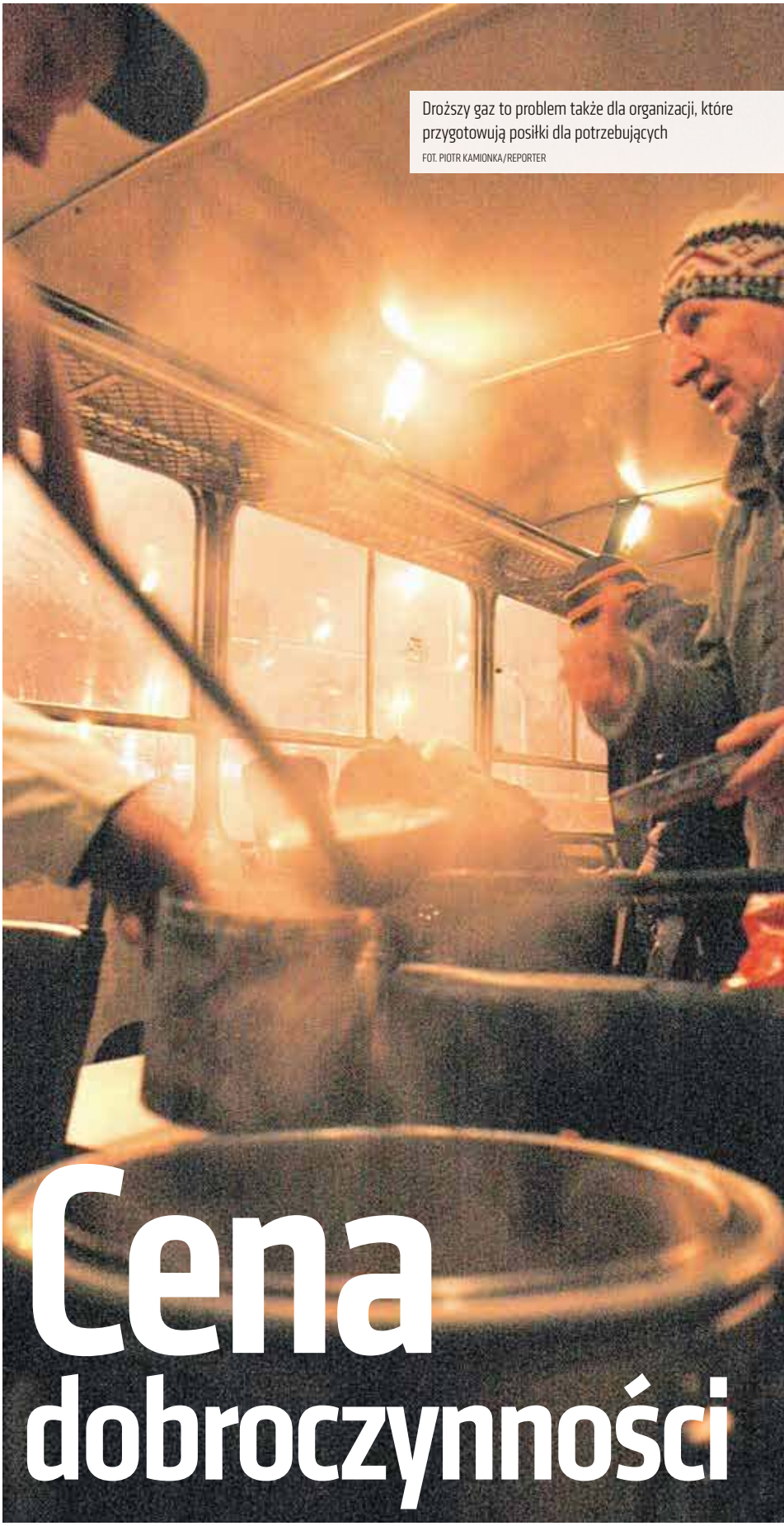

Droższy gaz to problem także dla organizacji, które przygotowują posiłki dla potrzebujących

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

Informacje o horrendalnych kilkusetprocentowych podwyżkach cen gazu w niektórych spółdzielniach mieszkaniowych i wspólnotach obiegły media już pod koniec ubiegłego roku. Szybko się okazało, że nie tylko mieszkańcy części budynków wielorodzinnych znaleźli się w tarapatach, lecz także liczne szpitale, szkoły czy organizacje charytatywne prowadzące m.in. schroniska, hospicja, jadłodajnie dla ubogich.

Gigantyczne rachunki za gaz za listopad i grudzień dostał Dom Pomocy Społecznej Fundacji „Pomocna Dłoń" z Warszawy, który w latach 90. zbudowali rodzice niepełnosprawnych intelektualnie dzieci, chcąc zabezpieczyć im przyszłość, gdyby ich już zabrakło. – W listopadzie rachunek był ok. 100 proc. wyższy, za grudzień już o 500 proc. Do zapłacenia było 30 tys. zł. Na razie udało nam się zapłacić tę fakturę w części. Wystąpiłam o prolongatę spłaty reszty należności. To są dla nas ogromne koszty, a przecież z ogrzewania domu nie możemy zrezygnować – mówi Jolanta Zaraś, dyrektor DPS Fundacji „Pomocna Dłoń".

JAK GOTOWAĆ BEZ GAZU?

W Lublinie konferencję prasową zwołała Monika Zielińska, prezes Bractwa Miłosierdzia im. św. Brata Alberta, które od lat 80. wspiera ubogich, m.in. wydając posiłki, prowadząc schronisko dla bezdomnych. Rachunki za gaz okazały się nie do udźwignięcia. Faktura za korzystanie z niego w kuchni, która codziennie wydaje ok. 300 posiłków, w grudniu 2020 r. opiewała na ok. 3,6 tys. zł. Za ostatni grudzień do zapłaty Bractwo ma 19 tys. zł. Wzrosły też koszty ogrzania schroniska dla bezdomnych, w którym schronienie znajduje przeszło 60 osób – z 1,6 tys. zł w grudniu 2020 r. do 6,2 tys. w grudniu 2021 r. – Nie stać nas na to – przyznała Monika

eprasa.pl c9911e100d

Zielińska, podkreślając, że Bractwo nie prowadzi działalności gospodarczej, tylko korzysta z dotacji miejskich i wsparcia od darczyńców. – Jeżeli nie będziemy mieli na te rachunki, to nam gaz odłączą i będziemy zmuszeni zamknąć naszą organizację – tłumaczyła Zielińska.

Kamiliańska Misja Pomocy Społecznej, prowadząca w stolicy Pensjonat św. Łazarza dla osób w kryzysie bezdomności, już w grudniu pokazała swoją fakturę z gazowni i prognozę na następne miesiące. „Zamiast niespełna 5 tys. za ogrzewanie budynku i podgrzanie wody czeka nas blisko 20 tys. miesięcznie" – napisało kierownictwo Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej na Facebooku, dodając: „Rachunek za gaz nas dobije. Czeka to wszystkie organizacje społeczne".

Siostra Małgorzata Chmielewska ze Wspólnoty Chleb Życia, która prowadzi dziewięć domów m.in. dla osób chorych, bezdomnych czy samotnych matek, poinformowała, że rachunki za gaz w tych placówkach wzrosły dwuipółkrotnie. To oznacza, że koszty ogrzewania będą wyższe o ponad 100 tys. zł w skali roku. „Ja tylko tak pytam: Skąd organizacje prowadzące placówki m.in. dla osób bezdomnych, ale nie tylko, mają wziąć pieniądze na gaz i prąd? Podwyżki są tak kolosalne, że chyba trzeba będzie palić ogniska. Czy politycy wzięli pod uwagę ochronę najsłabszych? Zawsze jak jest kryzys, w d… dostają biedacy. Wyłączyć ogrzewanie? Nie gotować? Mycie chorych w zimnej wodzie?" – napisała s. Chmielewska na swoim blogu.

– Dla organizacji prowadzących podobną do naszej działalność takie gigantyczne podwyżki gazu to katastrofa – tłumaczy Jolanta Zaraś, dyrektor DPS Fundacji „Pomocna Dłoń". – Nie dostajemy większych środków z dotacji, kiedy nasze koszty idą w górę. Musimy rezygnować z innych działań, wstrzymywać konieczne remonty – dodaje. O wysokość kolejnych faktur się już jednak nie boi. – Myślę, że czuwały nade mną jakieś dobre anioły, bo w ubiegłym roku podpisałam z gazownią umowę na stałą cenę gazu na dwa lata. Jest trochę wyższa niż ta sprzed podwyżek, ale biorąc pod uwagę obecne ceny, to korzystna dla nas stawka.

SKĄD PODWYŻKI O 500 PROC.?

W nowy rok wszyscy weszliśmy ze świadomością, że będzie drożej. Urząd Regulacji Energetyki zatwierdził podwyżki cen gazu dla gospodarstw domowych na poziomie 54 proc. Tyle że cena gazu w tym sezonie grzewczym na Towarowej Giełdzie Energii wzrosła o wiele więcej. – Mamy w tej chwili do czynienia z sytuacją bez precedensu. Ceny gazu w porównaniu z tymi sprzed roku wzrosły jesienią 2021 r. o 500–600 proc. Był nawet dzień, w którym ten wzrost wyniósł ponad 900 proc. – mówi Rafał Pazura, rzecznik prasowy PGNiG Obrót Detaliczny. I wyjaśnia, że cena gazu dla gospodarstw domowych jest regulowana przez Urząd Regulacji Energetyki. Pozostałe podmioty kupują gaz na zasadach rynkowych. – Nie wszystkich jednak dotknęły tak znaczne podwyżki. Część klientów biznesowych podpisała długoterminowe umowy na dostawy gazu ze stałą ceną i nie odczuła drastycznych skoków cen rynkowych, które obecnie występują na giełdach – mówi Rafał Pazura. I dodaje, że wielu dużym podmiotom, w tym np. wspólnotom czy spółdzielniom mieszkaniowym, wcześniej po prostu opłacało się rozliczać ze sprzedawcą według zaproponowanego cennika, niż podlegać taryfowej ochronie dla gospodarstw domowych.

Faktura za korzystanie z gazu w kuchni, która codziennie wydaje ok. 300 posiłków, w grudniu 2020 r. opiewała na ok. 3,6 tys. zł. Za ostatni grudzień do zapłaty Bractwo ma 19 tys. zł

W efekcie po bezprecedensowych podwyżkach cen gazu na światowych giełdach części wspólnot i spółdzielni nie potraktowano jako gospodarstw domowych i wyliczono im opłaty po stawkach rynkowych. Przychodnie, szpitale, DPS-y, hospicja, domy dla samotnych matek, stowarzyszenia i fundacje prowadzące działalność społeczną nawet nie mogły skorzystać z taryf dla odbiorców indywidualnych.

Konfederacja Inicjatyw Pozarządowych Rzeczpospolitej (KIPR) przeprowadziła ankietę wśród organizacji, dotyczącą kosztów nie tylko gazu, lecz także prądu, z którymi muszą się zmierzyć po podwyżkach. Jak mówi Karol Handzel z KIPR, wiele z nich znalazło się w skrajnie trudnej sytuacji. – W najtrudniejszym położeniu są, rzecz jasna, organizacje pomocowe, które utrzymują duże lokale i mają wielu podopiecznych. Jednak nawet fundacje czy stowarzyszenia najmujące powierzchnie biurowe będą miały kłopoty ze znalezieniem środków na opłaty. Wiele z nich, prowadząc wieloletnie projekty ze środków publicznych, kalkulowało budżet na podstawie cen z dnia podpisania umowy. Nie ma możliwości, by teraz je renegocjowały. Będą musiały wybierać między opłatą rachunków za energię a realizacją działań – mówi Handzel. Stwierdza też, że w pandemii organizacje pozarządowe miały ograniczoną możliwość organizowania akcji czy spotkań. – To oznacza mniejszy kontakt z darczyńcami, a w efekcie znaczny spadek przychodów z darowizn – dodaje.

RZĄDOWA NOWELA

Okazało się, że nagłaśnianie kilkusetprocentowych podwyżek ma sens. – Polacy mogą być spokojni. Nie będą musieli mierzyć się z kilkusetprocentowymi podwyżkami cen gazu – mówi Karol Manys, rzecznik prasowy Ministerstwa Aktywów Państwowych. 11 stycznia do Sejmu w trybie pilnym trafił projekt ustawy zabezpieczający zarówno spółdzielnie i wspólnoty mieszkaniowe, jak i tak zwane podmioty wrażliwe czyli m.in. szpitale, przychodnie, szkoły, DPS-y, noclegownie. Będą płaciły za gaz według stawek dla gospodarstw domowych. 13 stycznia posłowie ustawę przyjęli. Z 441 głosujących za przyjęciem ustawy było 440 posłów.

– Rozwiązanie to uchroni organizacje pozarządowe przed znacznymi kosztami i pomoże im skupić się na celach, dla których działają, a nie na trudnościach związanych z podwyżkami kosztów prowadzenia ich działalności – ocenia Karol Handzel z KIPR. – Liczymy, że na tym nie zakończy się wsparcie dla organizacji pozarządowych i że podobne rozwiązanie osłonowe dotyczyć będzie cen prądu – dodaje.

Choć dzięki gazowej noweli organizacje charytatywne unikną kilkusetprocentowych podwyżek, to i tak ich rachunki wzrosną – o połowę. Będą musiały znaleźć sposób na domknięcie budżetu. Nadzieję pozostaje im pokładać w hojności darczyńców.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

Zuzanna Dąbrowska

Aborcja i „wypier...ać" – tak w skrócie można przedstawić całą „ideową" agendę polskich feministek. Nie walczą o prawa kobiet. Ich działania są dla kobiet szkodliwe

Feministki nienawidzą kobiet

Nierówności płacowe, wspieranie pracujących matek, walka z seksualizowaniem kobiet w przestrzeni medialnej – mogłoby się wydawać, że choć żyjemy w trzeciej dekadzie XXI w., w kraju rozwiniętym, w którym panuje względny dobrobyt, wciąż jest wiele pól, na których feministki mają coś do zrobienia. To jednak zupełnie nie interesuje aktywistek skupionych wokół Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, najbardziej krzykliwej organizacji, roszczącej sobie prawo do reprezentowania „wszystkich kobiet". Jedynymi sprawami, które je dziś zajmują, są aborcja i walka z rządem (to drugie jednak jest ściśle powiązane z pierwszym – walka z rządem jest konieczna, bo ten przecież „zakazuje aborcji").

„Nigdy nie będziesz szła sama", „Siostrzeństwo" – to hasła wypisane na sztandarach polskiego ruchu feministycznego, który przybrał skrajnie radykalne barwy. Tak naprawdę jednak Marta Lempart i jej towarzyszki ani nie reprezentują wszystkich kobiet (twierdzę, że zaledwie ich niewielki odsetek), ani nie walczą o prawa kobiet. Prowadzą własną wojnę ideologiczną z resztą społeczeństwa.

NIE TYLKO LEMPART

Najbardziej jaskrawym przykładem oderwania Lempart (a co za tym idzie – całego OSK) od rzeczywistości oraz od realnych problemów kobiet było głośne starcie ze sprzątaczką przed siedzibą PiS. Pani sprzątająca w dosadnych słowach zwymyślała aktywistkę, która uznała, że oblewanie wejścia do budynku czerwoną farbą to prawdziwa walka o prawa kobiet. Marta Lempart została w tym krótkim dialogu odarta z jakiejkolwiek wiarygodności – hasła o wspieraniu kobiet okazały się bzdurą wobec ideologicznej nienawiści do rządzących. Pokazała, że nie ma w niej wrażliwości wobec drugiej kobiety, ciężko i uczciwie zarabiającej na chleb. A i później nie nastąpiła u niej żadna refleksja. Po fali krytyki liderka Strajku Kobiet stwierdziła: „Rozumiem, że pani sprzątająca była wściekła i że ma dodatkową robotę przez to, kim jest jej pracodawca". Czyli jak zawsze – wina PiS.

Polskie feministki to nie tylko Marta Lempart. To także Aborcyjny Dream Team (dream team od zabijania dzieci nienarodzonych, napiszmy to wprost). Według tej grupy aborcja jest już nie tylko prawem, lecz także nieodłącznym elementem życia nowoczesnej, świadomej kobiety. Nie jest dramatyczną decyzją i ostatecznością, ale modną aktywnością, wpisaną do kalendarza między kubkiem sojowego latte w sieciowej kawiarni a zajęciami z jogi. Trauma poaborcyjna to wymysł fundamentalistów. – I z mojego doświadczenia, i z badań wynika, że najczęstszym uczuciem po aborcji jest ulga. Każdego dnia dostajemy wiele wiadomości, które to potwierdzają. Czasem pojawia się wręcz stan euforyczny – stwierdziła Natalia Broniarczyk z Aborcyjnego Dream Teamu.

Trudno zapomnieć okładkę „Wysokich Obcasów", na której aktywistki, występując na cukierkoworóżowym tle, z radosnymi uśmiechami stwierdziły, że „aborcja jest OK". Broniarczyk trywializuje dramat, jakim jest aborcja. Jej dream team udaje, że ciemna strona aborcji nie istnieje. Działaczki wmawiają kobietom, że te poczują po aborcji ulgę. Nie oferują jednak pomocy w sytuacji, gdy zamiast ulgi pojawią się rozpacz, depresja i wyrzuty sumienia. Bo przecież ich doświadczenia są inne. Z traumą radź sobie sama. A przecież – o czym zbyt rzadko się mówi – po dziecku drugą największą ofiarą aborcji jest kobieta.

NIE POMAGAJĄ, LECZ SZKODZĄ

Polskie feministki szkodzą kobietom. Przede wszystkim dlatego, że wypaczają cały sens tego ruchu. Odbierają mu powagę i sprawiają, że współczesny feminizm wart jest jedynie wyśmiania. Warto przypomnieć absurdalne

eprasa.pl c9911e100d

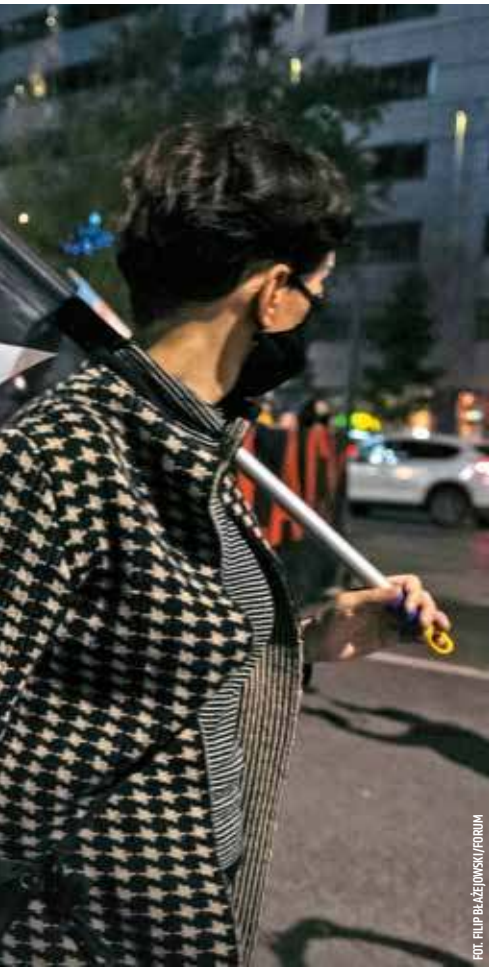
FOT. FILIP BŁAŻEJOWSKI/FORUM

ultimatum postawione w październiku 2020 r. Lempart i Suchanow dały rządowi tydzień na... podanie się do dymisji. Tego postulatu nie potraktowali poważnie nawet skrajnie antyrządowi komentatorzy.

Swoje trzy grosze do kompromitacji ruchu feministycznego w Polsce dołożyły wyjadaczki takie jak Magdalena Środa („Jeśli ktoś nigdy nie spał z osobą tej samej płci, to skąd wie, że nie lubiłby tego?"), Kazimiera Szczuka (w obrzydliwy sposób parodiowała chorą na wrodzoną łamliwość kości, związaną z mediami o. Tadeusza Rydzyka Magdalenę Buczek) oraz Monika Płatek („W związkach jednopłciowych rodzi się tyle samo dzieci, a często więcej niż w związkach różnopłciowych").

Wrogiem polskich feministek jest mężczyzna. Ksiądz, szef, opresyjny partner (każdy, kto oczekuje czegoś więcej niż tylko samego bycia, jest opresyjny). Mężczyźni uciskają kobiety na każdej płaszczyźnie życia, dlatego trzeba wyrwać się z oków patriarchalnego systemu. Aktywistki znalazły na to „genialny" sposób – wmawiają młodym kobietom, że prawdziwie wolne i szczęśliwe będą dopiero wtedy, gdy wyzwolą się seksualnie. Przekonują, że należy zrezygnować ze stałych związków, a już na pewno z małżeństwa. Rozwiązłość według feministek pozwala na samorealizację. To jedna z najbardziej niebezpiecznych pułapek zastawionych przez lewackie działaczki. Kobieta nieuznająca, że seks łączy się z miłością oraz stałą relacją, nie będzie traktowana jako poważny partner, ale jako zabawka. Kolejny krok to wmawianie dziewczynom, że pigułka „dzień po" jest remedium na wszystkie problemy. Jednak tak naprawdę to nie uwalnia kobiety, ale zrzuca odpowiedzialność z barków mężczyzn. Wyuzdane i wyzwolone kobiety, nieoczekujące zaangażowania i życiowych deklaracji to marzenie nastawionych na przyjemność, niechcących zmierzyć się z konsekwencjami swoich działań mężczyzn. Jak to się kończy dla kobiety? Brak stałego związku, brak dzieci (bo to załatwia się pigułką „dzień po") i ostatecznie samotność, bo w pewnym wieku chce się czegoś więcej. Ale tego nie ma, ponieważ całe zaangażowanie zamiast na budowanie zdrowej rodziny zmarnotrawione zostało na przelotne, nic nieznaczące znajomości. O gorzkich konsekwencjach życia bez zasad organizacje feministyczne jednak nie wspominają.

Wrogiem jest mężczyzna, ale jest nim także kobieta – wystarczy, że ma inne poglądy. Polskie feministki nienawidzą Kai Godek, będącej po drugiej stronie wojny światopoglądowej. Do kobiet, które nie zgadzają się na „wolną aborcję" i ośmielają się dyskutować z aktywistkami, nie stosuje się hasła o „siostrzeństwie". Dla nich przeznaczone jest tylko jedno słowo: „wypier…ać".

„SIŁA KOBIET"?

Ruch feministyczny w naszym kraju nie podejmuje żadnych działań na rzecz walki z seksualizacją kobiet – także w mediach – która jest prawdziwym problemem. Modelka Anja Rubik, będąca jedną z aktywnych uczestniczek manifestacji Strajku Kobiet, na fali proaborcyjnego wzmożenia po wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 2020 r. w sprawie aborcji eugenicznej pokazała się nago na okładce „Vogue". Wydanie było poświęcone „sile kobiet". Bardzo znamienne – siłą kobiety nie są jej intelekt, wykształcenie, zdolności. Siłą kobiety jest nagie ciało. Tylko tyle ma do zaoferowania światu. „Moja nagość jest deklaracją. Nagość jest naszym najbardziej naturalnym stanem, jesteśmy najrówniejsi, kiedy jesteśmy nadzy. Moje nagie ciało nie powinno być uprzedmiotowiane ani seksualizowane" – tak Rubik tłumaczyła się później z decyzji o nagiej sesji. Nie chcę być seksualizowana, więc pokazuję się bez ubrań. Czego nie rozumiecie? Feministki nie burzą patriarchatu, one go wzmacniają.

Jedną z największych krzywd, które wyrządzają aktywistki kobietom, jest odzieranie ich z wyjątkowości. Kobiecość to piękno, łagodność, empatia, dobroć i mądrość, które są szczególnie widoczne na tle klasycznie pojmowanej męskości. Bez kobiet nie ma mężczyzn i na odwrót. Różnice między kobietami i mężczyznami są potrzebne po to, aby można było najpierw dostrzec, a następnie pielęgnować to, co kobiece. Feministkom jednak bardzo nie podoba się podkreślanie odmienności. Przepuszczanie w drzwiach, całowanie dłoni i inne przejawy kindersztuby są ich zdaniem objawem lekceważenia i wręcz seksizmu. To paradoksalne, bo popierają parytety płci, które przecież nie wprowadzają równości, a jedynie pokazują, że kobieta powinna być „wciskana" na kierownicze stanowisko tylko ze względu na swoją płeć (a nie atrybuty intelektualne). Czyli płeć jest jedyną zaletą. To dopiero skrajny seksizm.

Kobiecość to także macierzyństwo. Tymczasem feministki nie bronią macierzyństwa, takie słowo nie przeszłoby im przez usta – one walczą o „prawa reprodukcyjne kobiet". Zrównują bycie domem dla nowego życia (bo jak inaczej opisać niezwykły czas ciąży?) z reprodukcją. Powielaniem. Kserowaniem komórek. Wedle tej wizji kobieta jest jak zwierzę. I gdyby jeszcze za hasłem „praw reprodukcyjnych" stały starania o poprawę warunków na porodówkach, miałoby to jakikolwiek sens. Jednak nie – chodzi wyłącznie o prawo do aborcji.

„Nowa kobieta" ma być wulgarna i wyzwolona seksualnie. Ma dać się „używać" i łykać tabletki antykoncepcyjne jak cukierki. Formowanie młodych pokoleń w kontrze do ich matek i babek to cel, który postawiły sobie dziś polskie feministki. Nie ma złudzeń, że to ruch szkodliwy, który nie rozwiązuje żadnych problemów, a jedynie tworzy nowe. Lekarstwo gorsze niż choroba.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

Maskotki z bandytów

Łukasz Zboralski

Podczas gali MMA bryluje były szef pruszkowskiej mafii, a hitem na Netflixie w Polsce jest cukierkowa historia innego gangstera „Nikosia". Czy show-biznes właśnie skręcił w złą stronę czy może jednak od dawna nią podąża?

Na galach bokserskich czy MMA zawsze jest „show", czyli pewien cyrk – kolorowe światełka, dymy, muzyka i prowadzący, którzy wzorem amerykańskim nie potrafią już zapowiedzieć walki bez przeciągania samogłosek w słowach.

Tym razem było jednak zupełnie inaczej. W ubiegłym tygodniu podczas otwarcia gali MMA-VIP 4 zagrała muzyczka z „Ojca chrzestnego", a założyciel federacji – Marcin Najman (były bokser i kick bokser, który po wkroczeniu do MMA głównie przegrywał walki przez nokaut) – zapowiedział, że przedstawi szefa federacji, a właściwie, jak się wyraził, „bossa". Wówczas na scenę wszedł człowiek w czarnej masce. Po jej ściągnięciu publiczności ukazała się twarz… „Słowika", Andrzeja Zielińskiego, byłego bossa prawdziwej pruszkowskiej mafii.

O JEDNEGO „BOSSA" ZA DALEKO

Polacy przyzwyczaili się już do tzw. walk freaków w klatkach. Wiedzą, że w ringu okładają się silikonowo nadmuchane panie znane z Instagrama i bije się tam lewicowy felietonista Jaś Kapela. Kogo bawi taka rozrywka, ten daje zarabiać takim federacjom jak Hype MMA (której właścicielem jest Kasjusz „Don Kasjo" Życiński). Jednak były szef brutalnego gangu – to był krok za daleko. Wielu mocno skrytykowało Najmana.

Właściciel federacji odpierał zarzuty, tłumacząc nieporadnie, a to że każdy, nawet „Słowik", zasługuje na drugą szansę w życiu, a to że przecież takim ludziom trzeba dawać jakieś zajęcie, bo przecież w innym wypadku mogą wrócić na przestępczą drogę. W końcu zaczął tłumaczyć to nawet w kontekście religijnym: „Więcej radości w niebie będzie z jednego nawróconego grzesznika niż ze 100 sprawiedliwych. Pismo Święte. Ponoć w Polsce mieszkają katolicy" – napisał na Twitterze. Wtedy nie wytrzymał już jezuita Łukasz Sośniak z Radia Watykańskiego. I skomentował to: „Marcin, pogubiłeś się. Dla »Słowika« to nie okazja do nawrócenia, ale do zarobienia kasy. Jeśli rzeczywiście chce się zmienić, to powinien – na ile się da – zadośćuczynić swoim ofiarom i prowadzić życie w pokucie, z dala od twoich kamer i tronów, które z bandyty robią idola".

Marcin Najman ostatecznie oskarżył wszystkich krytyków o hipokryzję. W filmie zamieszczonym w social mediach stwierdził, że nie jest tajem-

eprasa.pl c9911e100d

Marcin Najman (z lewej) podczas gali przedstawił „bossa" swojej federacji MMA – Andrzeja „Słowika" Zielińskiego

FOT. FANSPORTU TV/YOUTUBE.PL

nicą, iż przestępczy światek od dawna powiązany jest prawie z każdą federacją bokserską czy MMA. Tego wątku nikt jednak publicznie dalej nie pociągnął i nie próbował wyjaśniać, w sieci zapadła krępująca cisza.

„PAMIĘTAM MAMĘ W PODARTEJ SUKIENCE"

„Słowik" to nie jest byle jaka postać z przeszłości. Dlatego jego wejście w show-biznes wywołało tyle emocji. Dość wcześnie w życiu zajął się oszustwami, fałszerstwami i tzw. odzyskiwaniem długów. W 1993 r. w atmosferze skandalu został ułaskawiony przez ówczesnego prezydenta Lecha Wałęsę. Potem, dzięki zeznaniom znanego świadka koronnego „Masy", został pojmany i przekazany do Polski z Hiszpanii, gdzie się ukrywał. W 2004 r. sąd skazał go za kierowanie gangiem pruszkowskim. Ta zorganizowana grupa przestępcza zajmowała się w latach 90. przemytem alkoholu i papierosów, a także napadami na samochody ciężarowe, wymuszeniami haraczy, porwaniami, zabójstwami na zlecenie.

W 2017 r., po kilku latach od opuszczenia więzienia, „Słowik" został zatrzymany w sprawie mafii VAT-owskiej. Te sprawy przed sądami dopiero się toczą. Zieliński wyszedł na wolność po wpłaceniu kaucji.

Po gali MMA niektórzy zaczęli przypominać straszne historie, które przeżyli w związku z tymi gangsterami. Jedną z nich, przesłaną e-mailem od czytelnika, opublikował dziennikarz Krzysztof Stanowski. Człowiek ten wspominał, jak jego ojciec odmówił gangsterom opłacania haraczu za prowadzenie malutkiej restauracji. Wówczas przyjechali do niego do domu. „Ojciec został tak pobity, że w stanie krytycznym trafił do szpitala (miał połamane żebra, złamali mu wszystkie palce i obrabowali mieszkanie). Matkę któryś z karków próbował zgwałcić, ale koniec końców dali sobie spokój, bo ktoś trąbił na zewnątrz samochodem bardzo głośno i nieustannie. Pamiętam widok mamy z rozdartą sukienką i to, jak płacze, bo z ojcem nie było kontaktu. Ja się schowałem pod tapczanem wtedy i tylko pamiętam, jak jeden kark mnie wyciągnął za fraki i powiedział: »Nie bądź tak głupi jak ojciec i się słuchaj«. Po całej »imprezie« pamiętam, że rzucili tylko, śmiejąc się: »Pozdrowienia od Słowika«". Historia skończyła się tak, że człowiek ten sprzedał restaurację i wyjechał za granicę. Znajomy policjant uświadomił mu, że zgłaszanie tej sprawy nic nie zmieni, a może tylko oczekiwać większych represji ze strony bandytów.

Oburzenie w sprawie gali MMA ze „Słowikiem" stało się tak duże, że Kielce zdecydowały się nie wynajmować hali Najmanowi na galę walk, która miała się odbyć w lutym. Miasto potwierdziło na Twitterze, że otrzymało taką propozycję komercyjną, ale jednoznacznie stwierdziło, że „hala nie zostanie udostępniona na potrzeby organizacji tego wydarzenia".

Wiadomo, że na odwołanie takiego wydarzenia naciskał jeden z samorządowców. „Kielce wstępnie wycofują się z podpisania umowy z MMA VIP po mojej interwencji i kontrowersjach medialnych" – ujawnił Marcin Stępniewski, radny PiS z Kielc. – „Współpraca z byłymi gangsterami takimi jak »Słowik« to coś obrzydliwego, dlatego dziwię się, że było to rozważane. Planowana kwota za wynajem hali jest również »powalająca«". Według nieoficjalnych informacji jeden dzień wynajęcia hali miał przynieść samorządowi 5 tys. zł, inne wycenione były już na 3 tys. zł.

Raper Malik Montana niedługo przed aferą podczas gali MMA zamieścił na Instagramie zdjęcie z byłym bossem Pruszkowa (przy okazji: Zieliński miał na nim T-shirt kosztujący kilka tysięcy złotych). Po tym, jak na promowanie „Słowika" zareagowali dziennikarze, Malik zdjęcie skasował. Raper od dawna prowadził gale typu freak, a od ubiegłego roku sam ma własną federację podobnych walk.

MITY, KTÓRYCH POTRZEBUJEMY?

Zanim Montana skasował fotkę ze „Słowikiem", można było przeczytać tam wiele komentarzy, z których przebijało zaciekawienie gangsterskim światem. Jedni się cieszyli, inni na przykład marzyli, by napić się z byłym bossem Pruszkowa. Tak, jakby prawdziwe zbrodnie były tylko kolorową migawką odległej przeszłości. Czymś, co już jest legendą i nie wiadomo właściwie, czy dobrą czy złą…

Podobnych uczuć mogą doznać odbiorcy Netflixa, którym właśnie podsunięto cukierkową historię o innym gangsterze – Nikodemie „Nikosiu" Skotarczaku, mafiosie z Trójmiasta (recenzję filmu „Jak pokochałam gangstera" autorstwa Piotra Goćka przeczytać można na str. 40). Zwłaszcza młodsze pokolenia, dla których lata 90. są czymś tak odległym jak druga wojna światowa, zobaczą po prostu barwne życie pewnego człowieka, który postanowił żyć poza systemem i zawsze wiedział, jak wykiwać polskich i niemieckich gliniarzy. Oczywiście do momentu, gdy – tak jak w rzeczywistości – nie został zastrzelony nad ranem w agencji towarzyskiej, gdzie imprezował ze znajomymi. Przestępstwa są tam po prostu w tle, jakby nie były niczym złym.

Czy „Nikoś" i „Słowik" nie stają się po prostu produktami popkultury, tak jak wcześniej np. w USA stali się nimi Bonnie i Clyde? Amerykańskie kino z brutalnych przestępców, mordujących m.in. stróżów prawa, od lat 60. XX w. snuje przecież historię namiętności, szalonej miłości (głównie dlatego, że oboje ostatecznie razem zginęli w zasadzce). Polski show-biznes próbuje zrobić dokładnie to samo, bo świat gangsterów z lat 90., którzy jeszcze nie zamienili pistoletów na białe kołnierzyki, jest w pewien sposób kuszący. I przecież filmów osnutych wokół tej tematyki mieliśmy wcześniej już więcej. A przed laty w teledysku rapera Montany i Tedego pojawił się nie kto inny, jak... „Słowik".

Zdaje się jednak, że od Amerykanów wciąż się różnimy, bo promowanie gangsterów nas poważnie oburza. A może po prostu nie upłynęło jeszcze wystarczająco dużo czasu?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

Piotr Gociek

Złote Globy tracą blask, streaming pożera kino, Chiny triumfują – pandemia, pazerność i polityczna poprawność zmieniają świat kina

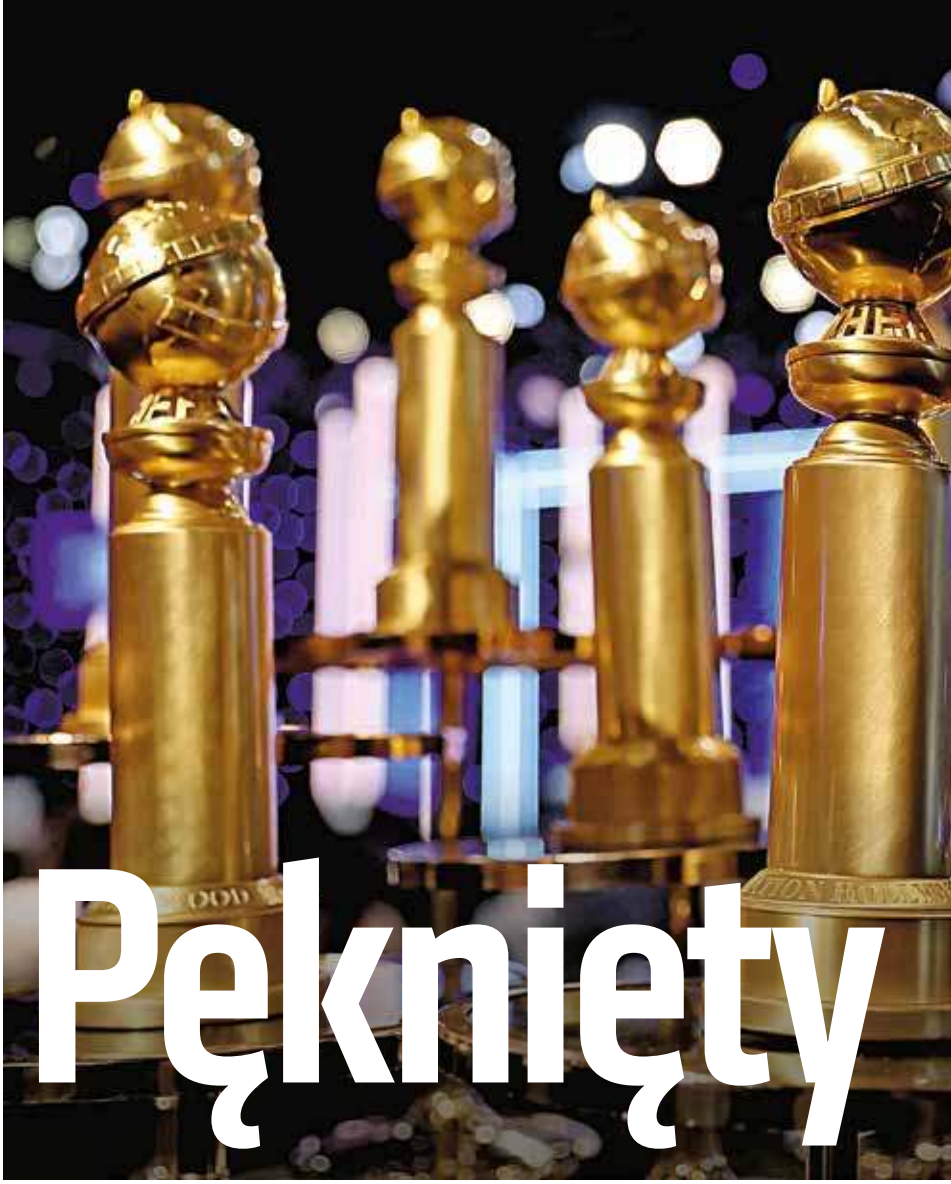

Pęknięty

Ważniejsze od tego, co się wydarzyło podczas tegorocznej ceremonii wręczenia Złotych Globów, było to, co się nie wydarzyło. Po pierwsze, nie było ceremonii. Zamiast wielkiej gali, znanych gości, patetycznych przemów dziękczynnych i żartów trefnisiów (pamiętacie skandale Ricky'ego Gervaisa?) werdykt ogłoszono w jednym z hoteli w Los Angeles. Publiczności przy tym nie było, telewizja NBC nie przedłużyła umowy na transmitowanie przyznania nagród. Wszystko przypominało więc bardziej doroczne wręczanie Złotych Malin.

Organizatorzy Złotych Globów (i gremium przyznające nagrody) to HFPA (Hollywoodzkie Stowarzyszenie Prasy Zagranicznej), organizacja, wokół której rozgłos jest dużo większy niż jej rzeczywiste znaczenie. Nieco ponad 100 członków, bardzo niechętnie przyjmujących do swego grona kolejnych. Malejący wpływ na rzeczywistość, bo w czasach potęgi Internetu i mediów społecznościowych, w czasach serwisów streamingowych i premier odbywających się jednocześnie na kilku kontynentach, znaczenie hollywoodzkiego korespondenta/krytyka (niepotrzebne skreślić) mocno zmalało. Nikt nie potrzebuje już samozwańczego guru, który wie wszystko i wcześniej od innych tylko dlatego, że pracuje w Los Angeles, a nie w Londynie czy Warszawie.

WALKA KLASOWA

Tegoroczna klęska („ceremonia prywatna" – poinformowano prasę – cóż za upadek!) to jednak nie efekt przemian rynku, tylko presji politycznej. Kilka lat po rozpoczęciu batalii o skład Akademii Filmowej przyznającej Oscary (że za mało kobiet, mniejszości etnicznych i seksualnych, że werdykty zbyt „białe") wpływowe i hałaśliwe grupy wzięły na cel HFPA. Bo ledwie kilka kobiet znajduje się w tym gronie, bo brak czarnoskórych korespondentów. Grono poszerzono więc o ponad 20 nowych osób, ale ataki nie ustały. Walka klasowa zaostrza się w miarę postępu rewolucji. Skąd my to znamy?

W tym roku pandemia – a dokładnie: postępy wariantu Omikron – była wymówką dla „ceremonii prywatnej", jak będzie za rok – zobaczymy. Tegoroczne Złote Globy to jednak okazja, by dostrzec także inne ważne rzeczy, nie tylko kolejne kroki politycznej poprawności. Werdykt HFPA zwykle uznawany jest za zwiastun decyzji Akademii Filmowej, czyli wskazanie tytułów mających największe szanse na Oscary. Jest to opinia trochę na wyrost, bo więcej można wywróżyć, studiując nagrody przyznawane w USA przez stowarzyszenia branżowe: reżyserów, operatorów, scenarzystów i tak dalej. Te opinie przebijają się jednak do uszu szerokiej publiczności z dużo większym trudem. Złote Globy są bardziej medialne, szerzej komentowane.

W tym roku za najlepszy film uznano „Psie pazury" Jane Campion, co mnie nie dziwi, bo gorąco rekomendowałem ten film kilka tygodni temu i jest to kino wybitne. Najlepszym filmem w kategorii „komedia lub musical" obwołano „West Side Story" w reżyserii Stevena Spielberga, co jest decyzją mocno kontrowersyjną, bo nowa wersja żadnej wartości dodanej nie wnosi, a i sam słynny musical z trudem wytrzymuje próbę czasu. Najlepszy serial to „Sukcesja" – tu kontrowersji brak. Główne nagrody aktorskie mocno naciągane: Nicole Kidman za występ w słabym filmie Aarona Sorkina „Lucy i Desi" („Being the Ricardos") oraz Will Smith za rolę ojca sióstr Williams w filmie „Król Ryszard: Zwycięska rodzina", rolę dobrą, ale nie wybitną. Dużo mniej ciekawą od popisu Benedicta Cumberbatcha w filmie „Psie pazury". Zaskakuje zlekceważenie świetnego filmu „Licorice Pizza" Paula Thomasa Andersona oraz „Kuriera Fran-

eprasa.pl c9911e100d

FOT. EMMA MCINTYRE/GETTY IMAGES

FOT. EMMA MCINTYRE/GETTY IMAGES

cuskiego…" ulubieńca krytyki, czyli Wesa Andersona.

Ciekawsze od decyzji HFPA jest to, że kiedy przyjrzymy się uważnie liście filmów, spośród których można było wybierać, to okaże się, że niewiele tam propozycji bardziej interesujących. Pęka na naszych oczach Złoty Glob – to znaczy prestiż i znaczenie tej nagrody, ale w czasach pandemii w ogóle wiele złego dzieje się z biznesem filmowym. Kina całego świata wciąż cierpią wskutek rozmaitych form lockdownu, część superprodukcji wciąż czeka na swoje premiery, przekładane czasem już drugi rok (jak w przypadku „Batmana" z Robertem Pattinsonem). Proszę zwrócić uwagę, jak często oglądając nieliczne premiery, możemy też doczytać w materiałach prasowych, że zdjęcia zakończyły się jeszcze przed pandemią, a potem film był w postprodukcji, albo że zdjęcia przerwano, wznowiono latem kolejnego roku, potem znów przerwano. Naturalny krwiobieg przemysłu filmowego został mocno zakłócony, powstaje niewiele nowych dobrych filmów. Na pewno tegoroczne Oscary nie będą tak emocjonujące i nie przyniosą tytułów tak wybitnych jak te ubiegłoroczne. A przecież dostaliśmy wtedy zestaw doborowy: „Minari", „Ojciec", „Nomadland", „Sound of Metal". Śmiem twierdzić, że żaden z tegorocznych faworytów – prócz „Psich pazurów" – nie miałby szans w tym zestawieniu.

Jednocześnie coraz więcej pieniędzy przeznaczanych jest na produkcje telewizyjne i streamingowe. Doskonałym przykładem tej polityki jest działalność potężnego imperium Disneya, które w ostatnich latach przekwalifikowało wiele kinowych produkcji na inne tory – kilka lat temu mówiło się o tym, że dostaniemy kinowe filmy, których bohaterami będą Obi-Wan Kenobi czy Boba Fett – teraz wszystkie te przedsięwzięcia zamieniły się w seriale. Odcinkowe produkcje Marvela (także pod dachem Disneya) są ciekawsze niż ostatnie filmy kinowe z MCU (wyjąwszy może najnowszego „Spider-Mana"). Niektórzy twórcy uznawani za wielkie nadzieje Hollywood – jak Taylor Sheridan – przekwalifikowali się na dobre na twórców seriali („Yellowstone", „Mayor of Kingstown", „1883"). To na małych ekranach dzieje się teraz najwięcej i tam kierowane są coraz większe pieniądze. Tam powstają nie tylko seriale, lecz także najlepsze filmy („Psie pazury" to produkcja Netflixa).

Sprawdzają się prognozy z początku pandemii – snułem takie i ja – kina ocaleją jedynie po to, by pokazywano w nich największe superprodukcje, szczebel pośredni, czyli mainstream dla dorosłych, będzie zanikać lub przenosić się do telewizji. Zostaną też kina studyjne dla najbardziej wyrobionej publiczności. Pandemia przyspieszyła te procesy. Zauważmy też, że małe kina stały się ważną dobudówką dla serwisów streamingowych: zwykle najważniejsze tytuły trafiają na duże ekrany kilka tygodni przed tym, zanim zaczną zarabiać prawdziwe pieniądze w streamingu. Bardziej dzieje się tak z powodów proceduralnych (wciąż, aby liczyć się w wyścigach po prestiżowe nagrody, trzeba mieć odhaczoną rubrykę: „Pokazywany w kinach") i by zaspokoić ego reżyserów niż z dbałości o widza lub z chęci zysku.

TRIUMFY FILMÓW Z AZJI

Na koniec jeszcze jedno pęknięcie – podczas gdy zamknięci w domach mieszkańcy sytego Zachodu wybierają między coraz liczniejszymi i bardziej kuszącymi ofertami serwisów streamingowych, filmy kinowe święcą wciąż triumfy w Azji. W zestawieniu najbardziej kasowych filmów roku 2021 w pierwszej dziesiątce mamy trzy produkcje chińskie. Na miejscu szóstym komedia kryminalna „Detective Chinatown 3" (686 mln dol. wpływu), na miejscu trzecim komedia „Hi, Mom" (822 mln), a na miejscu drugim propagandowy dramat wojenny „The Battle at Lake Changjin", zamówiony, by uczcić setną rocznicę założenia chińskiej partii komunistycznej (902 mln). Gdyby nie wielki sukces filmu „Spider-Man: Bez drogi do domu" (zarobił 1,5 mld dol.), Chińczycy mieliby w światowym box offisie numer jeden i numer dwa. Co ciekawe, ich filmy wykręciły niesamowite rezultaty finansowe bez wyświetlania w Europie czy Ameryce. Pokazuje to, jak bardzo zmienia się globalny układ sił w biznesie kinowym. (Przy okazji: „The Battle at Lake Changjin" to opowieść o tym, jak dzielna komunistyczna armia chińska walczyła podczas wojny koreańskiej ze wstrętnymi imperialistami; reżyser Chen Kaige dawno już zamienił się z artysty w propagandystę).

„Kapitaliści sprzedadzą nam sznur, na którym ich powiesimy" – miał powiedzieć Lenin. Hollywood najpierw w pogoni za inwestorami oddał chińskim przedsiębiorcom część wpływów na produkcję. Potem, w pogoni za zyskiem z rynku azjatyckiego, zaczął potulnie reagować na żądania odpowiednio pozytywnego przedstawiania wątków chińskich (pod groźbą zablokowania dystrybucji na największym dziś rynku świata). Na koniec ci sami decydenci ze zdumieniem odkrywają, że amerykańskie hity są w Chinach coraz mniej potrzebne, gdyż miejscowi sami są sobie w stanie zagospodarować zestawienia największych hitów. Na szczęście w Internecie chińskie mocarstwo separuje się od reszty świata, bo gdyby weszło w streaming i seriale z takim impetem, jak teraz czyni to Korea Południowa, to rozbiłoby amerykańską dominację w drzazgi.

Tymczasem Ameryka dyskutuje nad tym, czy wśród korespondentów prasy zagranicznej w Hollywood znajduje się odpowiednia liczba pań oraz osób niebiałych. Sznurek sprzedany, kręcenie pętli właśnie się odbywa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

Julian Tuwim musiał odwdzięczać się swoim łaskawcom i już na amerykańskiej ziemi wychwalał Związek Sowiecki oraz towarzysza Stalina, słał na Kreml wazeliniarskie telegramy FOT. NAC

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Rodzimych literatów wspierających Stalina było, niestety, niemało. Czemu akurat wybrał pan kwartet: Władysław Broniewski, Julian Tuwim, Konstanty Ildefons Gałczyński, Tadeusz Boy-Żeleński?

PIOTR KITRASIEWICZ: Ponieważ każda z tych postaci zdecydowała się przystąpić do kolaboracji stalinowskiej z innych przyczyn. Broniewski był idealistycznym lewicowcem, socjalistą, ale nie komunistą. Pragnął Polski czerwonej i po wojnie wydawało mu się, że nasz kraj pod sowiecką okupacją znalazł się na drodze do tego utopijnego celu. Dla komunistów był wygodny, bo sławił w wierszach ich „ideały", nie będąc członkiem Komunistycznej Partii Polski. Z kolei Tuwim panicznie bał się antysemityzmu i łudził się, że komunizm, operujący przecież hasłami internacjonalistycznymi, może to zapewnić. Dla komunistów był on również bardzo wygodnym twórcą, bo przecież przedwojennym, w dodatku w aurze wybitnego poety, a z racji swoich zainteresowań translatorskich uchodzącym za rusofila. Gałczyński w dwudziestoleciu zarabiał, pisząc wiersze dla czasopism o różnych profilach ideologicznych i zawodowych, musiał tworzyć, żeby przeżyć. A ponieważ jego „Zielone Gęsi" nie wpasowywały się w kanony literatury soc-realistycznej i były masowo krytykowane przez decydentów nowej literatury, zaczął tkać wiersze zgodne z obowiązującym kanonem, bo po prostu obawiał się, że zostanie bez źródła zarobkowania. No i Boy-Żeleński – we wrześniu 1939 r. znalazł się we Lwowie i tam zastała go sowiecka okupacja. Był stary i przerażony, a komuniści zabiegali o jego względy, wykorzystując nazwisko do celów propagandowych. Starał się rozpaczliwie wytworzyć jakiś kompromis, zamieszczając teksty o kulturze polskiej i francuskiej w „Czerwonym Sztandarze" i „Nowych Widnokręgach". On jeden nie użył w żadnym ze swoich artykułów słowa „Stalin".

Broniewski wychwalał kremlowskiego tyrana mimo pobytu w sowieckim więzieniu!

Wychwalał, to prawda, ale już później, po wojnie, w Polsce, którą za sprawą wschodniego „przyjaciela" przerabiano na „ludową". W sowieckim więzieniu siedział w latach 1940–1941 i wtedy bynajmniej nie sławił Stalina, ale demonstracyjnie wyśpiewywał „Pierwszą Brygadę". Napisał nawet kilka wierszy o wydźwięku antystalinowskim. Jego światopogląd nie uległ jednak zasadniczej przemianie, nie nastąpiło to ani w więzieniu, ani póź-

eprasa.pl c9911e100d

Z Piotrem Kitrasiewiczem, pisarzem, publicystą
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Strach i wazelina

niej w armii Andersa. Mógł pozostać na Zachodzie, ale wolał wrócić do ojczyzny pod sowiecką okupację. Uważał, że Stalin uratował Polaków przed hitlerowskim ludobójstwem, a wszelkie mordy i represje ze strony czerwonego satrapy były złem koniecznym na drodze do świetlanej przyszłości, czyli do komunizmu. Było to, rzecz jasna, oszukiwanie samego siebie, bo komunistyczni decydenci w Polsce wysławiali go jako wybitnego poetę rewolucyjnego, organizowali mu rozliczne i dobrze płatne spotkania autorskie, nie szczędzili przywilejów, łącznie z prawem do noszenia broni palnej, a nawet podarowali mu willę na warszawskim Mokotowie w zacisznej ulicy noszącej imię Jarosława Dąbrowskiego, jednego z bohaterów Komuny Paryskiej. To właśnie w tym domu, po pijanemu, posprzeczał się z Markiem Hłaską, któremu przeczytał swój poemat „Pieśń o Stalinie", po czym zadzwonił do Urzędu Bezpieczeństwa, żeby zabrali z jego mieszkania „wroga klasowego". Ale pod wpływem wódki tak bełkotał, że funkcjonariusz przyjmujący zgłoszenie je zlekceważył. Nie było ono zresztą pierwsze, poeta telefonował do UB z różnych knajp, gdzie się upijał, domagając się interwencji, ilekroć pokłócił się z kimś na tematy polityczne.

Serwilizm Tuwima wobec komunizmu wynikał z jego sybarytyzmu?

Nie wiem, czy miłował życie w luksusie, ale pod względem materialnym powodziło mu się znakomicie, jak na warunki podnoszącego się z wojennych ruin kraju, a szczególnie Warszawy. Przed wojną także nie mógł narzekać, bo pisał bardzo dużo – wliczając w to teksty do kabaretów i szopek noworocznych, jak również przeróbki dawnych fars – i sporo zarabiał. Nawet podczas wojny nie miał źle: błyskawicznie uciekł z Polski do Francji, potem do Portugalii, skąd emigrował za ocean, najpierw do Ameryki Południowej, potem do Stanów Zjednoczonych. Na obczyźnie co rusz miał sponsorów dbających, żeby dobrze mu się powodziło. Znajdował się w centrum zainteresowania, miał spotkania autorskie,

REKLAMA

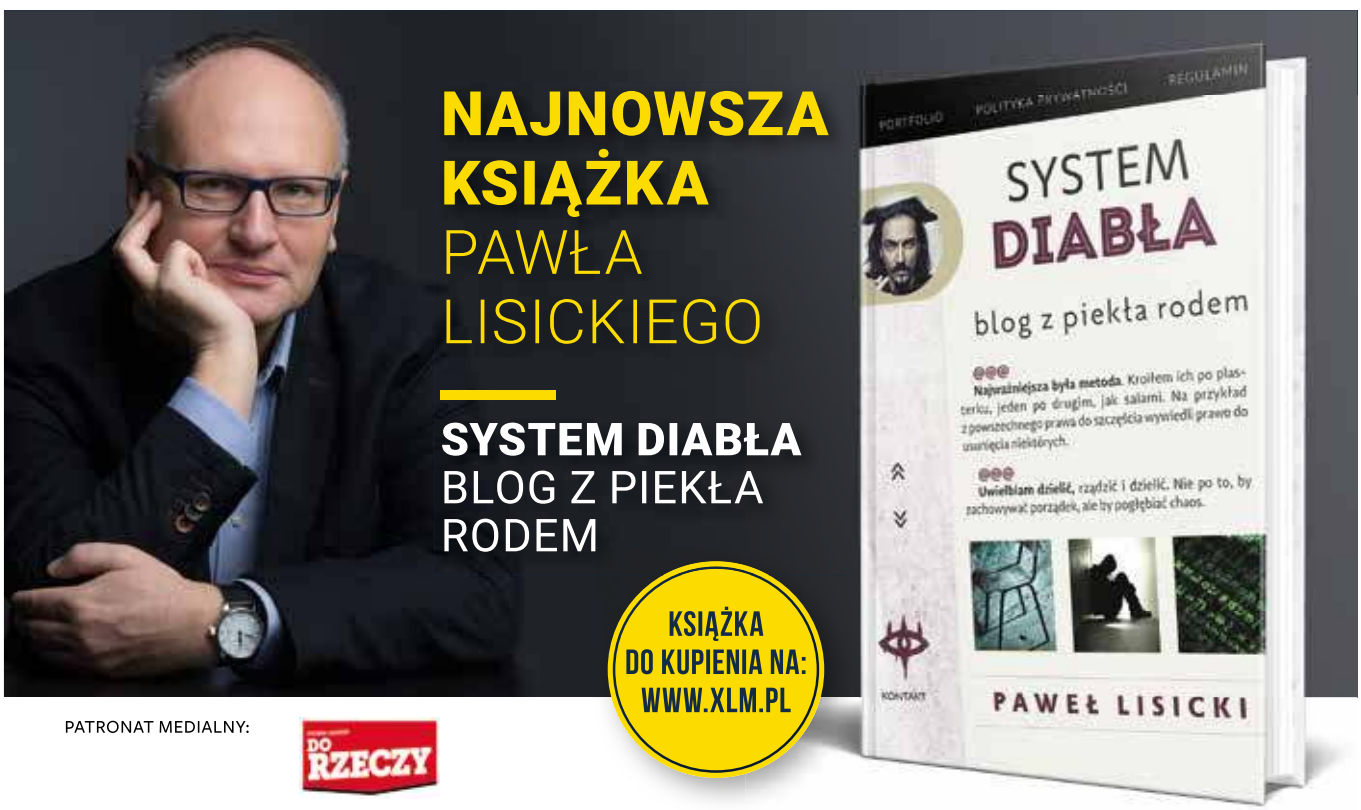

PATRONAT MEDIALNY: DO RZECZY

eprasa.pl c9911e100d

wygłaszał prelekcje, brał udział w bankietach. W tym czasie jego rodacy w okupowanej Polsce cierpieli głód i ginęli. Oczywiście w zamian za te wszystkie przywileje Tuwim musiał odwdzięczać się swoim łaskawcom i już na amerykańskiej ziemi wychwalał Związek Sowiecki oraz towarzysza Stalina, słał na Kreml wazeliniarskie telegramy. Po powrocie do Polski jedynie to kontynuował.

PIOTR KITRASIEWICZ „POLSCY PISARZE W CIENIU STALINA" LTW 2021

Powróciwszy po drugiej wojnie światowej do Warszawy, autor „Lokomotywy" i „Słonia Trąbalskiego" nie napisał już niczego wartościowego?

Chyba nieprzypadkowo wymienił pan te dwa tytuły wierszy dla dzieci, bo właśnie w twórczości dla najmłodszych Tuwim wykazał najwyższy poziom artyzmu. Pisząc „Ptasie radio", „Spóźnionego słowika" czy „Zosię Samosię", wzniósł się na absolutne wyżyny sztuki poetyckiej, stosując perfekcyjną grę słów z wyrazami dźwiękonaśladowczymi na czele. Takiego kunsztu nie wykazał nigdy żaden z polskich autorów piszących dla dzieci. Wiersze Tuwima są pod tym względem absolutnymi arcydziełami. Inaczej rzecz się przedstawiała, jeśli chodzi o jego utwory dla dorosłych, ale to złożony i skomplikowany temat. Odpowiadając jednak na pytanie, powiem, że ma pan rację: po powrocie do Polski po drugiej wojnie światowej Tuwim nie napisał już niczego wartościowego, szczególnie dla dorosłych odbiorców.

Gorliwością poetyckich danin dla władzy narzuconej Polsce przez Moskwę Konstanty Ildefons Gałczyński usiłował odkupić wypominany mu epizod współpracy z „Prosto z Mostu"?

Usiłował przeżyć. Nie tyle fizycznie, jako człowiek, lecz jako twórca. Żył z honorariów, lecz przecież nie musiał od tego uzależniać swojego bytu. Znał języki obce, z niemieckim na czele, mógł udzielać lekcji, tłumaczyć pisma urzędowe, wykonywać różne zawody. Chciał jednak istnieć na łamach pism, wydawać nowe tomiki wierszy, być poetą „zawodowym", czyli takim, który w jego mniemaniu utrzymuje się z pióra. Składał więc, jak pan je nazwał, poetyckie daniny, a robił to tym gorliwiej, im bardziej był przerażony. Kilkuletnia współpraca z „Prosto z Mostu", prawicowym tygodnikiem redagowanym przez Stanisława Piaseckiego, już w latach 30. ściągała na niego ataki ze strony lewicy oraz wpływowych liberałów skupionych wokół „Wiadomości Literackich". W Polsce tużpowojennej, będącej w cieniu Stalina, Gałczyński czuł się bardzo niepewnie, zwłaszcza że co rusz wytykano mu tę prawicową przeszłość. Paradoksalnie jednak był on wygodny dla komunistycznej władzy, właśnie jako dawny prawicowiec oraz poeta „mieszczański". Po prostu sławiąc nowy ustrój, uwiarygodniał czerwoną władzę, która mogła wskazać na niego i powiedzieć: „Proszę, nawet dawni nacjonaliści nas popierają. Zerwali z błędami przeszłości i przeszli na naszą stronę, bo widzą, że to, co robimy, jest słuszne". Podobną wartość dla komunistów miał także Tuwim, jako ekspiłsudczyk i liberał. No i Broniewski – socjalista z czasów sanacji nieskażony członkostwem w KPP. Dla komunistycznych decydentów reprezentowali oni przekrój ideologiczny społeczeństwa II Rzeczypospolitej. Ich włączenie się do życia kulturalno-politycznego Polski Ludowej było komunistom na rękę ze względów propagandowych.

Z czego wynikały wiernopoddańcze zachowania Tadeusza Boya-Żeleńskiego w okupowanym przez Sowietów Lwowie?

Ze strachu. Może nawet bardziej z lęku niż ze strachu, chociaż w absurdalnym świecie stalinowskiego totalitaryzmu – w którym każdy mógł pójść pod przysłowiowy nóż – trudno było odróżnić mający realne korzenie strach od irracjonalnego lęku. A Boy-Żeleński, sławny pisarz i tłumacz, erudyta i humanista ściśle związany z europejskim dziedzictwem kulturowym, znalazł się po 17 września 1939 r. w świecie, którego nie znał: azjatyckim, bezdusznym, barbarzyńskim. Nawet język rosyjski był mu obcy, chociaż znał francuski, niemiecki, angielski i łacinę. Robił to, czego od niego oczekiwali czerwoni aparatczycy, bo się bał. Był zastraszony nawet wtedy, gdy Sowieci powierzyli mu katedrę literatury francuskiej na uniwersytecie, dawali mu sowite premie i organizowali jubileusze pracy twórczej. W zasadzie przez cały okres pobytu we Lwowie tkwił w depresji, łagodzonej przez własną pracę translatorską (o terapeutycznym wpływie tłumaczeń z francuskiego pisał jeszcze przed pierwszą wojną światową) oraz długie spacery w towarzystwie znacznie młodszej od niego Wandy Ładniewskiej-Blankenheimowej. Sytuacji nie poprawiało słuchanie zachodnich rozgłośni radiowych (Sowieci nie zarekwirowali radioodbiorników, jak to zrobili hitlerowcy), z których wieści były hiobowe: świat interesował się tylko kolejnymi niemieckimi podbojami, a nasz zachodni aliant, Wielka Brytania, spoglądał tęsknie w kierunku Moskwy, marząc o wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej i własnym sojuszu z ZSRS.

W jakich okolicznościach trafił do Lwowa? Przecież nie był kresowiakiem. W Generalnym Gubernatorstwie być może też zakończyłby żywot tragicznie, ale zapewne bez niechlubnej karty w CV...

Pochodził z Krakowa, a w latach 20. zamieszkał w Warszawie. Ale w pierwszych dniach września 1939 r. wyjechał z Warszawy pociągiem ewakuacyjnym na wschód Polski. Miejsce w przedziale załatwił mu jego bratanek, prokurator Władysław Żeleński. Żona Boya, Zofia, zabrała się samochodem ze znajomymi, lecz do grodu nad Pełtwią nie dojechała i po kilku tygodniach wróciła do zajętej już przez Niemców stolicy. Tadeusz dotarł do Lwowa i tam już pozostał do śmierci. Dopadła go nie za sprawą stalinowskich katów, lecz hitlerowskich oprawców w nocy z 3 na 4 lipca 1941 r., którzy po zajęciu Lwowa przystąpili od razu do masowego mordu polskiej inteligencji. Czy przeżyłby, gdyby pozostał w Generalnym Gubernatorstwie, czyli części Polski pod niemiecką okupacją? Tego nie wiemy. Niemało warszawskich intelektualistów zostało zamordowanych w Palmirach lub zginęło w powstaniu.

Czy nadużywanie trunków może usprawiedliwiać zachowania Broniewskiego i Gałczyńskiego?

Rzeczywiście, obaj byli alkoholikami, niemniej nie sądzę, aby nałóg mógł stanowić okoliczność łagodzącą dla jakichkolwiek negatywnych postaw. Obaj sporo pili już przed wojną, a kiedy znaleźli się w propagandowej machinie czerwonej władzy, być może zalewali „robaka" jeszcze bardziej. W tym przypadku owym „robakiem" było po prostu ich sumienie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Piotr Kitrasiewicz – pisarz, publicysta, bibliotekarz. Autor książek, m.in: „Apetyt na Melpomenę", „Zapomniani pisarze", „Sherlock Holmes i koledzy", „Artyści w cieniu Stalina", „Jego Ekscelencja na herbatce z Göringiem", „Polscy pisarze w cieniu Stalina".

eprasa.pl c9911e100d

Poniedziałek – piątek:

od 7:30 **Polska na dzień dobry**
Poranne rozmowy na dobry początek dnia

od 9:30 **Dzień z Republiką**
Konferencje na żywo, najciekawsze materiały i komentarze

od 15:20 **Republika po południu**
Ciekawi goście i burzliwe dyskusje

od 17:15 **Wolne Głosy**
Komentarze aktualnych wydarzeń

18:30 **Dzisiaj**
Główne wydanie serwisu informacyjnego

REPUBLIKA

Jeszcze więcej **informacji**
Jeszcze więcej **prawdy**
w Telewizji Republika

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, za pośrednictwem Internetu oraz drogą naziemną w systemie DVB-T (Katowice i bliska okolica), a także w systemie DVB-T2 (Warszawa, Wrocław i okolice tych miast).

eprasa.pl c9911e100d

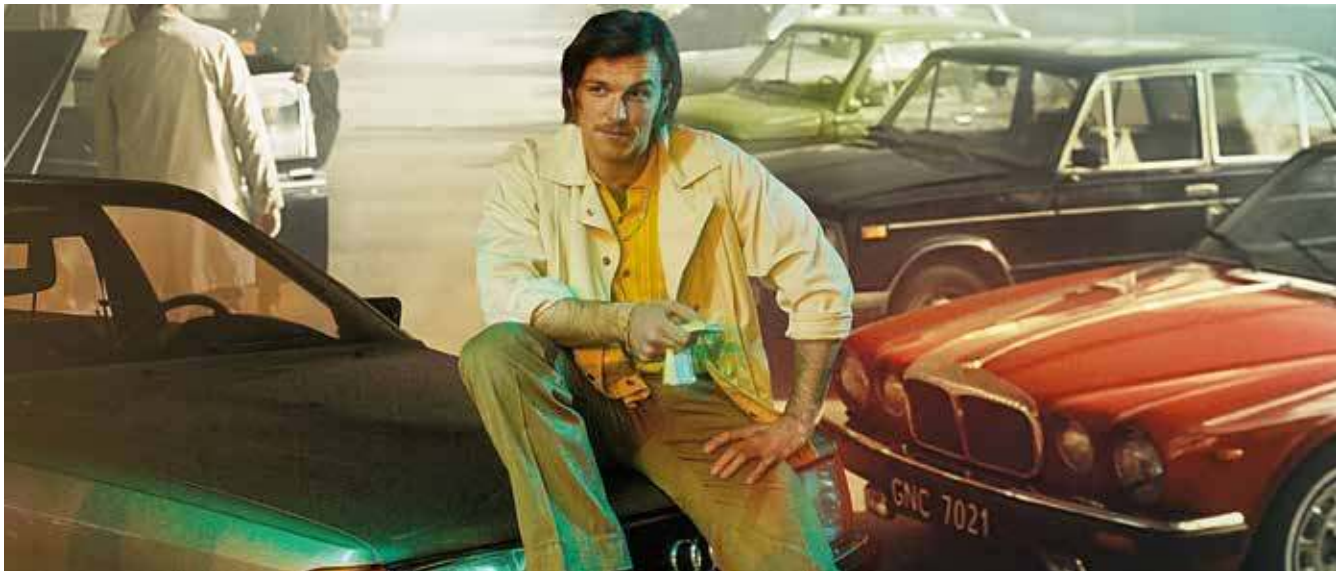

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Królowie życia

★★★☆☆☆

REŻ. MACIEJ KAWULSKI
„JAK POKOCHAŁAM GANGSTERA"
POLSKA 2021

wyst. Tomasz Włosok, Antoni Królikowski, Agnieszka Grochowska

Nikodem „Nikoś" Skotarczak był postacią dużo mniej sympatyczną, niż widzimy to w filmie „Jak pokochałam gangstera", ale nie o to w tym filmie chodzi. Nowe dzieło Macieja Kawulskiego to gangsterska bajka, tak jak bajką o PRL był pokazywany niedawno w kinach „Najmro". Kawulski idzie w estetykę przestylizowanego teledysku, widać, że kręci go to, co robił Guy Ritchie. Fascynuje się także moralitetami Martina Scorsesego. Do tego ostatniego bardzo mu daleko, ale fascynację widać wyraźnie na ekranie. Zarówno „Jak pokochałam gangstera", jak i wcześniejszy „Jak zostałem gangsterem" to próba kreowania nadwiślańskiej mitycznej rzeczywistości „chłopców z miasta". Tym próbom patronuje też trochę Vega (ale Kawulski jest od niego zręczniejszy i ma poczucie humoru), ale bardziej Pasikowski z jego opowieściami chwalącymi męską przyjaźń i honor ponad wszystko.

W roli głównej widzimy Tomasza Włosoka, który chwalony był (słusznie) za rolę gangusa Waldena w „Jak zostałem gangsterem" (dostał nawet nagrodę w Gdyni). Tutaj jest jeszcze lepszy i charyzmą przykrywa dziury w scenariuszu. Sporo wokół niego pięknych pań, bo to też opowieść o kobietach Nikosia. Agnieszka Grochowska gra jego wieloletnią kochankę Milenę (dobra rola), wyróżnia się Magdalena Lamparska, niezła jest Julia Wieniawa.

Na drugim planie też sporo się dzieje. Wreszcie dobrą robotę wykonuje Sebastian Fabijański jako przerysowany, szalony gangster Silvio, przeraża z kolei Janusz Chabior. Ale już Dawid Ogrodnik w roli Pershinga zawodzi.

Trzygodzinna opowieść o wzlocie i upadku Nikosia broniłaby się lepiej jako miniserial, w jednej dawce może być doświadczeniem męczącym. Jest też bardzo nierówna: świetne są kawałki o tym, jak Nikoś z mozołem budował swą pozycję i sławę, oraz bezczelny, niepoprawny politycznie humor – szczególnie powracający wątek „cwany Polak raz jeszcze wystrychnął na dudka Niemca". Tam, gdzie Kawulski robi komedię kryminalną z elementami historii najnowszej, wszystko się jakoś trzyma. Wywraca się, gdy próbuje budować mit swojskiego szlachetnego chłopca z ferajny, któremu w ramach snów o wolności zwidują się dzikie wilki na ulicach Trójmiasta (a monolog o żółwiu i tygrysie to grafomania czystej wody). I tak jednak moim zdaniem lepsze to niż gangsterskie historyjki Vegi albo szkoła TVN-owskich produktów filmopodobnych o planetach singli i pisanych z nich listach do M. ©℗

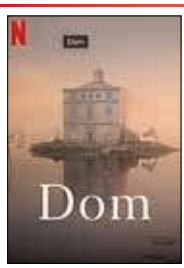

NOWE SERIALE: „DOM"

Antologia filmów zrealizowanych w technice poklatkowej to pokaz umiejętności i wyobraźni twórców związanych z brytyjskim Nexus Studios. Trzy opowieści przygotowane przez trzy zespoły artystyczne połączone zostały jednym elementem: domem, który stanowi centralny punkt akcji. Raz cofamy się w przeszłość, raz zaglądamy w przyszłość; jeden z odcinków pokazuje świat z punktu widzenia szczura. Wśród aktorów, którzy obdarzyli głosami animowane postacie, są m.in. Helena Bonham Carter, Miranda Richardson czy Matthew Goode. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***„Dom" („The House"), Wielka Brytania 2021, Netflix***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *sezon 1* ***„Ktoś, gdzieś" („Somebody Somewhere")****, USA 2022* HBO GO

• *sezon 2* ***„Cobra. Cyberwar"****, Wielka Brytania 2021* CANAL+

• *reż. Annie Silverstein* ***„Byk" („Bull")****, USA 2019* CINEMAX

eprasa.pl c9911e100d

Fiksacje skandalisty

KINO

Diabeł ubrał się w ornat i ogonem na mszę dzwoni. Paul Verhoeven zawsze sprawiał wrażenie twórcy bardziej zainteresowanego sprawami ciała niż ducha. Podbił Amerykę widowiskami typu „RoboCop" i „Nagi instynkt". Od „Showgirls" zaczęła się jazda w dół oraz narzekanie na hipokryzję wielkich wytwórni. Uwolniony od hollywoodzkiej opresji reżyser pozostał libertynem i w tym duchu przenicował historię XVII-wiecznej mistyczki Benedetty Carlini. Film epatuje groteskowym obrazem Kościoła (w którym najwięcej do powiedzenia mają żądni władzy i luksusu ateiści) tudzież niespójną fabułą okraszoną świntuszeniem i bluźnierstwami na poziomie „Klątwy" Frljicia. Tak to jest, gdy 82-letni skandalista chce dać upust swym erotycznym fiksacjom, a przy okazji zasłużyć na poklask środowisk antyklerykalnych i postępowych. Obawiam się, że nawet feministki, uznające włoską mniszkę za murowaną kandydatkę do panteonu ofiar patriarchatu, mogą być ciut zniesmaczone „Benedettą".

★★☆☆☆☆

REŻ. PAUL VERHOEVEN
„BENEDETTA"
BELGIA/FRANCJA/HOLANDIA 2021

wyst. Virginie Efira, Charlotte Rampling, Lambert Wilson

Rampling – przeorysza – potwierdziła przynależność do aktorskiej ekstraklasy, natomiast odtwórczyni roli tytułowej wypadła blado. Verhoeven nie ułatwił Efirze zadania, każąc jej odgrywać na zmianę naiwne dziewczę, histeryczkę, nimfomankę tudzież świętą, której ustami przemawia sam Bóg. No cóż, w habicie trudno, bez habitu nudno. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BEETHOVEN ZGWAŁCONY

cda

Cyniczny moralitet Stanleya Kubricka ma już pół wieku! Po londyńskiej premierze krytycy narzekali na brutalność filmu. Reżyser się obraził i dopilnował, żeby wyspiarze nie mogli oglądać „Mechanicznej pomarańczy" co najmniej do jego śmierci. Po prawdzie, laurami (i honorarium) powinien się podzielić z autorem literackiego oryginału. Lecz od kiedy ludzie wybitni są zarazem uczciwi oraz sympatyczni? Ekranizacja powieści Anthony'ego Burgessa ma zapewnione miejsce w annałach, ponieważ ponad wszelką wątpliwość udowodniła, że zło jest bardzo fotogeniczne, kultura nie czyni człowieka lepszym, a demokracja to ustrój z piekła rodem. Przyszłość, przepowiedziana przez obu panów, nadeszła, choć współcześni chuligani wolą dopalacze od mleka plus. Opatrzność ustrzegła Kubricka przed obsadzeniem w głównej roli Micka Jaggera. Padło na Malcolma McDowella, który do dzisiaj gra skończonych łajdaków.

★★★★★☆

REŻ. STANLEY KUBRICK
„MECHANICZNA POMARAŃCZA"
(„A CLOCKWORK ORANGE")
USA/WIELKA BRYTANIA 1971

wyst. Malcolm McDowell, Patrick Magee, Adrienne Corri

MIŁOŚĆ PO WŁOSKU

KINO

47 małżeństw, zawartych w pewnej rzymskiej parafii, okazuje się nieważnych. Proboszcz namawia do powtórki poprzedzonej dojrzałą refleksją. „Macie miesiąc, Bóg was zna i rozumie". Można to rozumieć jako zachętę do ułożenia sobie życia w inny sposób. Bliżej poznajemy cztery pary. Duet Costella/Genovese od lat eksploatuje życie uczuciowe średniego pokolenia, czasem z pazurem, częściej poprzestając na truizmach. Wiadomo, ludzie są egoistami, mężczyźni muszą dojrzeć do poważnego związku, kobiety do macierzyństwa, a najważniejsza jest wolność wyboru. Jak na ironię w prologu zostajemy uraczeni spektaklem marionetek. Bohaterowie też przypominają lalki, posłuszne woli niewidocznych animatorów. Łatwo zgadnąć, ku czemu zmierzają ich historie, kto dostanie szansę na nowy początek, a kto zostanie na lodzie. Na szczęście aktorzy sprawili się lepiej od scenarzystów. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. PAOLO COSTELLA
„(NIE)DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE"
(„PER TUTTA LA VITA")
WŁOCHY 2021

wyst. Ambra Angiolini, Fabio Volo, Claudia Pandolfi

GRA TYGODNIA: „WAR MONGRELS"

★★★★★☆

Początek roku to dobry czas na nadrabianie zaległości. Jeśli nie mieliście okazji sięgnąć po „War Mongrels", to zdecydowanie warto naprawić to niedopatrzenie. Taktyczna strategia polskiego studia Destructive Creations natychmiast przywołuje skojarzenia z serią „Commandos". Ale oprócz formy ciekawa jest i treść. Narratorem opowieści jest Manfred Raufer, zaślepiony nazistowską ideologią żołnierz Wehrmachtu, który obserwując niemieckie okrucieństwo, postanowił, że nie będzie jednak trybikiem w tej machinie zagłady. Inspiracją do stworzenia postaci był Manfred Zanker, który zdezerterował z Wehrmachtu, by służyć Armii Krajowej. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Strategia/taktyczna*
- ***Platforma:*** *PC, XSX, XONE, PS5, PS4*
- ***Producent, wydawca:*** *Destructive Creations, All in! Games*

eprasa.pl c9911e100d

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Dławiący, trupi nieba fiolet

Przerażająca opowieść o Polsce Ludowej z początków szóstej dekady XX w. O czasie terroru, zdrady i totalnego zakłamania. O mordach dokonywanych w majestacie prawa i zaprzaństwie tych, których wykreowano na nowe elity, rzekomych inżynierów dusz, a naprawdę katów czy w najlepszym razie pomocników oprawców. Stalinizm po polsku wciąż nie został do końca osądzony, zbrodniarze spoczywają w alejach zasłużonych, chodzimy ulicami nazwanymi ich imieniem, a wiersze i opowiadania renegatów uważane są za klasykę naszej literatury.

Ukazany przez Mickiewicza w III części „Dziadów" bal u senatora trwa w najlepsze. Wodzirejem zabawy jest kat. I to jego bal, bal katowski opisuje Bohdan Urbankowski w najnowszej powieści, w istocie tragedii, której protagonistą uczynił autor Tadeusza Borowskiego, zmarłego ponad 70 lat temu poetę i prozaika. Człowieka, który od podszewki poznał niemiecki hitleryzm i sowiecki bolszewizm, a zniszczony został dopiero w następnym kręgu XX-wiecznego piekła, stworzonym na polskiej ziemi przez okupantów ze Wschodu i ich mieniących się Polakami popleczników.

Służył Borowski komunistom gorliwie jak nikt inny. Po doświadczeniach oświęcimskich i zetknięciu się z powojennym kapitalizmem na Zachodzie doszedł do wniosku, że na gruzach, w które Niemcy zamienili Polskę, da się zbudować jakąś możliwą do życia utopię, a on sam nienawiść, którą był przepełniony, przekuje w literaturę odpowiadającą jego talentowi. Gruntownie się mylił. Pisać będzie – owszem – donosy i wywiadowcze meldunki, plugawe artykuły i komentarze, histeryczne teksty szkalujące bohaterów i sławiące zbrodniarzy; on – ofiara katów– stanie się wykonawcą ich rozkazów, niosących zagładę wszystkiego, co piękne, dobre

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PRP

i mądre. Tylko nie napisze już ani jednego wersu poezji godnej twórcy konspiracyjnie wydanego tomu „Gdziekolwiek ziemia", a od prozy tak wysokich lotów, które osiągnął w „Pożegnaniu z Marią", oddali się tak daleko, aż się jej wyrzeknie.

Do czasu będzie potrzebny. Rzeczowo to ujmuje jeden z powieściowych aparatczyków: „To teraz najlepszy nasz poeta, jedyny, który może się równać z Miłoszem. Broniewski pije, Gałczyński też, a do tego udaje kanarka. Tuwim to błazen, przed wojną wychwalał tego faszystę Piłsudskiego, teraz Bieruta, ale jakby wrócił Piłsudski, on znów padałby plackiem. Tacy są starzy lewicowcy. Dlatego nam są potrzebni młodzi, którzy będą wzorem dla innych młodych".

Starał się więc Borowski: pisał o Dzierżyńskim i o księżach jakże słusznie przez ludową sprawiedliwość skazywanych na śmierć, bo to oni, faszyści przebrani w sutanny, kierowali akcjami dywersyjnymi wymierzoną w socjalistyczną Polskę i jej sojusze. Ale że zaczął interesować się tym, czym nie powinien, pewnego dnia w jego mieszkaniu „ktoś musiał uszczelnić wentylator, ktoś odkręcił gaz". Koledzy literaci z podstawowej organizacji partyjnej uzgodnili, „że to był wypadek. Nonsensowny, ale wypadek. Nic więcej. Komunista nie popełnia samobójstwa, nie ucieka od problemów. Przed śmiercią czytał w łóżku »Burzę« Erenburga (zatwierdzono to miażdżącą większością głosów)".

Partia w tej sytuacji musiała się wzmocnić. I oto skoro ubył z jej szeregów jeden Tadeusz, natychmiast znalazł się drugi – Konwicki, który wstępując do PZPR, zwierzył się ze swego marzenia o tym, że Stalin kiedyś przeczyta jego książkę.

Marzenie raczej się nie ziściło, a cała wzruszająca scena została – jak plotkowano – „zainspirowana przez Urząd [Bezpieczeństwa – przyp. K.M.]. Chodziło o przykrycie żałosnej ucieczki Borowskiego (bo jak inaczej to nazwać, towarzyszu?) jakimś optymistycznym akcentem". Czesław Miłosz napisze potem:

Borowski zdradził. Uciekł tam gdzie mógł.
Przed sobą widział gładką ścianę Wschodu,
Za sobą mury polskie Ciemnogrodu.

A bal u kata trwał nadal, „jakby ktoś zapomniał – powiada Bohdan Urbankowski – czy już nie mógł tego balu zakończyć".

Dawno nie czytałem książki tak przygnębiającej jak najnowsza powieść autora „Czerwonej mszy, czyli uśmiechu Stalina". Co z tego, że opowiada o tym, co działo się na pozór dawno, 70 lat temu, skoro ten przeklęty bal nie kończy się, a że grają na nim inne melodie, jakie to ma znaczenie, skoro są to te same przeboje, tyle że na nowo zaaranżowane, a na parkiecie wirują dzieci i wnuki tych, którzy w ubeckich kazamatach wyrywali paznokcie ofiarom? I tylko pro forma przypomnę, że to Tadeusz Borowski w swej „Pieśni" wieszczył:

Nad nami noc goreją gwiazdy,
dławiący, trupi nieba fiolet.
Zostanie po nas złom żelazny
I głuchy, drwiący śmiech pokoleń. ©℗

★★★★★☆

BOHDAN URBANKOWSKI „BAL U KATA" ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2021

eprasa.pl c9911e100d

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Stara bieda

Magiczny realizm po estońsku: w bezczasie gdzieś poza granicami zwykłej historii żyją mieszkańcy biednej wsi otoczonej lasami. We dworze siedzi Niemiec, obiekt zazdrości, obmowy, a czasem i drobnych kradzieży. Powieść „Listopadowe porzeczki" zaczyna się od sceny, w której jednego z wieśniaków dotyka ciężka niestrawność: najadł się kradzionego mydła, myśląc, że to nieznana mu, pachnąca pięknie słonina.

We wsi egzystują obok siebie żywi i umarli. Duszyczki pożegnanych już przodków dopytują się, co słychać, martwią o los pozostawionych następnym pokoleniom dóbr, wtrącają z własnymi radami. Między ludźmi uwijają się fantastyczne stworki zwane kratami (lub bieruchami); żeby stworzyć krata, trzeba dwóch rzeczy: najpierw lepi się go z tego, co w obejściu niepotrzebne, a potem idzie wytargować od diabła duszyczkę, która krata ożywi. Taki stworek służy potem dzielnie swemu właścicielowi, dopóty, dopóki ducha nie wyzionie. Ale uwaga! Diabeł czekający na rozstaju dróg będzie chciał wysokiej ceny: duszy prawdziwej i trzech kropli krwi na cyrografie.

Nie jest to ani baśń, ani fantasy, raczej seria opowieści o zwykłym życiu w mocno niecodziennych okolicznościach, aczkolwiek Andrus Kivirähk znakomicie ową cudowność zaciera. Bardzo szybko przyjmujemy jego warunki: skoro bohaterów książki nic nie dziwi, to za zupełnie normalne zaczyna to traktować także czytelnik. Wszystko tu się przeplata: to, co żywe, i to, co umarłe, to, co fantastyczne, i to, co realne, to, co diabelskie, i to, co boskie. Ale wspólnym mianownikiem dla wszystkich cudowności byłoby słowo „przyziemne". Ani miejscowy diabeł nie jest wielkim szatanem – okpić go raczej łatwo, ani domochodźcy (duchy zmarłych nawiedzające domostwa) nie są specjalnie uciążliwi – ot, coś jak gderliwa, nielubiana, daleka rodzina. A jak ktoś zemrze ze strachu na widok trupibuta – cóż, tak bywa, taka już jest natura trupibuta, każdy to wie.

„Listopadowym porzeczkom" brakuje wyraźnej linii narracyjnej, mamy do czynienia raczej z serią anegdot, których bohaterowie niekiedy się zmieniają, czasem pozostają ci sami. Jeśli miałbym doszukiwać się morału, to wywiódłbym dwa. Marzenie o drodze na skróty, zwłaszcza z diabelską pomocą, zawsze kończy się rachunkiem do zapłacenia. Biedacy nie mają jednak wyboru: lepią swoje życie z tego, co mają. A że mają niewiele, to sklecony ze śmieci i kurzu krat wydaje się całkiem obiecującym rozwiązaniem. ©℗

★★★★☆☆

ANDRUS KIVIRÄHK „LISTOPADOWE PORZECZKI" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Po raz pierwszy po polsku debiut Huxleya. Satyra społeczna, której celem są sfery wyższe Wielkiej Brytanii, zwraca też uwagę rozważaniami o przyszłym Państwie Racjonalnym – to zapowiedź powieści „Nowy wspaniały świat".

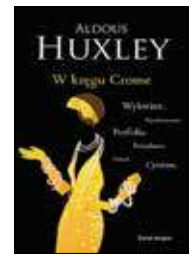

ALDOUS HUXLEY „W KRĘGU CROME" ŚWIAT KSIĄŻKI

Ambitna literatura dla zaawansowanych: eksperymentalne opowiadania łączące podróż do granic języka z pomysłami rodem z biologii i matematyki. Kilka wybitnych, w tym „Pościg" i nieco Borgesowski „Hrabia Monte Christo".

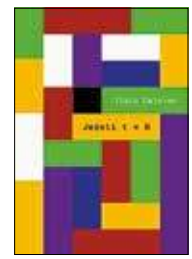

ITALO CALVINO „JEŻELI T = 0" PIW

Głośna swego czasu powieść przedwojennego klasyka literatury podróżniczej i patriotycznej. Opowieść o życiu polskich zesłańców na Syberii – główny bohater, por. Władysław Lis (wraz z żoną), trafił tam po wojnie 1831 r.

ANTONI FERDYNAND OSSENDOWSKI „MOCNI LUDZIE" ZYSK I S-KA

Autor nagrodzonej Pulitzerem książki „Nafta, władza i pieniądze" o rewolucji gazu z łupków, końcu ery ropy i poszukiwaniu nowych technologii; o konflikcie USA – Chiny/Rosja oraz zmianie układu sił na Bliskim Wschodzie. ©℗ ***Piotr Gociek***

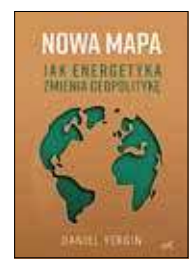

DANIEL YERGIN „NOWA MAPA. JAK ENERGETYKA ZMIENIA POLITYKĘ" POST FACTUM

KOMIKS TYGODNIA: „BOSKA KOMEDIA OSCARA WILDE'A"

Obszerna powieść graficzna opowiadająca o ostatnich miesiącach życia pisarza na wygnaniu w Paryżu. Po dwóch latach w więzieniu (skazano go za kontakty homoseksualne) Wilde uciekł na kontynent. Hiszpański rysownik perfekcyjnie wplata w swą opowieść cytaty z dzieł pisarza i jego najsłynniejsze aforyzmy, wybrał też ciekawy sposób narracji: kluczowych informacji dostarczają fikcyjne wywiady z najważniejszymi postaciami w życiu Wilde'a. Tragedia pisarza, który swój geniusz wlał w swe życie (a w twórczość – tylko talent), wzrusza bardziej niż w dowolnej z klasycznych biografii. ©℗ ***Piotr Gociek***

JAVIER DE ISUSI „BOSKA KOMEDIA OSCARA WILDE'A" NON STOP COMICS 2021

eprasa.pl c9911e100d

Nikt nie słucha?

FOT. ANATOL CHOMICZ/FORUM

Naukowcy potrafią zbadać różne rzeczy, także takie, o których się ponoć nawet nie dyskutuje, czyli gusta. Socjologowie z Polskiej Akademii Nauk w projekcie „Dystynkcje muzyczne. Gust muzyczny i stratyfikacja społeczna a proces kształtowania się stylów życia Polaków" sprawdzali, jaki wpływ ma pozycja społeczna na to, co najczęściej leci w naszych słuchawkach. „Nasze analizy dotyczyły m.in. homologii, czyli pokrywania się pozycji klasowej – tego, gdzie się człowiek lokuje w hierarchii społecznej, głównie na rynku pracy – z rozmaitymi stylami życia, upodobaniami do gustów muzycznych" – podkreślił w rozmowie z serwisem Nauka w Polsce prof. Henryk Domański, socjolog z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, szef projektu badawczego (członkami zespołu byli również dr Dariusz Przybysz, dr Katarzyna Wyrzykowska i dr Kinga Zawadzka).

„Im wyższa pozycja klasowa, wyższe wykształcenie czy wykonywanie bardziej złożonych pozycji zawodowych, związanych z wyższymi zarobkami i ze standardem materialnym, tym w większym stopniu lubi się muzykę klasyczną: Beethovena, Mozarta, Bacha, Mahlera, Wagnera – cytuje Domańskiego, Przybysz, Wyrzykowską i Zawadzką serwis Nauka w Polsce. – Z kolei im niższa pozycja klasowa, są to np. ludzie utożsamiani z klasą robotniczą, rolnicy, tym większe upodobania do muzyki popularnej, rozrywkowej, czyli do muzyki prostej, której się słucha dla samej rozrywki, bez wgłębiania się, bez doszukiwania się jakichś głębszych podtekstów".

Disco polo najbardziej lubiane jest przez rolników (ponad 68 proc. badanych), a najmniej przez specjalistów i kierowników wyższego szczebla, choć sympatię do tego gatunku zadeklarowało 27 proc. z nich. A także 55,9 proc. właścicieli firm. Stanowiącą drugi biegun muzykę poważną lubi 26,6 proc. ankietowanych Polaków.

Największą popularnością Beethoven, Mozart czy Chopin cieszą się wśród kierowników wyższego szczebla i specjalistów (50,9 proc. badanych), właścicieli firm (41,5 proc., czyli jednak przedsiębiorcy wolą disco polo) oraz pracowników umysłowych niższego szczebla (31,6 proc.). Nie przepadają za nią niewykwalifikowani robotnicy (16,8 proc. zadeklarowało sympatię do muzyki poważnej) i rolnicy (12,7 proc.). ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Z hukiem w nowy rok

Kiedy starą gwardię ciężkiego grania (patrz obok) ogarnia tęsknota za młodością, Amerykanie w średnim wieku bez strachu mierzą się z najstraszniejszymi demonami.

Zespół Converge powstał przed 30 laty w Salem, mieście słynącym z procesu czarownic w 1692 r., w stanie Massachusetts. Na 11. albumie, „Bloodmoon: I", pionierzy metalcore'u wraz z doomfolkową wokalistką Chelsea Wolfe i Stephenem Brodskym z zespołu Cave-In stworzyli hipnotyzującą, mroczną postmetalową symfonię. Już same tytuły utworów mówią, że nie będzie łatwo: „Krwawy księżyc", „Wnętrzności ludzkie", „Władca kłamców" itd. Pomijając odrażającą dla wielu konwencję, album aż kipi od świetnych aranżacyjnych rozwiązań. W odróżnieniu od popularnego obecnie prog metalu opartego na patosie i niekończących się utworach Converge, idzie drogą gotyckiego piękna zderzanego z dźwiękowymi dysonansami. Jak w najlepszych horrorach kunsztowna gra instrumentalistów w połączeniu z ekspresyjnym śpiewem trojga wokalistów (eteryczny sopran Wolfe dodał dodatkową przestrzeń) tworzy niepokojący, a zarazem wielce wyrafinowany nastrój.

Trzeba mieć odwagę, by zatopić się w tym świecie zakazanych dźwięków. Szczególnie że droga powrotu do rzeczywistości może być trudna, by nie rzec – niemożliwa. ©℗

★★★★★

CONVERGE
„BLOODMOON: I"
EPITAPH

★★★

DEEP PURPLE
„TURNING TO CRIME"
EAR MUSIC

Weterani nagrali album z coverami utworów z lat 1928–1973. Dominują rock'n'roll i boogie. Żadna z ich wersji nie dorównuje oryginałom, ale wybór piosenek (m.in. Love, Little Feat, Raya Charlesa) budzi szacunek. Ważne, że słychać, iż zabawa podczas nagrywania była przednia.

★★★★

JANUSZ POPŁAWSKI
„ZAPOWIEDŹ TAJEMNICY"
GAD

Człowiek z cienia, a jednocześnie legenda. Przez 13 lat grał w Niebiesko-Czarnych. Zafascynowany gitarowymi syntezatorami nagrał ten instrumentalny materiał w latach 1977–1983 dla Radia Gdańsk. Tajemniczo, funkowo i momentami melodyjnie. Przyjemna muzyka tła. ©℗

eprasa.pl c9911e100d

FOT. BARTŁOMIEJ KUDOWICZ/FORUM

Sezon na leszcza

Krzysztof Masłoń

Aktorką 25-lecia, jak się okazuje, może zostać Krystyna Janda, a Aktorem 25-lecia – Maciej Stuhr. Moim zdaniem nie tylko mogą, lecz także powinni

W czasach PRL, czyli mniej więcej wtedy, gdy zdaniem Ewy Kopacz ludzie rzucali kamieniami w dinozaury, ekscytowano się plebiscytami, a zwłaszcza wyborami najlepszych sportowców roku i ulubionych aktorów, którzy rywalizowali o Złote i Srebrne Maski. Na najpopularniejszych polityków nie głosowano, bo i tak wygrać musiał Gomułka. O dziwo, wyników plebiscytowych nie kwestionowano, dziwnie wierząc komisyjnym rachmistrzom, którzy pracowicie zliczali kupony wysyłane do redakcji „Przeglądu Sportowego" i „Expressu Wieczornego", patronów tych hec, traktowanych jednak niesłychanie serio.

Jeszcze w końcówce komuny coraz bardziej rozpychająca się w publicznej przestrzeni telewizja zafundowała sobie i nam Wiktory, mające honorować najznakomitsze osobistości szklanego ekranu. Pomysłodawcą był nie kto inny, a Józef Węgrzyn, a odpowiednie statuetki na ogół otrzymywał Tomasz Lis na zmianę z Grażyną Torbicką. W przeciwieństwie do plebiscytów sportowych i aktorskich wiara społeczna w obiektywizm przyznawania Wiktorów równa była zeru. Ale też trzeba przyznać, że w wolnej Polsce nawet tamte zasłużone wybory mistrzów stadionowych i scenicznych potrafiono, nie żeby zafałszować – a skąd! – powiedzmy, przystosować do oczekiwań organizatorów. Tym sposobem najlepszym sportowcem roku został kiedyś Marek Citko, a tytułu tego nie doczekał się podwójny mistrz olimpijski Tomasz Majewski, za to Justyna Kowalczyk w plebiscycie wygrywała, kiedy tyko chciała. Cóż, powiedzmy, że miała lepiej zorganizowany fan club, a naukę podliczania głosów tak, by osiągnąć spodziewany rezultat, posiadł w końcu nie tylko Marek Niedźwiecki. Niektórzy nawet w sztuce plebiscytowej rachunkowości doszli do takiej perfekcji jak Agora, która w 2001 r. nagrodą Nike obdarowała wprawdzie Jerzego Pilcha za powieść „Pod Mocnym Aniołem", ale już w plebiscycie czytelników „Gazety Wyborczej" kazała mu to pierwsze miejsce dzielić z Janem Tomaszem Grossem i jego „Sąsiadami", jak wiadomo – ulubioną lekturą Polek i Polaków. Z kamienną twarzą ogłoszono wówczas, że w głosowaniu czytelników doszło do remisu. Powiedziałbym nawet – zwycięskiego remisu.

Naszło mnie na te wspomnienia na wieść o toczącym się właśnie plebiscycie redakcji „Tele Tygodnia", pisma wydawnictwa Bauer z siedzibą w Hamburgu, świętującego 25-lecie przyznawania przez ten tytuł Telekamer. W ćwierćwiecze plebiscytu organizatorzy zachęcają telewidzów, by wskazali swoich wybrańców z przedstawionej im listy 15 aktorek, 13 aktorów i 17 seriali. Z zestawu tego, obejmującego laureatów tych trzech kategorii od roku 1998, wynika, że Aktorką 25-lecia może zostać Julia Kamińska, Aktorem 25-lecia Filip Bobek, a Serialem 25-lecia „BrzydUla". Przepraszam, że co? Że to może za duży rozmiar obuwia dla tych „podmiotów artystycznych"? A kogo to obchodzi! Regulamin plebiscytowy jest zresztą na tyle elastyczny, że można wokół niego wyczyniać najróżniejsze łamańce. I tak w ciągu minionych 25 lat, gdy trzeba było obok laurów za najlepszy serial przyznać nagrodę komuś jeszcze poza zwycięzcą, błyskawicznie stwarzano odrębną kategorię, a to telekomedię, a to serial codzienny (obok cotygodniowego), to znów adaptację serialu zagranicznego, bo za taką uznano właśnie wspomnianą „BrzydUlę", nagradzając ją w roku 2010 obok „Barw szczęścia". Ot, jeszcze jeden zwycięski remis.

Choćby pobieżny wgląd w listę laureatów Telekamer każe widzieć zdecydowanych faworytów w tasiemcach TVP: „Klanie", „M jak miłość" i „Na dobre i na złe". Z serialowej oferty TVN, nawet liczebnie okazałej, poza „Na Wspólnej" w telewizyjne dzieje jakoś wpisały się „Kasia i Tomek", może – dla amatorów – „Kryminalni", może „Magda M.". Ale jak się te produkcje mają do np. „Czasu honoru"? Jeśli zaś chodzi o Polsat, to poza swoim flagowym „Światem według Kiepskich" w spisie kandydatów do miana Serialu 25-lecia ma jedynie „Zawsze warto", czego nawet komentować się nie chce.

Aktorką 25-lecia, jak się okazuje, może zostać Krystyna Janda, a Aktorem 25-lecia – Maciej Stuhr. Moim zdaniem nie tylko mogą, lecz także powinni zostać w ten sposób uhonorowani za swe wiekopomne zasługi na polu walki z domorosłym faszyzmem, nacjonalizmem, ksenofobią, nietolerancją i innymi grzechami głównymi stygmatyzującymi naszą niewydarzoną nację. Stosowne wyróżnienie powinno też przypaść w udziale Barbarze Kurdej-Szatan za jej postawę antywojenną. Myślę, że Złota Pacyfa byłaby tu na miejscu.

Jeśli jednak Aktorami 25-lecia zostaną, dajmy na to, Kamilla Baar i Tomasz Karolak, też się zbytnio nie zdziwię, ponieważ łaska pańska na pstrym koniu jedzie, a sezon na leszcza nigdy się nie kończy. Przynajmniej w serialowej Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

Polski młotek – rosyjski

Rywalizacja światowych mocarstw może przerodzić się w otwartą wojnę. Czy Polska może się postawić Rosji?
zastanawiają się Jacek Bartosiak i Piotr Zychowicz

PIOTR ZYCHOWICZ: Starcie Polski z Rosją jawi się jako starcie Dawida z Goliatem i może się skończyć tylko kompletnym zmiażdżeniem sił zbrojnych Rzeczypospolitej.

JACEK BARTOSIAK: Czas na zmiany polskich map mentalnych! Czas na zmiany myślenia o konflikcie zbrojnym w kategoriach II wojny światowej. Czas na zmiany w kulturze strategicznej Rzeczypospolitej. Rosja nie może być wszędzie i zawsze silna. Wojna jest czynnością polityczną, a nie zabijaniem dla samego zabijania. Wojna ma określony cel. Jeżeli sobie z tego zdamy sprawę – to będziemy bliżej celu.

Rosja wcale nie musi od razu pójść na całość. Czyli rzucić na nas wszystkich swoich sił i zasypać nas rakietami. Należy się raczej spodziewać taktyki małych kroków. Jakichś prowokacji, cyberataków, „zielonych ludzików"... Temu można przeciwdziałać.

Wojna współczesna ma w dużej mierze wymiar pozakinetyczny. Jest to wojna informacyjna, propagandowa, cybernetyczna. Daje to duże możliwości ofensywne państwom słabszym. Tylko trzeba zagrać w tę grę. Powodem, dla którego Rosja mogłaby spróbować skonfrontować się z Polską, byłoby złamanie spójności sojuszu północnoatlantyckiego. Nie ma innego powodu, by nas zaatakować zbrojnie. Celem Rosji nie będzie przecież okupowanie całej Polski. Może nim być tylko podważenie amerykańskich i NATO-wskich gwarancji. My, pierwsi i najważniejsi na wschodniej flance, symbolizujemy amerykańską obecność w Europie, która z kolei ogranicza możliwości polityki Rosjan na Starym Kontynencie. Po prostu ich blokujemy. Trochę jak korek znoszący napór ciśnienia. To jest podstawowy, niepodlegający negocjacjom interes Rzeczypospolitej – trzymać Rosję w ryzach. Rosjanie zatem muszą przełamać ten opór, wypchnąć korek.

Gdzie rozegrałaby się taka wojna?

Całe szczęście między nami a Rosją mamy bufory. Są Białoruś, Ukraina, państwa bałtyckie. Właśnie tam może dojść do konfrontacji.

Istnienie tych buforów bez wątpienia jest dla nas bardzo korzystne. Zwróć uwagę, że gdy państwa ULB uzyskały niepodległość, to Rosja została wypchnięta tak daleko na wschód jak w XVII w. Zegar historii został cofnięty o kilka stuleci. Niestety, w tym wale oddzielającym Polskę od Rosji pojawia się pewien wyłom. Mam na myśli Białoruś. Ten kraj może się stać bazą operacyjną do uderzenia na Polskę.

Tak. Białoruś przypomina Czechosłowację w latach 1938 i 1939. Wchłonięcie tego kraju przez Rosję całkowicie zmieniłoby nasze wojenne planowanie. Naszą sytuację. Ale wróćmy jeszcze na chwilę do kwestii celów wojennych. Powiedzieliśmy, jakie byłyby cele Rosji, a co Polska mogłaby uzyskać. Co starałaby się osiągnąć? Oczywiście trzeba byłoby pokonać Rosję, odeprzeć atak. Ale – jak mówiliśmy – to może być wojna ograniczona. Tak jak wojna japońsko-rosyjska w 1905 r. czy wojna krymska. Niekoniecznie musi to być kolejna wszechogarniająca „wojna ojczyźniana". To może być takie starcie jak między Rosją a Turcją. Musimy oderwać się od myślenia o masach żołnierzy w okopach. O karabinach maszynowych, które będą rozdawane z magazynów ochotnikom. Musimy myśleć nowocześnie.

Komputery, drony, roboty, systemy wczesnego ostrzegania, broń dalekiego zasięgu. Precyzja uderzenia, doskonała organizacja. Znakomicie wyszkoleni specjaliści siedzący przed monitorami. A nie pospolite ruszenie z karabinami i granatami siedzące po lasach.

eprasa.pl c9911e100d

FOT. STRINGER/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

gwóźdź

Najważniejsze w nowoczesnej wojnie nie jest oczywiście niszczenie masy żywej, lecz izolowanie pola walki wszystkimi dostępnymi metodami. Cyberwojna, elektromagnetyczne spektrum. Przewaga świadomości sytuacyjnej, czyli obserwacja, orientacja, proces decyzyjny i akcja. Dominacja informacyjna. To właśnie ta przewaga, którą Izrael ma nad przeciwnikami. To jest przewaga gigantyczna. A przecież Izrael wcale nie wydaje na wojsko więcej niż Polska. W takiej wojnie wszystko będzie się działo bardzo szybko. Grunt, żeby przez kilka dni zapobiec powstaniu kaskadowego efektu przegrywania. A to już samo w sobie jest zwycięstwem z Rosją.

Czyli po prostu powstrzymanie przeciwnika. Danie mu po łapach, uniemożliwienie realizacji jego celów. Tylko czy to jest realne? Będę się jednak upierał, że przewaga Rosji jest miażdżąca.

Żeby przełamać rosyjską strategię, musimy zacząć myśleć nowocześnie. Potrzebne są działania ofensywne, a nie tylko defensywa.

Gdzie mogłaby zaatakować Rosja? Rozumiem, że w przesmyku suwalskim, wąskim gardle oddzielającym Białoruś od obwodu kaliningradzkiego. Jak to by wyglądało? Nagle ruszają na nas czołgi białoruskie i rosyjskie? I co się dalej dzieje? Bo jedni twierdzą, że jesteśmy tacy słabi, że po dziewięciu godzinach wrogie czołgi stałyby na rogatkach Warszawy. A inni – że Rosja ma sam szmelc.

Od razu zastrzegam, że nie wypowiadam się na temat jakości sił zbrojnych. Mogę tylko powiedzieć, jaki mamy potencjał, biorąc pod uwagę PKB, demografię, infrastrukturę. Moim zdaniem wszystkie te wskaźniki dowodzą, że możemy zbudować siły zbrojne z prawdziwego zdarzenia – Armię Nowego Wzoru – czyli młotek, który wbije gwóźdź w ścianę, bo jest w tym dobry.

Młotkiem są polskie siły zbrojne. A co jest gwoździem? Rosyjskie dywizje pancerne prące na Warszawę? Czy też może wojska specnazu, które opanują kluczowe punkty i drogi w przesmyku suwalskim? Ukraińcom zabrakło tego młotka w 2014 r. na Krymie. Ich bezradność była porażająca. Domyślam się, że ukraiński sztab również szykował się do wojny w starym stylu. W efekcie, gdy doszło do eskalacji na Krymie, stracił głowę. Trzeba z tego wyciągnąć wnioski.

Gwoździem jest moskiewski przymus polityczny realizowany poprzez siły zbrojne. Na razie najbardziej prawdopodobnym scenariuszem nie jest atak na Polskę. Eskalacja w Europie Środkowo-Wschodniej może wyglądać tak: coś zaczyna się dziać na Pacyfiku. Wtedy Rosjanie wykorzystują sytuację i w ramach wojny nowej generacji destabilizują państwa bałtyckie, w szczególności Łotwę. Zostałoby to ubrane w kostium „braterskiej pomocy” dla tamtejszej społeczności rosyjskiej. Opinia światowa otrzymuje mieszane, sfalsyfikowane sygnały. Nie wiadomo, czy Rosjanie wchodzą czy nie wchodzą. Żołnierze Federacji Rosyjskiej występują bez narodowych znaków. Polska musi podjąć decyzję.

„Zielone ludziki” pojawiają się na Łotwie?

Oraz na Białorusi. W obwodzie grodzieńskim koncentrują się wojska rosyjskie, które flankują nam przejście przez przesmyk suwalski. Kolejne wojska rosyjskie są oczywiście w obwodzie kaliningradzkim. Amerykanie zaczynają wywierać na nas presję: „Panowie, polskie wojska lądowe muszą otworzyć przesmyk suwalski”.

Czyli ruszyć na północ, na ratunek Łotwie.

Tak. Zgodnie z amerykańskim planem Polacy mają iść na odsiecz Rydze. Paradoksalnie więc pierwszą rundę – na poziomie politycznym – trzeba będzie stoczyć z Amerykanami.

Taki marsz spowoduje, że polskie wojska znajdą się w katastrofalnej sytuacji. Wystarczy rosyjskie uderzenie na przesmyk suwalski, żeby odciąć naszą armię operującą w państwach bałtyckich od bazy zaopatrzeniowej w Polsce. A bez dostaw paliwa, amunicji, części zamiennych i innego sprzętu armia ta się udusi. Zostanie jej odcięty tlen. Obawiam się, że taka wyprawa „na odsiecz Rydze” to przepis na katastrofę.

Prawdziwym celem Rosji byłoby zagranie na nosie Amerykanom. Pokazanie, że nie dają rady chronić swoich sojuszników nad Bałtykiem. Czyli złamanie architektury bezpieczeństwa. Jeśli Amerykę uda się wypchnąć z gry, to Europejczycy będą musieli się dogadywać z Rosjanami na temat przyszłości Europy Środkowo-Wschodniej.

Zaraz, zaraz... Jeśli dobrze rozumiem, Amerykanie – zaangażowani na Pacyfiku – nie mogliby pomóc Łotwie. I zamiast US Army na straceńczą misję wysłaliby polską armię.

Trochę tak. Chodziłoby o to, żeby ratować architekturę bezpieczeństwa. Tak jak w 1939 r. Wtedy też ratowaliśmy ówczesną architekturę bezpieczeństwa i ład światowy.

Jak to się skończyło – wiemy. Ale pytanie, czy nasza pomoc mogłaby się okazać skuteczna. Mam co do tego poważne wątpliwości. Oczywiście w naszym interesie byłoby utrzymanie ładu

eprasa.pl c9911e100d

światowego i powstrzymanie Rosji przed aneksją Łotwy, ale obawiam się, że sami byśmy tego nie zrobili. My wpakowalibyśmy palce w drzwi, a Amerykanie byliby…

… daleko. Na Pacyfiku. Związani walką z Chińczykami. Co zatem robić? Pomagać Łotwie czy skupić się na obronie tylko własnych granic? To jest właśnie realna polityka w przeciwieństwie do polityki idealistycznej. Myślę, że w sytuacji takiego kryzysu Niemcy bardzo szybko chcieliby negocjować święty spokój.

Myślę, że Amerykanie, którzy dobrze znają polską mentalność, będą nam podbijać patriotycznego bębenka. Za wolność naszą i waszą!

Amerykanie powiedzieliby: „My damy gwarancje, a wy idźcie!”. Ja natomiast uważam, że należałoby poczekać i przekonać się, czy Amerykanie idą przodem czy naprawdę pakują się do samolotów transportowych.

Bardzo rozsądnie. Obawiam się tylko, że po naszych politykach – a przynajmniej sporej części z nich – rozsądku trudno się spodziewać.

Przewiduję, że w razie ataku na Łotwę Rosjanie zaczęliby z nami negocjować, nakłaniać nas, żebyśmy się nie mieszali. Obiecywać, że nic nam się nie stanie, być może coś oferować. Ale nasi przywódcy rzeczywiście pewnie będą chcieli działać. Bo taka interwencja będzie w „słusznej sprawie i po słusznej stronie” – z Amerykanami. Problem polega na tym, że w takiej sytuacji między nami a Amerykanami powstanie sprzeczność interesów.

To przypomina analogię, do której często się odwołujemy w naszych rozmowach. Analogię, która aż się narzuca – wrzesień 1939 r.

Gdybyśmy podjęli decyzję, że pomagamy państwom bałtyckim, zaczęłyby się problemy operacyjne, o których mówiłeś. Przesmyk suwalski jest flankowany z Grodzieńszczyzny i z okolic Gusiewa w obwodzie kaliningradzkim. Rosjanie nie musieliby nawet zajmować przesmyku. Po prostu ostrzeliwaliby ten teren z dwóch stron. Gdybyśmy rzeczywiście na poważnie chcieli iść do Rygi, siły zbrojne Rzeczypospolitej musiałyby najpierw wyeliminować rosyjskie siły na Białorusi i w obwodzie kaliningradzkim. To by było zgodne ze sztuką wojenną.

To by dało nam swobodę operacyjną. Ale zaatakowanie obwodu kaliningradzkiego i Białorusi uczyniłoby sprawę znacznie bardziej skomplikowaną.

Chodziłoby o to, żeby de facto wyeliminować zagrożenie w okolicach Grodna. Zająć znajdujące się w tym mieście mosty na Niemnie.

Ale to byłaby już frontalna wojna z Białorusią i Rosją. Nie zrozum mnie źle, bardzo lubię Łotyszy, ale interes własnego państwa jest ważniejszy.

To by była bez wątpienia ogromna eskalacja. Mówimy o ataku na nuklearne mocarstwo. Niestety, obecna dyslokacja wojsk NATO zupełnie nas nie zabezpiecza.

Myślę, że z Rosją powinniśmy się bić. Ale dopiero, gdy zaatakuje terytorium Rzeczypospolitej.

My musimy mieć plany na wojnę nowej generacji, która się zaczyna na długo, zanim słychać strzały. W razie ataku Rosji należy zerwać z postawą defensywną. W momencie ataku my reagujemy, ale również my zadajemy ciosy i oni reagują. Powinniśmy mieć siły zbrojne zdolne do reagowania na olbrzymim obszarze między Morzem Czarnym a Bałtykiem. Przeprowadzać demonstracje strategiczne, które podziałają odstraszająco.

Oczywiście każde państwo, które myśli o zaatakowaniu drugiego państwa, kalkuluje ryzyko. Również Rosja. Jeżeli będziemy silni, to prawdopodobieństwo wojny będzie spadać. Problem polega na tym, że gdybyśmy wykonali amerykański rozkaz i wysłali nasze wojska na ratunek Łotwie, rzeczywiście moglibyśmy się stać głównym dawcą. Ale dawcą mięsa armatniego.

Dlatego trzeba wybierać pola bitwy, na których można wygrać.

Otóż to! To my powinniśmy wybrać miejsce konfrontacji naszej armii z Rosją, a nie Amerykanie. Jak to rozegrać?

Załóżmy, że coś się zaczyna dziać w Donbasie. Ukraińcy mają armię i stawiają opór. My dostarczamy im drony oraz systemy zagłuszania dronów rosyjskich. Bo mamy przecież taką technologię i mamy rozpoznanie kosmiczne. W efekcie tej pomocy Ukraińcy wygrywają.

Czyli musimy robić jak Anglicy – wygrywać cudzymi żołnierzami. Bardzo mądra strategia. Lepiej poświęcić trochę sprzętu niż krew własnych obywateli.

Wyobraźmy sobie inny scenariusz. Rosjanie wchodzą do państw bałtyckich, a my mamy tajne porozumienie z Ukraińcami, że oni wtedy automatycznie mobilizują wojska w Donbasie, a kolejne koncentrują na kierunku Kursk – Rostów nad Donem. Tyle wystarczy. Nie muszą nawet atakować. Natychmiast 1. Gwardyjska Armia Pancerna musi wracać, żeby zabezpieczyć granicę z Ukrainą. Bo Rosjanie nie mają przecież wystarczających wojsk na wszystkich kierunkach. My też możemy zrobić taką demonstrację. Przerzucamy nasze brygady mobilne na takich kierunkach i w taki sposób, jakbyśmy chcieli zaraz uderzyć na Białoruś. Takie działania poważnie odciążą Łotyszy, mogą pomóc bardziej niż nieudana próba odsieczy lądowej.

Jaką odpowiedź można jednak znaleźć na rosyjską broń nuklearną?

Nie mam na to (na razie) żadnej mądrej odpowiedzi poza najprostszą, że Amerykanie mogliby otworzyć nad nami swój parasol atomowy. Mogliby organizować ćwiczenia i latać nad naszym terytorium z pociskami nuklearnymi. Z kolei Niemcy – gdyby rzeczywiście przyjęli funkcję policmajstra Europy – mogliby nas wspomóc konwencjonalnie. Można również zastosować strategiczną niejasność. Gdybyśmy mieli elektrownię atomową, długoletni program atomowy, to Rosjanie nie byliby pewni, co Polacy mają w swoim arsenale.

Na jakich sojuszników możemy liczyć w razie otwartego konfliktu z Rosją?

Na Szwedów, Ukraińców i Rumunów.

Są politycy, którzy nadal są święcie przekonani, że będą bronili nas Amerykanie. To zaś – w sytuacji, w której USA toczą konflikt z Chinami na Pacyfiku – staje się coraz bardziej problematyczne.

Obecność amerykańska rzeczywiście daje nam złudne poczucie bezpieczeństwa. Wielu ludzi uważa, że Amerykanie zrobią za nas całą robotę. W nowoczesnej wojnie występuje tymczasem kaskadowy efekt przegrywania. Wojnę można przegrać bardzo szybko i spektakularnie. Amerykanie – nawet jeżeli tu zostaną – na pewno nie będą nam pomagać, jeśli sami nie pokażemy, że jesteśmy silni i odporni na ciosy. Że jesteśmy gotowi skutecznie się bić. Potrzebujemy więc własnych, potężnych i nowoczesnych sił zbrojnych. Nikt nie obroni Polski za nas.

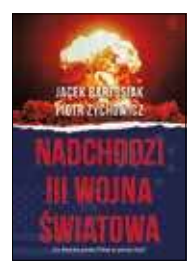

JACEK BARTOSIAK, PIOTR ZYCHOWICZ „NADCHODZI III WOJNA ŚWIATOWA” REBIS

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Palec na spuście

Encyklopedia broni krótkiej Aleksandra B. Żuka to książka legendarna. Sowiecki ekspert wydał ją w połowie lat 80. i książka szybko zrobiła furorę na całym świecie. Wystarczy napisać, że została przetłumaczona na 17 języków i sprzedała się w ponad 2 mln egzemplarzy!

W PRL ludzie musieli zapisywać się na tę książkę w kolejce w Księgarni Radzieckiej. Był to prawdziwy biały kruk. Teraz dzięki wydawnictwu Bellona album trafił do rąk masowego czytelnika, w rozszerzonym wydaniu.

Żuk pisze o popularnych pistoletach amerykańskich, belgijskich czy niemieckich. Ale nie pomija również egzotycznych producentów, takich jak Indonezja, Korea, Filipiny czy Wietnam. Opisując każdy z pistoletów, przedstawia jego historię, rozwiązania konstrukcyjne i amunicję. Całości towarzyszą rysunki techniczne.

Możemy więc przeczytać o:

– beretcie 418, ulubionym pistolecie Jamesa Bonda;

– waltherze PPK, z którego w łeb palnął sobie Adolf Hitler;

– nagancie, z którego strzelali czekiści;

– południowo-afrykańskim pistolecie Vector, z którego Janusz Waluś zastrzelił Chrisa Haniego.

Nie mogło oczywiście zabraknąć polskiego visa. Według Żuka niektóre rozwiązania konstrukcyjne tej broni „o ćwierć wieku wyprzedzały podobne rozwiązania w innych krajach". Przed wojną Polacy zdążyli wyprodukować 50 tys. visów.

Broń docenili Niemcy, którzy nie zaprzestali produkcji. Najpierw w Radomiu, a potem w Czechach z taśm produkcyjnych zeszło ok. 300 tys. sztuk. W niemieckiej armii pistolet znany był jako P35.

Żuk pisze również o kieszonkowym pistolecie Smok, który był produkowany przed wojną w Gnieźnie, w fabryce pana Stanisława Nakulskiego. Broń o kalibrze 6,35 mm ważyła zaledwie 260 gramów. Pistolet był tak mały i lekki, że każda dama mogła włożyć go do torebki.

Polskie wydanie książki zostało uzupełnione obszernym rozdziałem poświęconym polskiej broni krótkiej, napisanym przez świetnego eksperta Leszka Erenfeichta. Prawdziwa gratka dla miłośników broni i strzelania. ©℗

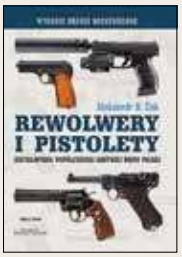

★★★★★★

ALEKSANDR B. ŻUK
„REWOLWERY I PISTOLETY"
BELLONA
FUNDACJA HISTORIA I KULTURA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śmierć literata

Ostatnie lata życia Walerego Łozińskiego zapowiadały tragiczny koniec. Autor „Zaklętego dworu" miał bowiem wyjątkowo trudny charakter i niemal na siłę szukał nieszczęścia. W lutym 1860 r. miał sprawę honorową z oficerem austriackim Telemem, którego obraził, spiesząc się na bal karnawałowy na Wałach Hetmańskich. Do pojedynku ostatecznie nie doszło, Austriak nie wytrzymał nerwowo i przeprosił pisarza, co rozzuchwaliło Łozińskiego. Cztery miesiące później zażądał satysfakcji od swojego wydawcy i przyjaciela Jana Dobrzańskiego, zarzucając mu publicznie nieuczciwość. Łoziński i Dobrzański spotkali się w otoczeniu sekundantów i kilka razy strzelali do siebie, bez widocznego skutku. Ostatecznie pistolety zamieniono na szable, co przyniosło natychmiastowe efekty. Skłóceni przyjaciele otrzymali rany cięte głowy, co spacyfikowało nastroje.

Nie minęło jednak pół roku, jak Łoziński popadł w konflikt z kolejnym bliskim znajomym – Karolem Cieszewskim. Tym razem przyczyną sporu była kobieta, narzeczona Cieszewskiego. Łoziński zdobył względy dziewczyny i niedawni przyjaciele wyzywali się publicznie, a do tego szkalowali się na łamach prasy. 10 stycznia 1861 r. doszło do pojedynku (na szable), w którym obaj odnieśli rany. Cięty w głowę Łoziński wylądował w szpitalu, jednak wypisał się na własną prośbę i wkrótce zmarł na zapalenie opon mózgowych. Cieszewskiego postawiono przed sądem (pojedynki były zakazane), ale nie udowodniono mu zabójstwa. W zamian skazano go na sześć miesięcy za „krytykowanie władzy", co zadecydowało o jego losie. W więzieniu stracił zdrowie i zmarł po kilku latach.

Pogrzeb Walerego Łozińskiego odbył się trzy tygodnie po feralnym pojedynku. Literatowi ufundowano pomnik ze składek mieszkańców grodu, co było wyrazem uznania dla talentu zmarłego i przejawem rozpaczy z powodu bezsensownej śmierci 24-letniego artysty. Był on bowiem wielką nadzieją powieściopisarstwa i nazywano go nawet lwowskim Dumasem.

„Młodzież niosła trumnę – opisywał Władysław Zawadzki. – Za trumną szedł ociemniały Karol Szajnocha. Otaczali go literaci, artyści, redakcje pism, dalej postępowały drukarnie, młodzież akademicka, wszystkie szkoły od najwyższych do najniższych, wreszcie tysiące osób wszelkiego stanu, płci i wieku zwiększały orszak żałobny za trumną ubogiego literata. Był to powszechny hołd oddany zasłudze umysłowej, świetnemu talentowi i tym szlachetnym narodowym zasadom, za które walczył piórem przez całe życie na każdej karcie pism swoich".

Pozostaje tylko żałować, że charakter Łozińskiego nie dorównywał jego talentowi literackiemu. ©℗

eprasa.pl c9911e100d

Jan Fiedorczuk

Chwieje się legenda Tuska

Donald Tusk przez lata kreował się na jedynego polityka, którego obawia się Jarosław Kaczyński. Tusk A.D. 2022 jest jednak tylko cieniem samego siebie sprzed lat

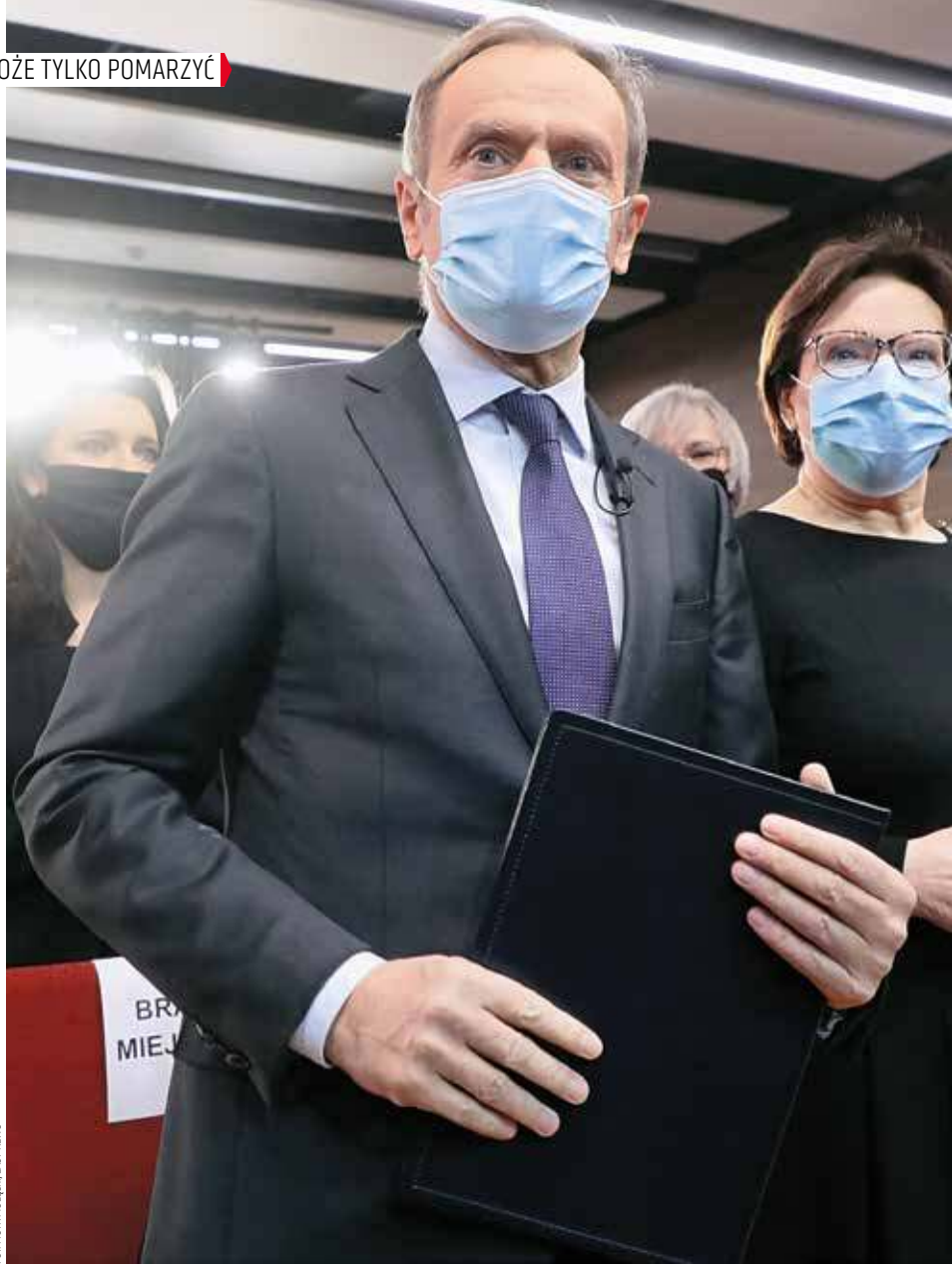

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

Obóz władzy właściwie już nie ukrywa swojej fascynacji najbardziej radykalnymi, czarnymi i brunatnymi kartami historii Europy. To, co do niedawna mogło się wydawać przesadą, te konotacje z faszyzmem, te głosy ostrzeżenia okazały się uzasadnione – stwierdził niedawno Donald Tusk podczas konferencji prasowej.

To właśnie odbudowanie manichejskiej, zradykalizowanej wizji polskiej polityki pozwoliło Platformie spolaryzować scenę polityczną, odrobić straty do Szymona Hołowni i zapobiec spektakularnemu politycznemu samobójstwu, do którego prowadził partię Borys Budka. W międzyczasie jednak doszło do zaskakującego zjawiska w łonie samej Platformy. Tusk, owszem, przejął oficjalną władzę w partii, jednocześnie jednak w coraz mniejszym stopniu jest w stanie narzucić jej własną wizję działania.

UCIEKAJĄCA PLATFORMA

Proces „uciekania" Platformy od Tuska jest szczególnie widoczny w młodszym pokoleniu polityków, czego dowiódł kryzys na granicy. W pierwszym odruchu, gdy opozycja domagała się wpuszczenia imigrantów, Donald Tusk był bodaj jedynym politykiem PO, który przyznał, że państwo musi bronić swoich granic. Jego słów nikt jednak nie chciał słuchać – Franciszek Sterczewski ganiał się z żołnierzami, próbując przekroczyć granicę, rozhisteryzowana Iwona Hartwich nawoływała: „Wpuście tych ludzi, kim są, ustali się później", a Klaudia Jachira przekonywała, że „Polacy tak samo pomagają uchodźcom, jak kiedyś Żydom w czasie wojny". Zresztą cała rzesza okołoplatformerskich celebrytów, na czele z Władysławem Frasyniukiem, wylewała wiadra pomyj na polską armię. Grupa posłów, których pod nieobecność Tuska do partii dopuścił Grzegorz Schetyna, uległa – jak to ująłem w jednym z poprzednich tekstów w „Do Rzeczy" – totalnej infantylizacji. Młodzi radykałowie, jak to często bywa, zaczęli wpływać również na starsze pokolenia. I tak np. „oczyszczenia polskiego munduru z PiS" zaczął domagać się Janusz Lewandowski, a skandalicznych wypowiedzi Frasyniuka bronił m.in. Borys Budka. Tusk ma status półboga w tym środowisku, a mimo to został całkowicie zignorowany przez swoich posłów, swoje media, swoich celebrytów. – Dostałem po głowie od części opozycji, bo mówiłem, że nikt nie ma prawa kwestionować wysiłku Straży Granicznej i żołnierzy – przyznał w rozmowie z Wirtualną Polską. Nie będąc w stanie opanować radykałów, Tusk

eprasa.pl c9911e100d

zdecydował się zatem na jedyną rozsądną rzecz – usunął się w cień.

Niesubordynacja posłów w czasie kryzysu migracyjnego jest częścią szerszego procesu odpływania Platformy w stronę kulturowej lewicy, który zaczął się jeszcze za premierostwa Tuska, a zyskał na sile po przejęciu partii przez Ewę Kopacz i jej następców. W 2015 r., jeszcze za rządów PO, Polska ratyfikowała konwencję stambulską. W 2018 r. z partii wyrzucono Marka Biernackiego, Joannę Fabisiak oraz Jacka Tomczaka za brak poparcia dla proaborcyjnego projektu ustawy, a całkiem niedawno z partią musieli się pożegnać Ireneusz Raś i Paweł Zalewski. – Usunięto mnie za poglądy, które od kilku miesięcy głosiłem, gdy przestrzegałem PO przed skrętem w lewo przy dyskusji w sprawie aborcji – mówił wówczas Raś. Kulminacją tego zjawiska było wysforowanie się na czoło opozycji Rafała Trzaskowskiego, który swoją karierę prezydenta Warszawy rozpoczął od wspierania rewolucji LGBT oraz antypaństwowej polityki zagranicznej. Jeżeli Donald Tusk, opuszczając kraj, zostawiał PO z jakąś (stłamszoną, bo stłamszoną, ale jednak istniejącą) konserwatywną kotwicą, to obecnie nie ma już po niej nawet śladu.

Lider PO nie jest konserwatystą, ale zdaje sobie sprawę, że na tle europejskiej średniej polskie społeczeństwo jest nadal stosunkowo zachowawcze i pod sztandarami rewolucji kulturowej nie zdobędzie władzy. Problem w tym, że podczas jego siedmioletniej nieobecności wyrosło całkiem nowe pokolenie polityków, którzy – paradoksalnie – są o wiele bardziej „unijni" i postępowi niż były przewodniczący Rady Europejskiej. Były premier może apelować i pouczać, a na koniec dnia i tak na mównicę sejmową wyjdzie Klaudia Jachira parodiująca „Rotę" albo Sławomir Nitras domagający się „opiłowania" katolików z przywilejów.

Problemy Tuska uwidoczniły się również podczas niedawnych wyborów regionalnych władz PO, gdy lider zaliczył dwie porażki. Pierwsza była szczególnie dotkliwa, bo dotyczyła „jego" Gdańska, w którym nawoływał do głosowania na Agnieszkę Pomaską (a wygrał obecny marszałek województwa Mieczysław Struk), druga natomiast miała miejsce na Dolnym Śląsku, gdzie dysponujący poparciem Tuska Roman Szełemej musiał uznać wyższość Michała Jarosa.

Kolejnego, tym razem wyjątkowo bolesnego, uszczerbku autorytet Tuska doznał podczas próby jednoczenia opozycji pod swoim berłem. – Do wyborów pójdziemy zjednoczeni, kto tego nie będzie akceptował, ten znajdzie się na marginesie polityki. To jeden z testów na patriotyzm – mówił podczas konferencji prasowej. Szantażowi nie uległa jednak żadna partia. Szymon Hołownia przekonuje, że zjednoczenie opozycji to najprostsza droga do trzeciej kadencji PiS, a Władysław Kosiniak-Kamysz bez ogródek mówi, że plan Tuska to „głupota". Również po stronie lewicy nie widać entuzjazmu do wspólnej listy. Wyraz temu dał Włodzimierz Czarzasty, który w Radiu Plus stwierdził, że Tusk atakuje jego partię. Jeżeli chodzi o jednoczenie opozycji, to już Grzegorz Schetyna może się pochwalić większymi sukcesami od Tuska.

POWTÓRKA NIEUDANA

Idąc w coraz bardziej kuriozalne oskarżenia dotyczące faszyzmu, Tusk próbował powtórzyć manewr, który w 2007 r. wyniósł go do władzy. To wówczas po raz pierwszy Platforma Obywatelska zastosowała formułę opozycji totalnej. Podczas dwuletniej kadencji rządów PiS opozycja pod dyktando Tuska delegitymizowała władzę, organizując „błękitne marsze" oraz coraz bardziej kuriozalne happeningi, czego szczytowym punktem był pomysł powołania alternatywnego parlamentu na Politechnice Warszawskiej. Do końca nie wiadomo, co było tak przerażającego w pierwszym rządzie PiS, i być może właśnie dlatego głównym zarzutem, przewijającym się po dziś dzień, jest nic nieznaczące hasło o „dusznej atmosferze IV RP".

Powrót do strategii totalnej negacji PiS-owskiej władzy pozwolił Tuskowi zdystansować Hołownię (tak samo jak wcześniej Schetynie umożliwił zdominowanie Nowoczesnej), ale nadal nie przybliża go do wyborczego zwycięstwa. Dzieje się tak z prostego powodu – PiS w 2007 r. nie stracił władzy z powodu żadnej „dusznej atmosfery". Kaczyński przegrał wybory, ponieważ jego narracja o zwalczaniu układu III RP rozjechała się z oczekiwaniami społeczeństwa. Tusk tymczasem miał dla Polaków ofertę stabilizacji i modernizacji kraju. Dzisiaj już nie pamiętają o tym chyba nawet w samej PO, ale idąc do władzy, Platforma prezentowała się jako liberalna centroprawica, proponując redukcję biurokracji, obniżenie i uproszczenie podatków (słynne „3 x 15") czy odpartyjnienie polityki. Media liberalno-lewicowe prezentowały Kaczyńskich jako wrogów demokracji uganiających się za mitycznym układem, podczas gdy Tusk ze swoimi postulatami w naturalny sposób wyrastał na rozsądną alternatywę. Narracja o upadku demokracji była istotna, ale tylko jako propagandowe tło, na którym Tusk mógł błyszczeć. Dzisiaj błyszczeć nie może, gdyż sam stał się tłem – istotą jego politycznej egzystencji jest wyłącznie antypisowska krucjata.

Głośna sprawa odebrania prawa jazdy, którą żyły główne media, przyćmiła wywiad, którego polityk udzielił dzień wcześniej Wirtualnej Polsce. Dziennikarz Patrycjusz Wyżga zadał byłemu premierowi kilka podstawowych pytań dotyczących tego, jak ten sobie wyobraża Polskę po przejęciu władzy, i to wystarczyło, by unaocznić totalny brak przygotowania Tuska. „Już chyba zrozumiałam, dlaczego D. Tusk nie udzielał wywiadów mediom poza »GW«, TVN24 i »Newsweekiem«" – celnie skomentowała wywiad Joanna Miziołek z „Wprost".

KONIEC LEGENDY?

Te wszystkie problemy przekładają się na powolną erozję legendy samego Tuska. Lider PO przez lata budował narrację, zgodnie z którą jest jedynym politykiem, który nigdy nie przegrał z Kaczyńskim, jedynym, którego Kaczyński się obawia, oraz – co najważniejsze – jedynym, który ma szansę Kaczyńskiemu odebrać władzę. W rzeczywistości jednak Tusk nie tylko nie ma pomysłu na Polskę „po" PiS-ie, ale nie wie też, jak wygrać najbliższe wybory. Nawet gdy w niektórych sondażach zmniejsza się dystans między dwoma partiami, to dzieje się tak wyłącznie z powodu problemów rządu, gdyż poparcie dla PO jak nie rosło, tak nie rośnie.

Co gorsze dla niego, jego autorytet nie ma już choćby części tej siły co przed laty. Kolejne pożary, które Tusk musi gasić we własnej partii, jedynie to potwierdzają. Nawet jeżeli PiS po wyborach nie będzie w stanie sformować sejmowej większości, to lidera Platformy czekają niekończące się negocjacje z koalicjantami, frakcyjne walki oraz ideologiczny dryf całej partii na lewo, którego już nie ma siły powstrzymać. O niekwestionowanej hegemonii, którą dysponował w latach 2007–2014, a której legenda żyła aż do 2021 r., Tusk może już tylko pomarzyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

Zagłada Warszawy

Marek Klecel

W 1944 r. i na początku stycznia 1945 r. warszawiacy z niepokojem, ale i z nową nadzieją oczekiwali wejścia sowieckiego zwycięzcy. Miało ono uwolnić przecież od niemieckiego okupanta. Polacy nie chcieli wierzyć, że nadchodzi nowy, bardziej podstępny i przewrotny wróg

Podobnie jak druga wojna światowa zaczynała się od wspólnej napaści Hitlera i Stalina na Polskę, wtedy sojuszników po pakcie Ribbentrop-Mołotow, tak też kończyła się niepisaną, ale ściśle przestrzeganą umową o zawieszeniu broni między tymi zbrodniarzami na czas ostatecznego zniszczenia i podbicia Polski. Mimo że byli teraz śmiertelnymi wrogami, połączyła ich pasja destrukcji Polski. Przez pół roku od wybuchu powstania warszawskiego do stycznia 1945 r. Stalin powstrzymał się od działań wojennych, choć mógł od razu przekroczyć Wisłę. Dał czas Hitlerowi, którego dotąd zaciekle zwalczał, by ten mógł całkowicie zburzyć i wypalić Warszawę. Stalin ze swą zwycięską armią chciał wkroczyć na ruiny i zgliszcza miasta.

Niemcy od upadku powstania do końca roku dokonywali szaleńczego w istocie, bo zupełnie nieopłacalnego również dla nich aktu zemsty na nieustępliwej stolicy. Pracowicie i beznadziejnie kończyli to, co zaczęli nalotami bombowymi we wrześniu 1939 r., by powalić oporne miasto, pozostawić właśnie tylko kamień na kamieniu, by już nigdy nie powstało z gruzów. W styczniu 1945 r. Warszawa przedstawiała w istocie sobą tylko morze ruin, symboliczny pozostanie ten widok zrównanej z ziemią Woli z samotną wieżą ocalałego kościoła św. Augustyna.

W NIEMIECKIM PIEKLE

W wojennych planach niemieckich Warszawa miała być peryferyjnym miastem bez większego znaczenia, a po powstaniu miała przestać istnieć. Jej zburzenie było osobistą zemstą Hitlera na mieście, które powstało przeciw niemu. Było zemstą szaleńczą, irracjonalną nawet z punktu widzenia interesów niemieckich, także strategii walki z Sowietami i obrony w mie-

eprasa.pl c9911e100d

Armia Czerwona wśród ruin Warszawy, 17 stycznia 1945 r.
FOT. MUZEUM II WOJNY ŚWIATOWEJ

ście, z którego chciano stworzyć Festung Warschau, twierdzę obronną, opierającą się nadchodzącej Armii Czerwonej. Zrównane z ziemią miasto nie dawało żadnych możliwości obrony. Dowództwo niemieckie uznało jednak wolę Führera. Otto Geibel, dowódca SS i policji w dystrykcie warszawskim, relacjonował w powojennych zeznaniach rozkazy Hitlera i Himmlera: „To miasto ma całkowicie zniknąć z powierzchni ziemi i służyć jako punkt przeładunkowy dla transportu Wehrmachtu. Nie powinien po nim pozostać kamień na kamieniu. Wszystkie budynki należy zburzyć do fundamentów. Pomieszczenia dla wojska zostaną urządzone w piwnicach – hotele już nie istnieją. Pozostaną tylko urządzenia techniczne i budynki kolei żelaznych". Innym dowódcom Himmler przekazywał szczegółowe rozkazy dotyczące ewakuacji miasta oraz przejęcia jego majątku, a więc wojennego rabunku.

Jesienią 1945 r., po kapitulacji powstania i ewakuacji większości mieszkańców, Niemcy rozpoczęli systematyczne burzenie, wysadzanie budynków i wypalanie ich resztek, tak żeby nie mogły zostać odbudowane. W ogólnej sytuacji wojennej było to jednak nawet technicznie trudne do wykonania. Generał Eberhardt Kienzel informował Himmlera: „Jako dowódca 46. Korpusu Pancernego melduję: brak materiałów wybuchowych dla odsłonięcia pola ostrzału w celu obrony, zgodnie z rozkazem Führera, przyspieszonych prac przy rozbudowie Festung Warschau. SS-Brigadeführer Geibel chwilowo wysadza wprawdzie politycznie szczególnie ważne, ale taktycznie zupełnie nieistotne obiekty". Do końca roku dokonano jednak niszczycielskiego dzieła, burząc i wypalając pozostałe po powstaniu największe, zabytkowe obiekty.

Dzięki tzw. akcji pruszkowskiej, czyli akcji ratowania za zgodą Niemców niektórych zabytków i księgozbiorów, w której brały udział grupy profesorów Zachwatowicza i Lorenza oraz Wacława Borowego, dyrektora Biblioteki Uniwersyteckiej, i Bohdana Korzeniewskiego, wiadomo, jak wyglądało zniszczenie Pałacu Saskiego i pałacu Brühla. Archiwista Witold Suchodolski był świadkiem wysadzenia tych pałaców: „Innego dnia byliśmy świadkami (zatrzymano naszą ciężarówkę na rogu ulic Wierzbowej i Niecałej) wysadzenia w powietrze pałacu Brühlowskiego, który stał jeszcze niespalony. Zastosowano tu tę samą technikę burzenia, co przy burzeniu Zamku w Warszawie. [...] Nastąpiła głucha detonacja, w oczach naszych cały gmach jakby podskoczył nieco w górę i znikł w obłokach pyłu wapiennego. Gdy tuman pyłu osiadł, oczom naszym ukazała się olbrzymia piramida pogruchotanych cegieł i całych brył muru na miejscu dawnego MSZ przy ul. Wierzbowej. Całe to makabryczne widowisko przed naszymi oczami rozegrało się w odległości kilkudziesięciu metrów od naszej ciężarówki".

Profesor Wacław Borowy oglądał miejsce po pałacu kilka godzin później. W swym dzienniku pod datą 18 grudnia zapisał: „Ok. 3-ej przejeżdżamy przez plac Saski i tu się ukazuje nam straszliwy widok: gruzy pałacu Brühlowskiego, który stał jeszcze, kiedyśmy jechali tamtędy przed 9-tą rano. Cały główny blok pałacu osiadł jakby na ziemi, ostało się tylko skrzydło od ul. Wierzbowej i przybudówki »bekowskiej« od Ogrodu Saskiego. Taki sam los pewnie czeka wszystkie inne gmachy, co dotąd jeszcze ocalały".

Już wcześniej widział Borowy metodyczne niszczenie najważniejszych budynków stolicy: „30 XI. Przejeżdżaliśmy dziś przez Towarową i Al. Jerozolimskie. Rozumiemy teraz, dlaczego nas wczoraj do Warszawy nie wpuszczono. Wysadzona została w powietrze poczta na Żelaznej i Dworzec Główny. Z Dworca zostało kłębowisko żelaza i gruzu, nad którym wznosi się coś w rodzaju olbrzymiej gilotyny (to ściana frontowa) i olbrzymiej szubienicy (to resztka ściany tylnej)". Podobnie zburzono w ostatnich dniach 1944 r. ogromny Pałac Saski, z którego został tylko fragment otaczający dziś Grób Nieznanego Żołnierza. Wcześniej Niemcy wypalili doszczętnie bezcenne zbiory Biblioteki Krasińskich, Biblioteki Załuskich, Archiwum Miejskiego, wysadzili w powietrze pomniki, by unicestwić też znaki i symbole polskości.

W PIEKLE SOWIECKIM

„Czekamy ciebie, czerwona zarazo" – pisał w swym rozdzierającym wierszu młody powstaniec warszawski Józef Szczepański (zginął we wrześniu 1944 r.). Gdyby „czerwona zaraza" nadeszła zaraz po upadku powstania, Niemcy nie zniszczyliby połowy Warszawy. Ale Sowieci woleli zaczekać na rozwój sytuacji, wiedzieli przecież, co się działo w stolicy jesienią i zimą 1944 r. (nadal obowiązywał niepisany pakt o nieagresji – dopóty, dopóki Warszawa nie została doszczętnie zniszczona). Ruszyli zza Wisły dopiero w połowie stycznia 1945 r. Okoliczna ludność z niepokojem, ale i z nową nadzieją oczekiwała wejścia sowieckiego zwycięzcy. Miało ono uwolnić przecież od niemieckiego okupanta, nie chcieli wierzyć, że nadchodzi nowy, bardziej podstępny i przewrotny wróg. Zwykle mówi się w tym wypadku o „wyzwoleniu", które Armia Czerwona przyniosła Polsce, zajmując jej tereny i usuwając okupanta niemieckiego. Jest to określenie raczej z zakresu przewrotnej propagandy sowieckiej, podkreślającej zawsze komunistyczną skłonność do „wyzwalania" narodów, obowiązujące przez cały okres PRL, a i teraz jeszcze powtarzane przez polityków tzw. lewicy.

Jakie to było wyzwolenie? Ludność okolic Warszawy miała się o tym przekonać już w połowie stycznia 1945 r. Zupełnie nieznane pozostają tragiczne wydarzenia w Grodzisku Mazowieckim i w Pyrach pod Warszawą, zachowane tylko w pamięci rodzinnej i dopiero od niedawna przywoływane w lokalnych kronikach. Otóż

eprasa.pl c9911e100d

16 stycznia nastąpił tam regularny nalot samolotów sowieckich na mieszkańców Grodziska i na kolumnę ludności na szosie z Warszawy do Piaseczna. Nie mogła to być żadna pomyłka, piloci atakujący z niskiej wysokości doskonale wiedzieli, że strzelają do ludności cywilnej, a nie do żołnierzy niemieckich. Nie mogli też samowolnie dokonać takiego nalotu, tak jak samowolnie mogli gwałcić czy rabować.

W Grodzisku Mazowieckim znalazło się po powstaniu ponad 100 tys. uchodźców z Warszawy i uciekinierów z transportów do obozów. „Zgodnie z długoletnią i utrzymywaną do dziś tradycją – podaje współczesna grodziska gazeta – środa jest w Grodzisku dniem targowym. Tak też było dnia 16 stycznia 1945 r., w przeddzień wkroczenia Armii Czerwonej do Warszawy. W mieście nie było wojsk niemieckich; jedynie przed południem przejechały 2 czy 3 czołgi, kierując się na zachód. Na targu (obecnie na tym terenie jest deptak) i przyległych uliczkach przebywało około dwóch, trzech tysięcy ludzi: kupujących, sprzedających i zwykłych gapiów. Po południu, ok. godz. 15.00, nad miasto nadleciały sowieckie bombowce. Nieniepokojone przez niemiecką obronę przeciwlotniczą (bo jej nie było) spokojnie wzięły na cel bezbronny tłum. Posypały się bomby i pociski z broni pokładowej. W wyniku nalotu na miejscu zginęło ok. 300 osób, a kolejnych stu–dwustu zmarło w prowizorycznie urządzanych »szpitalach« w wyniku odniesionych ran".

Świadkiem tych wydarzeń był m.in. Bogdan Lewandowski, który w swej relacji stwierdzał, że takie naloty były już wcześniej: „W przeddzień wigilii Bożego Narodzenia, późnym wieczorem, Rosjanie zbombardowali Grodzisk. Kilkanaście minut samoloty rzucały bomby w przypadkowych miejscach. Zburzono kilka domów, wzniecono pożary. W niezwykle przepełnionym miasteczku zabito i zraniono mnóstwo ludzi. Na początku stycznia 1945 r. samoloty rosyjskie ponownie zaatakowały Grodzisk, tym razem w dzień. Rosjanie strzelali i bombardowali, wypełnione tysiącami warszawiaków, centrum miasta. Ludzie padali pokotem. Na rynku rozszarpane ciała ludzkie pomieszane były ze szczątkami straganów. Przez wiele godzin umierali na ulicach ranni, pozbawieni pomocy. Następnego dnia ponad pięćdziesiąt nierozpoznanych zwłok ułożono na chodniku obok cmentarza, a tłum przechodził, aby znaleźć swoich bliskich lub znajomych".

Potwierdza te wydarzenia Anna Dębska, rzeźbiarka, uczennica Ksawerego Dunikowskiego, w swych wspomnieniach pt. „Samo życie": „Dom moich rodziców w Grodzisku Mazowieckim pękał już w szwach od miesięcy. Prawie każdy dom w całym miasteczku przepełniony był uciekinierami. [...] Gdy na rynku kłębił się tłum, nagle zjawiły się jak błyskawica samoloty rosyjskie. Rycząc silnikami, pikowały tuż nad ziemią, widać było twarze lotników, tak nisko przelatywały nad ludźmi. Tłum nawet ich się nie przestraszył.

Potworne krzyki masakrowanych bezbronnych ludzi wzniosły się pod niebiosa, musiały dochodzić nawet do ruskich pilotów

– To Rosjanie, oni przecież nie będą do nas strzelać, oni na Niemców polują – słychać było okrzyki. [...] Wtedy to nagle, w ten niczego niespodziewający się tłum bezbronnych cywilów, składający się głównie z kobiet, dzieci, radzieccy »dzielni« piloci zaczęli rzucać bomby rozpryskowe. Bomby te, rozrywając się tuż nad ziemią, siekły nieszczęsnych niezliczoną ilością odłamków, rozszarpywały ludzi na strzępy, pruły im brzuchy, odrywały nogi, ręce.

Brudny śnieg na rynku miasteczka spurpurowiał w mgnieniu oka od krwi mordowanych.

Potworne krzyki masakrowanych bezbronnych ludzi wzniosły się pod niebiosa, musiały dochodzić nawet do tych ruskich pilotów, ciągle pikujących nisko, jakby nacieszyć się chcieli swoim dziełem. Rosyjskie bomby nie zabiły ani jednego Niemca, za to zabiły i zmasakrowały kilkuset Polaków. Rosjanie musieli doskonale wiedzieć, że tłum na rynku składał się głównie z warszawskich uciekinierów".

Podobny nalot samolotów sowieckich nastąpił w tym samym czasie nad szosą z Warszawy do Piaseczna, jak można sądzić z przekazu rodzinnego, podanego przez Teresę Bochwic („17 stycznia 1945"; „Nasze blogi"): „W styczniu 1945 r. Sowieci rozpoczęli ofensywę na froncie nad Wisłą, na którą Warszawa tak czekała w lipcu i sierpniu 1944 r. Był mróz. Wojska rosyjskie zbliżały się, Niemcy uciekali. Rankiem 17 stycznia ludność Pyr wyległa na szosę piaseczyńską, witać polskie wojsko z czołówki pancernej I Armii Berlinga. Tłumy witały powracających z Rosji Polaków. Przecież wszędzie, i tam, mógł być ktoś z bliskich, przecież walczyli z Niemcami. Nagle nadleciały od strony Piaseczna trzy samoloty sowieckie. Nikt się nie spodziewał, co się stanie. A one ostrzelały i zbombardowały ludność na szosie. Dwie kuzynki, szesnastoletnia Dzidka, i Krystyna, z koleżanką dziewczynek, Misią, rzuciły się we trzy do rowu, twarzą w dół. Dzidka objęła obie rękami przez plecy. Zginęła, posiekana wzdłuż ramion serią, tamte ocalały pod jej ramionami. Zginęło wtedy około 40 osób, rannych było około 100".

Dwa dni później, 19 stycznia, na gruzach Warszawy, w ledwie uprzątniętych Alejach Jerozolimskich, odbyła się defilada zwycięzców. Na trybunie honorowej, ustawionej przed hotelem Polonia, odbierała ją czołówka przyszłego agenturalnego państwa sowieckiego w Polsce: Bierut, Gomułka, Osóbka-Morawski, Rola-Żymierski, Spychalski oraz sowiecki marszałek Żukow. Zaprezentowano tam nawet dwie kolejne ekipy, które będą rządzić państwem zwanym PRL aż do 1970 r.

Wyzwolenie? Tak opisał później swe wrażenia z tej defilady Jeremi Przybora: „Upiorne »wyzwolenie« trupa miasta i upiorna defilada na jego cmentarzysku, [...] ta defilada zwycięskich oddziałów maszerujących między dwoma milczącymi szpalerami widm. Wyległy one, niczym niema publiczność, na trybuny zwalisk i ruin, wzdłuż trasy przemarszu żołnierzy »warszawskiej operacji«. Widma chłopców i dziewcząt z AK, wmieszane w tłumy mieszkańców, którzy byli wraz z bojownikami Warszawy jej obliczem i duszą, uśmiechem, rozpaczą i strachem, [...] parada wyzwolicieli, którzy już nikogo nie wyzwolili".

Jak przebiegało dalej to wyzwolenie, pokazują ostatecznie wydarzenia następnych miesięcy, jeszcze w czasie trwania wojny. W marcu 1945 r. władze NKWD zwabiły podstępnie na rozmowy polityczne 16 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego i wywiozły ich do Moskwy. Było to zdradzieckie porwanie swych dotychczasowych sojuszników w walce ze wspólnym wrogiem. Urządzono im haniebny proces pokazowy, bezczeszcząc ich jako faszystowskich przywódców Polski, oskarżając jak przestępców niemieckich. Wielu z nich nigdy nie wróciło do kraju. Po zakończeniu wojny zaczął się okres terroru, eliminacji wszelkich przeciwników politycznych, rozbicia oporu społecznego, fałszywych wyborów, wszystko po to, by stworzyć w Polsce nowe komunistyczne państwo sowieckie, nadzorowane przez ludzi kierowanych z Moskwy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

Generał Wojciech Jaruzelski w Sejmie, 15 stycznia 1982 r. FOT. DAMAZY KWIATKOWSKI/PAP

Sebastian Ligarski

Ustawodawcza farsa

25 i 26 stycznia 1982 r. to jedno z najczarniejszych posiedzeń w dziejach Sejmu PRL. Najwyższy organ władzy ustawodawczej, który miał stać na straży prawa, usankcjonował jego złamanie przez juntę Wojciecha Jaruzelskiego

eprasa.pl c9911e100d

Obrady sejmowe rozpoczęły się 25 stycznia o godz. 14.10. Przewodniczyli im marszałek Stanisław Gucwa (ZSL) oraz wicemarszałkowie Piotr Stefański (ZSL) i Andrzej Werblan (PZPR). Program posiedzenia zawierał m.in. prace nad projektem ustawy o szczególnej regulacji prawnej w okresie stanu wojennego, dotyczącej zatwierdzenia dekretów z 12 grudnia 1981 r. oraz uchwalenia Karty nauczyciela. Było to kolejne posiedzenie Sejmu VIII kadencji w czasie III sesji sejmowej.

Zanim do niego doszło, obradował Konwent Seniorów. Janusz Zabłocki napisał: „Marszałek Gucwa proponuje, by posiedzenie Sejmu odbyło się 20 stycznia i trwało jeden dzień albo dwa dni. Zawierać będzie trzy punkty: exposé premiera i przewodniczącego WRON-u wraz z debatą i powzięciem uchwały; zatwierdzenie dekretów Rady Państwa z 12 grudnia w drodze krótkiej ustawy, wreszcie – sprawozdanie Komisji Oświaty i Wychowania oraz Komisji Prac Ustawodawczych o rządowym projekcie Karty nauczyciela. Zostaliśmy poinformowani, że do Prezydium Sejmu wpłynęło pismo grupy posłów z Komisji Nauki i Postępu Technicznego z postulatem niezwoływania Sejmu do czasu zniesienia stanu wojennego. Stan taki – zdaniem sygnatariuszy – nie stwarza bowiem właściwych warunków dla funkcjonowania organów przedstawicielskich; ogranicza prawa obywatelskie, uniemożliwia konsultację społeczną oraz pełną realizację praw Sejmu. Podpisali to pismo m.in. posłowie: Jan Janowski, Dorota Simonides i Hanna Suchocka z SD oraz Mieczysław Serwiński, bezpartyjny. Postulat taki, przedstawiony Konwentowi Seniorów, nie miał oczywiście żadnych szans przyjęcia. »Stan wojenny nie będzie krótkotrwały« – stwierdził w swoim komentarzu do tego pisma wicemarszałek Andrzej Werblan".

Jak pisał Zabłocki, w Sejmie wyczuwało się lęk i strach. Według niego posłowie mieli zagłosować za dekretami stanu wojennego, bo – jak mówił Kazimierz Barcikowski – „wojskowi musieli wkroczyć, ponieważ zawiedli politycy".

JARUZELSKI: „POLSKA NIE ZGINĘŁA!"

Obrady zaczęły się później, bo 25 stycznia 1982 r. Jako pierwszy przed Wysoką Izbą głos zabrał Wojciech Jaruzelski. Zaczął swoje przemówienie pompatycznie, aczkolwiek kłamliwie: „Wysoki Sejmie! Obywatele Posłowie! Polska nie zginęła. Polska zginąć nie może! Tak brzmi prawda najpierwsza. Ona wyznaczyła motywy i cele powstania Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego". Motywy powstania WRON były od początku jasne, a były nimi chęć utrzymania władzy przez Jaruzelskiego i partię oraz zniszczenie Solidarności. Ponieważ partia, borykająca się z ogromną liczbą kłopotów, utraciła de facto możliwość kierowania państwem, władzę w swoje ręce musiało wziąć wojsko. Jaruzelski będący w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. dyktatorem – był premierem, I sekretarzem KC PZPR, ministrem obrony narodowej, przewodniczącym Komitetu Obrony Kraju, przewodniczącym WRON – potrzebował usankcjonowania bezprawia do uniknięcia ewentualnych problemów nie tylko prawnych, lecz także na arenie międzynarodowej.

Przewodniczący WRON oświadczał, że osiągnięto spokój, ukrócono anarchię, zmniejszyła się przestępczość (jak się można domyślać, zapewne dzięki internowaniu kryminalistów spod znaku Solidarności i działań wojska), polepszyło się zaopatrzenie, a nawet udało się po raz pierwszy od wielu lat usunąć śnieg z chodników!

Pierwszy sekretarz KC PZPR „zapomniał" dodać kilku zdań o śmierci górników z kopalni Wujek i innych ofiarach, pacyfikacjach zakładów pracy, losie górników z kopalni Ziemowit i Piast, akcjach weryfikacyjnych etc. Cel uświęcał środki.

Tych, którzy chcieliby jednak zawrócić z tej jedynie słusznej obranej drogi przez Jaruzelskiego i towarzyszy, ostrzegał, że „na złamanie władzy nie ma co liczyć". Premier atakował państwa zachodnie za ich podżeganie do buntu w Polsce, a szczególnie USA za sankcje żywnościowe wprowadzone przez administrację Ronalda Reagana. Jaruzelski mówił: „Nie istnieją granice obłudy. Rząd, który od lat torpeduje zastosowanie sankcji wobec wielkiego obozu koncentracyjnego, jakim jest Republika Południowej Afryki, nie doznaje żadnych wahań, stosując sankcje wobec Polski". I kontynuował: „Szef rządu polskiego nie domagał się, aby wypuścić z amerykańskich więzień zakuwanych w kajdany przywódców związkowych kontrolerów ruchu lotniczego. Rząd Polski nie składał oświadczeń oceniających poszanowanie praw ludzkich w Irlandii Północnej. Sejm polski nie debatował, czy zakaz wykonywania zawodu dla osób o niewygodnych poglądach, obowiązujący w RFN, jest zgodny z Deklaracją Praw Człowieka. Przestrzegamy zasadę nieingerencji w sprawy wewnętrzne innych państw. Mamy prawo oczekiwać wzajemności. Dyktowanie przez niektóre kraje, kto z kim ma w Polsce rokować, jest po prostu niepoważne, anachroniczne. Takim tonem kolonialne metropolie przemawiały w ubiegłym stuleciu".

Jaruzelski, będąc w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. dyktatorem, potrzebował usankcjonowania bezprawia dla uniknięcia nie tylko problemów prawnych, lecz także na arenie międzynarodowej

Po godzinie marszałek Gucwa przerwał posiedzenie i zarządził 15-minutową przerwę. Po niej swoje wywody kontynuował Jaruzelski, zwracając się do kolejnych grup społecznych, młodzieży, rolników, naukowców, nauczycieli, dziennikarzy, ludzi Kościoła oraz twórców. Do tych ostatnich miał największe zastrzeżenia: „Na przedstawicieli środowisk twórczych spada niemała część moralnej i intelektualnej odpowiedzialności za bieg wydarzeń w ubiegłym roku. Wiele autorytetów zaangażowało się w złą sprawę. Głos wielu innych nie był słyszalny. Nieliczne były głosy rozsądku. Pragniemy uznać ten rozdział za zamknięty".

ZAWIÓDŁ „NIEDOSTATEK SOCJALIZMU"

Premier zachęcał do powrotu do kraju wszystkich, którzy nie prowadzili wcześniej działalności antysocjalistycznej, antypaństwowej, i jednoznacznie wskazywał, że nie będzie wojny zarówno polsko-polskiej w kraju, jak i kraju z zagranicą. Przemówienie zakończył wezwaniem do wytężonej pracy, poparcia reform społeczno-gospodarczych mających za dwa–trzy lata dać równowagę i wybrać między groźbą i szansą. Według

eprasa.pl c9911e100d

Jaruzelskiego to „nie socjalizm zawiódł w Polsce, lecz niedostatek socjalizmu".

Po długotrwałych oklaskach głos zabierali kolejni mówcy: Kazimierz Barcikowski w imieniu klubu PZPR, Jerzy Szymanek jako przedstawiciel Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, Jan Fajęcki w imieniu Stronnictwa Demokratycznego. Wszyscy jednoznacznie poparli przedstawione Sejmowi ustawy dotyczące uregulowań stanu wojennego.

Następnie głos zabrał pisarz, publicysta Edmund Męclewski. Odnosząc się do nieprawdziwych danych zamieszczanych w periodykach zachodnich dotyczących m.in. liczby internowanych i ich warunków przetrzymywania, przypomniał zasadę francuskiego dyplomaty Charles'a Maurice'a Talleyranda: „Szkalujcie, szkalujcie, ile wlezie! Coś z tego przecież pozostanie!".

Po nim głos zabrał przedstawiciel koła Polskiego Związku Katolicko-Społecznego, Janusz Zabłocki. Już na wstępie postanowił przestrzec autorów stanu wojennego przed triumfalizmem, mówiąc: „Należy się przede wszystkim ustrzec tych tonów triumfu, które niekiedy drażnią w propagandzie. Wprowadzenie stanu wojennego nie daje żadnych powodów do uczucia triumfu ani do radości. Przeciwnie, fakt, że do tego doszło, przyjąć trzeba jako ciężką porażkę linii stawiającej na rozwiązania polskiego kryzysu metodami politycznymi, drogą dialogu i porozumienia stron". Później Zabłocki piętnował „rozrachunki za czas odnowy". Chodziło o wymuszanie występowania z Solidarności, podpisywanie deklaracji lojalności oraz weryfikację kadr w wielu instytucjach. Zabłockiemu przerywano okrzykami z sali sejmowej: „Fakty! Przykłady! Nie łgać! Fakty!". Gdy zaś mówił o pogłoskach wskazujących na weryfikację studentów i nauczycieli akademickich, wówczas krzyczano: „Wolna Europa! Najwyższy czas! Nareszcie!". Poruszenie na sali wzbudziło oświadczenie Zabłockiego w imieniu koła poselskiego, że nie będzie ono głosowało za zatwierdzeniem przez Sejm punktu drugiego obrad, czyli dekretów o wprowadzeniu stanu wojennego, gdyż członkowie koła mieli wątpliwości i zastrzeżenia co do strony prawnej tychże i procesu ich wprowadzania.

Po wystąpieniu Zenona Komendera reprezentującego koło poselskie Znak przyszedł czas na Karola Małcużyńskiego. Przemówienie tego popularnego dziennikarza było odmienne w stylu i formie od poprzednich. Na początku zaatakował on bezpardonowo media. Parafrazując słowa Jaruzelskiego, że po propagandzie sukcesu (Edwarda Gierka) przyszła propaganda klęski (okresu tzw. karnawału Solidarności), stwierdził, że obecnie przyszła klęska propagandy. To była jedna dopiero uwertura do kolejnego „ataku" na autorów stanu wojennego. Małcużyński stwierdzał: „Powstają także inne, nowe niebezpieczeństwa stanu wojennego i warto je w tej Wysokiej Izbie odnotować. Pierwsze to niebezpieczeństwo »polubienia stanu wojennego«. Nie przez społeczeństwo! Co do tego nie ma obaw. Ale przez sprawujących władzę. Nie przez Pana, Panie Premierze, i nie przez Pana najbliższych współpracowników – chcę w to wierzyć. Ale Pan to wie lepiej niż kto inny... (Poseł Stanisław Składowski: Pan nie ma moralnego prawa pouczać Premiera). (Poruszenie w sali). Ja nie pouczam Premiera. (Wicemarszałek Piotr Stefański: Obywatelu Pośle!). Nie słuchaliście uważnie. (Premier Wojciech Jaruzelski: Proszę Obywatela Marszałka o przywrócenie spokoju). (Wicemarszałek Piotr Stefański: Proszę kontynuować). Pan wie to lepiej niż kto inny, że groźba taka – polubienia stanu wojennego – istnieje w wielu niższych ogniwach władzy. Może to nie leży w intencjach władzy, ale żeby się nie powtórzyło to, że intencje sobie, a wykonanie sobie. Są u nas ludzie, organy władzy i instancje, które w warunkach stanu wojennego czują się jak ryba w wodzie. Bo tak łatwiej można rządzić. Ale tylko z pozoru. Niebezpieczeństwo przeciągania się niekontrolowanej społecznie władzy, jaką z natury rzeczy stwarza stan wojenny, jest ogromne. Sprzyjają temu zresztą niektóre sformułowania dekretów, pełne luk prawnych, dowolności interpretacji oraz oczywiste nawet nie dla prawników sięgnięcie po nomenklaturę i paragrafy stanu wojny, a nie stanu wojennego. Ale niech o tym mówią specjaliści prawnicy".

Popisy oratoryjne były natomiast ozdobą wystąpienia Janusza Przymanowskiego, słynnego autora książki „Czterej pancerni i pies", na której motywach powstał kultowy serial PRL. Przymanowski mówił: „Stan wojenny, jak stwierdziło paru posłów przemawiających przede mną, jest stanem ciężkim i trudnym. Tyle tylko, że jakoś szybko ci koledzy posłowie zapomnieli o sytuacji, która była przed stanem wojennym, o tym, jak wielkie było napięcie. Widocznie ci posłowie nie pamiętają, że były przygotowane listy proskrypcyjne, ustalające, kogo i w jakiej kolejności na latarnie. Niektóre zarządy regionów wymieniały na listach proskrypcyjnych również i dzieci. Co prawda, powyżej lat sześciu, ale Dżyngis-chan był bardziej łaskawy, ponieważ mordując podbite narody, wyrzynał je powyżej osi wozu, a wozy miał na kołach wysokich. Mieściły się poniżej osi dzieci 11- czy 12-letnie".

KONIECZNOŚĆ

Po zakończeniu przemówień (mówili jeszcze Witold Zakrzewski i Ryszard Wojna) Andrzej Werblan, prowadzący posiedzenie Sejmu, wezwał do głosowania. Najpierw przegłosowano uchwałę, w której Sejm uznał wprowadzenie stanu wojennego za konieczność. Przeciw był jeden poseł – Romuald Bukowski z Gdańska.

Następnie przystąpiono do głosowania ustaw stanu wojennego po wystąpieniu posła sprawozdawcy Zygmunta Surowca potwierdzającego legalność dekretów, podkreślających działanie w stanie wyższej konieczności, stwierdzających luki prawne w konstytucji odnośnie do stanu wojennego i wzywając do głosowania za przyjęciem ustaw. Efektem głosowania było uchwalenie ustaw o stanie wojennym przy jednym głosie sprzeciwu i pięciu wstrzymujących się, choć, jak twierdził Janusz Zabłocki, głosów wstrzymujących się było sześć, a Andrzej Werblan nie dostrzegł ich wszystkich. Sprzeciwił się bezpartyjny poseł z Gdańska, plastyk Romuald Bukowski, od głosu wstrzymali się: Wacław Auleytner, Rudolf Buchała, Zbigniew Zieliński, Janusz Zabłocki oraz dwaj bezpartyjni – poseł Karol Małcużyński i posłanka Anna Pławska, lekarka z Gdańska.

Sejm zakończył obrady o godz. 22.25. Z tego posiedzenia Sejmu jeszcze była prowadzona transmisja na żywo w TVP. Ostatnia – aż do 1989 r.

Wznowiono je następnego dnia o godz. 9.05. Głównym przedmiotem tej sesji była sprawa uchwalenia Karty nauczyciela, którą zresztą przyjęto po dyskusji. Obowiązuje do dziś.

Echa posiedzenia sejmowego można odnaleźć w wielu dziennikach czy wspomnieniach, a także w dokumentach wytworzonych przez SB. Bez wątpienia to jedno z najbardziej haniebnych posiedzeń Sejmu w historii Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem IPN w Szczecinie.

eprasa.pl c9911e100d

Amerykanie na rozmowy z Siergiejem Riabkowem wysłali Wendy Sherman

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Rosja usłyszała twarde „niet”

eprasa.pl c9911e100d

Jacek Przybylski

Mimo pistoletu przyłożonego do głowy Ukrainy Putin usłyszał w Brukseli i Genewie jednoznaczne deklaracje zachodnich liderów: nie ma opcji powrotu do świata z roku 1997. Rosja może więc wkrótce próbować wymusić ustępstwa, dając oddziałom rozkaz do ataku na Ukrainę

Ubiegły tydzień był najważniejszy dla relacji Rosji z krajami Zachodu od ostatniego ćwierć wieku. Początek roku 2022 zapisze się bowiem w historii stosunków międzynarodowych jako pierwszy od 1997 r., gdy Zachód został zmuszony przez Rosję – przy użyciu groźby interwencji militarnej oraz szantażu surowcowego – aby zasiąść do negocjacji w sprawie pokoju w Europie, nienaruszalności granic europejskich państw oraz rozmów o podziale stref wpływów na Starym Kontynencie.

Prezydent Rosji znów jest na ustach całego świata. Władimir Putin, który od kilku dekad nawet nie próbuje ukrywać najważniejszego celu swoich rządów i oficjalnie deklaruje, że jest nim przywrócenie na mapie świata potęgi Związku Sowieckiego i rosyjskich stref wpływów, powrócił na salony i pierwsze strony gazet. Niestety, władze na Kremlu konsekwentnie nie tylko mówią o powrocie do starych stref wpływów, lecz także konsekwentnie próbują ten plan realizować. W 2008 r. Rosja dokonała zbrojnej agresji na Gruzję, a w 2014 r. aneksji ukraińskiego Krymu i rozpoczęła trwającą do dziś wojnę domową na wschodzie Ukrainy. Na przełomie lat 2021 i 2022, aby móc dalej cofać historię do czasów dwubiegunowego porządku świata, Siergiej Ławrow ostrzegł, że Zachód „igrał z ogniem", nie słuchając Rosji w sprawie ekspansji NATO na kraje byłego Układu Warszawskiego, a rosyjski władca rzucił w okolice północnej granicy z Ukrainą ponad 100 tys. żołnierzy, jednocześnie przykręcając kurek z gazem i tworząc wrażenie, że zapasy błękitnego paliwa – od którego Europa wciąż w dużej mierze jest uzależniona – są wyjątkowo skromne.

W poprzednim tygodniu dyplomaci z Rosji, ze Stanów Zjednoczonych i z krajów członkowskich NATO zasiedli do rozmów, których światowe media nie widziały od ponad dwóch dekad.

KREML: „BEZPAŃSKA" POLSKA

Przed ubiegłotygodniowymi rozmowami Moskwa nawet nie próbowała udawać, że jest skłonna do dialogu. Przedstawiciele Kremla, zachęceni jasną deklaracją amerykańskiego prezydenta Joe Bidena, który podczas grudniowej rozmowy z Putinem oznajmił, że USA nie zamierzają odpowiadać zbrojnie na rosyjską inwazję na Ukrainę, wybrali dobrze Rosji znany język gróźb i postawili sprawę jasno: jeśli Zachód nie chce nowej wojny na Starym Kontynencie i pogłębienia kryzysu energetycznego, to musi zgodzić się na długą listę rosyjskich postulatów.

W ostatnich tygodniach Moskwa, kreśląc kolejne „czerwone linie", zażądała m.in. gwarancji nieposzerzania NATO na kolejne kraje graniczące z Rosją. To jednak nie wszystko. Moskwa zażyczyła też sobie powrotu do świata przed 1997 r., a więc wycofania NATO-wskich jednostek z Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Czech, ze Słowacji, z Węgier, Rumunii, ze Słowenii, z Bułgarii, Chorwacji, Czarnogóry, Albanii oraz z Macedonii Północnej. Rosja chciała też dyktować NATO, gdzie może – a gdzie nie może – umieszczać bazy rakietowe.

Pod koniec grudnia szef dyplomacji w Moskwie Siergiej Ławrow mówił w oficjalnym wywiadzie publikowanym na stronie rosyjskiego MSZ, że kraje, które 30 lat temu odzyskały niepodległość, nie są niepodległe ani niezależne, tylko „bezpańskie". Do grona „bezpańskich" państw stary rosyjski dyplomata zaliczył też Polskę i przekonywał, że gdyby NATO rzeczywiście było sojuszem obronnym, to nie rozszerzałoby się na wschód. Wiceminister spraw zagranicznych Siergiej Riabkow mówił zaś wprost, że jeśli zachodnie kraje nie pójdą na ustępstwa, to „ich bezpieczeństwo ulegnie pogorszeniu".

Na szczęście dla Polski Kreml nie docenił stanu sojuszu i mocno przelicytował. Strona zachodnia nie dała się wciągnąć w rosyjskie gierki, zamiast tego pokazała się jako spójny zjednoczony blok, który zarówno podczas rozmów USA-Rosja w Genewie, jak i negocjacji NATO-Rosja w Brukseli jednym głosem na kolejne rosyjskie żądania odpowiadał twardo „niet". Co więcej, choć Ukrainy do NATO na razie nikt nie zaprasza, to przedstawiciele sojuszu północnoatlantyckiego nie wykluczyli, że w przyszłości może ona stać się kolejnym członkiem tej organizacji. Deklaracja „otwartych drzwi" jest ważna, ponieważ członkostwem w NATO coraz bardziej zainteresowani są nie tylko Ukraińcy, lecz także Szwedzi czy Finowie, którzy są zainteresowani nie tylko współpracą z wojskami sojuszu – ta ma miejsce od dawna – lecz także formalnym członkostwem w NATO.

Przyjęcie tych dwóch ostatnich państw do sojuszu pokazałoby Putinowi, że nie ma prawa weta w kwestii rozszerzenia NATO, które obecnie liczy już 30 członków (najnowszym jest Macedonia Północna), a przy okazji dałoby NATO-wskim dowódcom nowe możliwości wynikające zarówno z potencjału militarnego Szwecji i Finlandii (nowoczesne myśliwce i doświadczeni w zagranicznych misjach żołnierze), jak i z ich położenia geograficznego oraz doświadczeń historycznych (Finowie do dziś są dumni ze swej obrony przed rosyjskimi najeźdźcami podczas wojny zimowej w latach 1939–1940).

„SREBRNY LIS"

Niezwykle trudne rokowania z Rosjanami ułatwiało to, że Amerykanie na rozmowy z Riabkowem wysłali Wendy Sherman, wiceszefową amerykańskiej dyplomacji i jedną z najpotężniejszych negocjatorek na świecie. 72-letnia Sherman, siwowłosa dama o bladej karnacji, prowadziła w swojej karierze zarówno rozbrojeniowe rozmowy z Koreą Północną, jak i z przedstawicielami Iranu. To właśnie Irańczycy, doceniając przebiegłość amerykańskiej wysłanniczki, nadali jej pseudonim Lis, co Amerykanie szybko wykorzystali wizerunkowo, zmieniając je na lepiej brzmiące pseudo: Srebrny Lis. Pani Sherman znana jest bowiem z tego, że jest szybka i wyjątkowo skuteczna.

Przedstawiciele Rosji nie tylko nie budzili więc u zachodnich negocjatorów oczekiwanego strachu, lecz także – przynajmniej oficjalnie – zostali na zachodnich salonach ostro przeczołgani, po czym wrócili do Moskwy z kompletnie pustymi rękoma.

Sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg poinformował, że przywódcy państw sojuszu północnoatlantyckiego wezwali Rosję do wycofania wojsk nie tylko z terytorium Ukrainy, lecz także z Gruzji i Mołdawii.

eprasa.pl c9911e100d

W pobliżu ukraińskiej granicy jest 120 tys. rosyjskich żołnierzy, ponad 1 tys. czołgów, 2 tys. dział i kilkaset myśliwców i śmigłowców. FOT. MINISTERSTWO OBRONY ROSJI

Zarówno w Brukseli, jak i w Genewie Rosjanie mieli usłyszeć, że Amerykanie i ich sojusznicy są gotowi do rozmów dotyczących ograniczenia liczby ćwiczeń wojskowych przeprowadzanych na wschodniej flance NATO, jeśli Rosjanie zrobią to samo i ograniczą manewry na obszarach graniczących z państwami należącymi do sojuszu.

Jaką odpowiedź przygotuje Kreml? Czy 69-letni Władimir Putin, o którym znów krążą plotki dotyczące zarówno złego stanu zdrowia, jak i rychłej „abdykacji", będzie chciał przypomnieć Zachodowi, że Rosjanie mogą chodzić głodni, ale świat musi się ich bać?

Jednostki gotowe do ataku od kilku miesięcy czekają na polityczny rozkaz zarówno od północy, m.in. w rejonie Jelni w obwodzie smoleńskim czy na poligonie Pogonowo (obwód woroneski), jak i od południa, czyli w bazach na okupowanym przez rosyjskie wojska na Półwyspie Krymskim. Wśród oddziałów, które zostały przemieszczone w pobliże granicy z innych części Rosji, jest np. elitarna 1. Gwardyjska Armia Pancerna czy też 4. Dywizja Pancerna, wyposażona w czołgi T-80U, samobieżną artylerię czy transportery opancerzone.

I chociaż Rosjanie konsekwentnie twierdzą, że nikogo napadać nie zamierzają, eksperci nie mają wątpliwości, że koncentracja wojsk na tak dużą skalę nie jest rzeczą normalną. Amerykański wywiad już pod koniec listopada udostępnił swym europejskim sojusznikom dane o prawdopodobnym wielokierunkowym ataku Rosji na Ukrainę. Zdaniem wojskowych analityków szturmu na Ukrainę miałoby dokonać 100 batalionowych grup taktycznych, a więc mniej więcej 175 tys. żołnierzy wspieranych przez artylerię oraz duże ilości sprzętu wojskowego. Według amerykańskich źródeł co najmniej 50 batalionów już teraz jest w pobliżu granicy, a kolejne 50 pozostaje w rezerwie. Szacuje się, że w promieniu ok. 200 km od ukraińskiej granicy jest już ponad 120 tys. rosyjskich żołnierzy, ponad 1 tys. czołgów, 2 tys. dział, 3 tys. bojowych wozów piechoty, a do tego kilkaset myśliwców i śmigłowców.

Nie wiadomo, czy prezydent Putin podjął już decyzję o ataku i czy w ogóle ją poważnie rozważa. Wiadomo, że jeśli miałoby do niego dojść, to ze względów pogodowych inwazja z użyciem ciężkiego sprzętu na wschodzie Ukrainy możliwa jest zimą – gdy ziemia jest zmrożona – albo latem, w okresie suszy. Niepokojące w tej kwestii są zwłaszcza rosyjskie deklaracje. – Nie zaatakujemy Ukrainy – podkreślają Rosjanie, którzy nawet w XXI w. wciąż próbują przekonywać świat, że Rosja nigdy nikogo nie zaatakowała.

BLEF CZY JEDNAK NIE?

Zarówno Stany Zjednoczone, jak i kraje europejskie ostrzegają więc Moskwę, że inwazja oznaczać będzie automatyczne wprowadzenie najsurowszych możliwych sankcji gospodarczych, które tym razem byłyby wycelowane nie tylko w maksymalne osłabienie mocarstwa regionalnego, jakim niewątpliwie wciąż jest Rosja, lecz także – zgodnie z propozycją amerykańskich senatorów – byłyby nacelowane bezpośrednio na rosyjskich przywódców, na czele z Władimirem Putinem i przyzwyczajonymi do wyjątkowo dostatniego życia członkami jego najbliższego otoczenia.

To może być wyjątkowo skuteczny argument. Wprawdzie władcy Rosji nieraz w historii pokazali, że dla „wyższego celu" są w stanie zagłodzić lub wymordować miliony własnych obywateli, ale groźba uderzenia w komfort życia przywódców i oligarchów została przez Kreml odebrana jako wyjątkowo okrutna. „Nałożenie przez USA sankcji osobiście na rosyjskiego prezydenta Władimira Putina byłoby równoznaczne z decyzją Waszyngtonu o całkowitym zerwaniu wszelkich relacji z Moskwą" – ogłosiły więc pospiesznie rosyjskie władze, zapowiadając, że nie zamierzają na razie podejmować żadnych kroków, bo „ciągle mają nadzieję, że przynajmniej w części zwycięży zdrowy rozsądek".

Na razie wygląda więc na to, że Zachód w odpowiednim momencie powiedział: „Sprawdzam". A co, jeśli Kreml wcale nie blefował i gdy zorientuje się, że za pomocą dyplomacji ugra niewiele albo nic, przejdzie szybko do realizacji znanych z ostatnich lat scenariuszy siłowych? Atak na Ukrainę ma oprócz sankcji pociągnąć za sobą niekorzystne dla Rosji konsekwencje strategiczne. „Jeśli Rosja zaatakuje Ukrainę, to USA wzmocnią wschodnią flankę NATO" – zapewnił Bix Aliu, chargé d'affaires w amerykańskiej ambasadzie w Warszawie, w rozmowie z „Dziennikiem Gazetą Prawną". Stany Zjednoczone planują również w takiej sytuacji dostarczyć Ukrainie pomoc wojskową o wartości 500 mln dol. Inwazja na Ukrainę prawdopodobnie przyspieszyłaby również procesy polityczne we wspomnianych wcześniej Finlandii oraz Szwecji i zachęciła nie tylko rządzących (którzy już są coraz bardziej do tego przekonani), lecz także mieszkańców tych krajów (na razie wciąż jeszcze w tej sprawie podzielonych) do ostatecznego porzucenia polityki neutralności i dołączenia do najpotężniejszego sojuszu militarnego współczesnego świata, co oznaczałoby dodatkowe 1,4 tys. km wspólnej granicy Rosji z NATO.

Jeśli Moskwa mimo wszystko zdecydowałaby się uderzyć na Ukrainę, to mogłoby to oznaczać dla Polski poważne konsekwencje polityczne oraz gospodarcze. I nie chodzi tylko o tłumy migrantów na granicach, utrudnioną wymianę handlową czy problemy z przyjazdem ukraińskich pracowników. Wojna w regionie wpłynęłaby niechybnie na obniżenie wartości złotego w stosunku do głównych światowych walut, co boleśnie odczuliby m.in. frankowicze (tak było, gdy Rosjanie zajmowali Krym). Sprawiłaby też zapewne, że wzrósłby koszt obsługi rządowego długu.

Czy naprawdę jest się czego bać czy może Putin kolejny raz ogłosi koniec manewrów i wycofa wojska do macierzystych baz, narzekając przy tym na rusofobię rozhisteryzowanego Zachodu? Niestety, przekonamy się już niebawem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

FOT. JEFF YEAGER/WWW.METALLICA.COM

METALLICA OBWĄCHUJE FANÓW

Nic tak nie przeszkadza muzykom jak lockdowny i anulowanie imprez. Dlatego Metallica postanowiła przed swoimi koncertami wyłapywać osoby zakażone koronawirusem. W tym celu grupa muzyczna wynajęła 12 psów wyszkolonych przez firmę Bio-Detection (jej prezesem jest były żołnierz, który zajmował się szkoleniem czworonogów). Psy wąchają ręce i stopy fanów, gdy wykryją zakażenie, siadają. Zdaniem muzyków ten sposób testowania widowni się sprawdza. Obecnie psy są ponownie szkolone – do wykrywania wariantu Omikron.

MAFIOSO ZŁAPANY NA MAPIE

Boss włoskiej mafii – Gioacchino Gammino – przez 20 lat ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości. Uciekł z włoskiego więzienia w 2002 r., gdzie odsiadywał kilka wyroków, m.in. za zabójstwo. Teraz został zatrzymany w Madrycie, gdzie zajmował się prowadzeniem sklepiku z owocami i warzywami (przynajmniej oficjalnie). Gangster wpadł, bo ktoś rozpoznał go na Google Maps. Kamery Google ujęły go, gdy stał przed sklepem, rozmawiając z klientem.

ŚWINIA ZA DOBRE OCENY

W szkole podstawowej Xiangyang w chińskiej prowincji Junnan nauczyciele w nietypowy sposób docenili osiągnięcia uczniów. Za dobre wyniki dzieci dostały papierowe kwiaty, ale i... żywe prosięta. Jak podały lokalne media, taka nagroda ma „zacieśnić więzi między wiejską edukacją a gospodarką". Ponieważ szkoła położona jest w ubogim regionie, nagroda miała też jednak wymiar bardziej praktyczny. Zdaniem nauczycieli rodziny dzieci nagrodzonych prosiętami będą z małych świnek miały korzyści w przyszłości (czyli po prostu je pohodują i zjedzą). ©℗ ***Łukasz Zboralski***

ZA MAŁA DO AUTOBUSU

Tracey Scholes od 34 lat pracowała w Manchesterze jako kierowca autobusu. Była zresztą jedną z pierwszych kobiet pracujących w tym fachu. Teraz firma Go North West wprowadziła do taboru nowe modele autobusów i okazało się, że mierząca 152 cm Scholes nie ma szans odchylić się na tyle, by zerknąć do lusterka wstecznego – wówczas nie dosięgała już do pedałów pojazdu. Pracodawca zaproponował jej przejazdy na innych trasach, w innych autobusach, ale w mniejszym wymiarze godzin. Kobieta się nie zgodziła. Kilkanaście tysięcy osób podpisało petycję, by jej z pracy nie zwalniać.

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Inflacja na życzenie

Inflacja w USA wynosi już 7 proc., czego Ameryka nie widziała od czterech dekad! Rezerwa Federalna nie tylko wyłączy więc w tym roku drukarki dolarów, lecz także niewykluczone, że zamieni je na niszczarki...

A co z Europą? Na Starym Kontynencie ogromny wpływ na ceny mają wzrosty cen ropy, gazu i prądu. Patrząc na historyczne wykresy, można powiedzieć, że nie ma powodu do niepokoju. Prawa rynku powinny sprawić, że tak jak ceny surowców szybko rosną, tak zaczną gwałtownie spadać. Kłopot w tym, że za szybkim wzrostem cen nośników energii w Europie stoi nie tylko dynamiczne odbicie gospodarcze, lecz także dwóch potężnych graczy, którym zależy na tym, aby ceny gazu, ropy etc. wyłącznie rosły.

Jednym z nich jest Rosja. Szef Międzynarodowej Agencji Energetycznej Fatih Birol publicznie oskarżył w ubiegłym tygodniu władze w Moskwie o to, że celowo tworzą wrażenie, że rezerwy gazu są na wyczerpaniu, aby osiągnąć swe cele polityczne i straszyć możliwością pogłębienia kryzysu energetycznego. Takie działanie ma mieć związek z apetytem Rosji na odzyskanie wpływów na Ukrainie. Teza łatwa do udowodnienia, więc przejdźmy do drugiego gracza, który podbija ceny gazu, ropy, węgla etc. Któż to? To niestety eurokraci. UE uznała gaz ziemny za szkodliwy dla środowiska (choć jeszcze niedawno miał być ekologiczny i dużo lepszy niż brudny, zły, okropny węgiel). W obliczu szoku cenowego unijni urzędnicy oficjalnie mówią: musi być coraz drożej, aby walczyć z ociepleniem klimatu. I zapowiadają wprost, że będą trwale podkręcać ceny... Ekoinflacja ma być bowiem receptą na wymuszenie szybszej transformacji i wypełnienie celów porozumień paryskich. Rachunki za energię rosną i będą rosły nadal. W imię rewolucji... ©℗

eprasa.pl c9911e100d

Szczęśliwa gwiazda Maria Draghiego

Teresa Stylińska

Przez ostatni rok Mario Draghi w ekspresowym tempie przebył drogę na szczyt. Czym zasłużył sobie na uznanie i dobre wróżby?

FOT. REMO CASILLI/REUTERS/FORUM

Jeżeli jest na świecie polityk, który ma wszelkie powody do zadowolenia z minionego roku, to jest nim włoski premier Mario Draghi. Jeszcze rok temu w ogóle nie udzielał się w polityce i, poza Włochami, był mało znany szerokiej publiczności. Jako ekonomista zajmował się problematyką gospodarczą, najpierw we Włoszech, a później w Unii Europejskiej. Z sukcesem – to jemu, jako szefowi Europejskiego Banku Centralnego w trudnych latach greckiego kryzysu, przypisuje się uratowanie euro.

Przez ostatni rok jednak Mario Draghi w ekspresowym tempie przebył drogę na szczyt. W lutym został premierem, i to rządu quasi-jedności, bo w jego skład weszły prawie wszystkie liczące się siły polityczne – co samo w sobie jest ewenementem, bo nie zdarzyło się we Włoszech od lat. Partie wzięły sobie chyba do serca apel Draghiego o jedność w obliczu dwóch kryzysów związanych z pandemią: zdrowotnego i gospodarczego. Rząd zdołał zapewnić Włochom ogromny udział w europejskim funduszu odbudowy i pewnie nie byłoby to możliwe, gdyby na jego czele stał ktoś obdarzony mniejszym autorytetem. Teraz zaś Draghi ma wszelkie szanse, by zostać prezydentem.

Ukoronowaniem pasma sukcesów okazał się tytuł Człowieka Roku 2022, przyznany Draghiemu przez portal Politico. Włoski premier znalazł się na czele corocznie publikowanej listy 28 osób, które, zdaniem dziennikarzy i ekspertów, będą mieć największy wpływ na wydarzenia w Europie. Poprzednim Człowiekiem Roku była Angela Merkel. Zająć jej miejsce, choćby tylko w rankingu, to polityczny komplement, choć nie od rzeczy będzie przypomnieć, że Draghi nie bardzo miał konkurencję. I Emmanuel Macron (Człowiek Roku 2020), i Boris Johnson nie mają dziś mocnej pozycji, Olaf Scholz to człowiek nowy, Viktor Orbán (Człowiek Roku 2016, zasłużenie, bo mocno zmienił spojrzenie na masowy napływ imigrantów) doprowadza eurokratów do białej gorączki, a przywódcy małych krajów raczej nie wchodzą w grę.

PREZYDENT CZY NADAL PREMIER?

Czym Mario Draghi zasłużył sobie na uznanie i dobre wróżby? Dzięki „politycznemu technokracie", jak go nazywa Politico, Włochy mają szansę na odzyskanie należnego im miejsca w Europie. „Po brexicie – pisze portal – w Unii Europejskiej brakuje trzeciego gracza, który równoważyłby wpływy Paryża i Berlina. W osobie Draghiego Włochy mają przywódcę, który może je wciągnąć w samo serce spraw europejskich, a przed nim samym odejście Angeli Merkel otwiera drogę do przewodzenia Europie, przynajmniej w gospodarce".

Jeśli ta prognoza po części straciła aktualność, to tylko dlatego, że przed włoskim premierem otworzyły się jeszcze inne perspektywy. Twórcy listy zakładali, że Draghi będzie kierować rządem i krajem do końca obecnej kadencji parlamentu, czyli do wiosny 2023 r. Przez ten czas w pełni wykorzysta swe talenty, wiedzę, doświadczenie i popularność. Prawdziwe pole do popisu dałoby mu zagospodarowanie ogromnych funduszy – 191,5 mld euro (prawie jedna czwarta całości), które przypadają Włochom w ramach funduszu odbudowy po pandemii – i przeprowadzenie związanych z nimi reform.

Tymczasem w ciągu paru zaledwie tygodni sytuacja zmieniła się radykalnie. Prezydent Sergio Mattarella postanowił nie ubiegać się o drugą kadencję, sprawą palącą stało się zatem znalezienie kogoś, kto mógłby go zastąpić. We Włoszech szefa państwa wybierają elektorzy – deputowani do obu izb parlamentu i przedstawiciele regionów, w sumie

eprasa.pl c9911e100d

1009 osób – co oznacza, że kandydat nie musi z wyprzedzeniem ogłaszać swych planów, prowadzić kampanii i zabiegać o głosy wyborców jak wówczas, gdy prezydent jest wybierany w głosowaniu powszechnym. Kluczem są rozmowy i ustalenia międzypartyjne, a na to nie potrzeba wielu miesięcy.

Paradoks całej sytuacji polega na tym, że Draghi jest potrzebny Włochom jako premier, ale przydatny byłby także jako prezydent. Jego autorytet znakomicie podnosiłby pozycję Włoch na arenie międzynarodowej, i to przez długi czas, bo kadencja prezydenta trwa aż siedem lat (w Europie już tylko we Włoszech trwa tak długo). Tych dwóch funkcji nie da się jednak łączyć.

WOLA BANKU WYSTARCZY

Stanowisko premiera to realna władza. Funkcja szefa państwa kusi prestiżem. Prezydent sprawuje głównie funkcje ceremonialne i reprezentuje kraj, nie jest jednak pozbawiony wpływów, bo podczas kryzysu rządowego to on przejmuje inicjatywę. Prowadzi wówczas konsultacje i wyznacza kandydata na premiera, czego efektów doświadczył nie kto inny jak Mario Draghi właśnie, bo przed rokiem, gdy rozpadł się rząd Giuseppe Contego, to jemu prezydent Mattarella złożył propozycję jako tzw. niezależnemu technokracie. Powoływanie technokratów niezwiązanych z żadną partią to we Włoszech wypróbowany sposób na kryzys. Co więcej, niejeden z nich – np. Conte – na tyle zagustował w nowej roli, że postanowił zostać w polityce na dłużej.

Mario Draghi do tej pory nie zadeklarował, czy jest gotów przenieść się z Palazzo Chigi, siedziby rządu, do Pałacu Kwirynalskiego, rezydencji prezydenta, ale z jego dość oględnych wypowiedzi wynika, że bierze to pod uwagę. Ma 74 lata, wiek idealny dla prezydenta Włoch, gdzie urząd ten powierzano nawet 80-latkom. Jest szanowany w świecie, ma wiele kontaktów. Nie ma może wielkiego doświadczenia w polityce międzynarodowej, ale za to ogromne na polu ekonomicznym. Przez ponad pięć lat był gubernatorem Banku Włoch. Opuścił to stanowisko na dwie kadencje (2011–2019), by zostać prezesem Europejskiego Banku Centralnego.

„W ramach swego mandatu Europejski Bank Centralny jest gotów zrobić wszystko, by euro przetrwało. Proszę mi wierzyć: to wystarczy" – zapewnił Draghi w 2012 r., gdy ważyły się losy euro, i jest to wypowiedź historyczna. Gdyby Grecja zrezygnowała wówczas z posiadania euro, nie spowodowałoby to pewnie jego załamania. Gdyby jednak w jej ślady poszedł jakiś inny, większy i ważniejszy kraj – choćby Włochy, gdzie niechęć do euro była bardzo widoczna – sytuacja mogłaby wymknąć się spod kontroli. Słowa Draghiego to tyleż zarys jego planów, ile przejaw determinacji, za którą jest chwalony do dzisiaj. Czy było warto? To się kiedyś okaże.

Mario Draghi, jeśli wierzyć niedyskrecjom, okazał się premierem, jakiego Włochy dawno nie miały: twardym i zdecydowanym

Natomiast treść niedawnego wystąpienia w parlamencie, poświęconego eskalacji napięcia na granicy rosyjsko-ukraińskiej, dowodzi wspomnianego braku doświadczenia w sprawach międzynarodowych. Nie tylko dlatego, że Draghi nie wierzy, by Rosja miała złe intencje, ale z uwagi na dość naiwną, jak na przywódcę liczącego się kraju, argumentację. Nawiązując do rozmowy telefonicznej Władimira Putina z Joe Bidenem, Draghi powiedział, że „tak nie zachowuje się ktoś, kto szykuje się do jakichś działań, lecz ten, kto pragnie wykorzystać możliwości dyplomacji".

Pobłażliwość, zrozumienie czy wręcz sympatia dla Rosji i Putina stały się, jak widać, immanentną cechą włoskich polityków, nie tylko Silvio Berlusconiego, którego od lat łączy z Putinem przyjaźń, czy Matteo Salviniego, przywódcy prawicowej Ligi. Draghi także utrzymuje z Putinem stałe kontakty; od sierpnia rozmawiali aż cztery razy. Urokom Rosji nie ulegają tylko Giorgia Meloni i jej – również prawicowa – partia Bracia Włosi.

ŻELAZNA RĘKA SUPER MARIA

Mario Draghi, jeśli wierzyć niedyskrecjom, okazał się premierem, jakiego Włochy dawno nie miały: twardym i zdecydowanym. Podobno trzyma ministrów żelazną ręką i często sam, zamiast nich, podejmuje decyzje. Wiadomo, że to on obstawał przy wprowadzeniu przymusu szczepień dla 50-latków. Niezaszczepieni nie będą mogli pracować, a ci, którzy i tak nie pracują, będą podlegać karze. To najnowsza decyzja rządu, według premiera konieczna, by nie trzeba było zamykać szkół i firm i by ratować służbę zdrowia. Wcześniej, jesienią, wprowadzono tzw. zielony paszport, czyli certyfikat covidowy. Gdy pracownik go nie ma, musi co dwa dni robić test, a to wydatek 150 euro miesięcznie.

Faktem jest, że samodzielności i dyscypliny Dragi nabył wcześnie, bo jako kilkunastolatek stracił po kolei oboje rodziców i ze wszystkim – poczynając od płacenia rachunków, a kończąc na dbaniu o dwoje młodszego rodzeństwa – musiał radzić sobie sam. Dodajmy, że urodził się w Rzymie, pochodzi z zamożnej mieszczańskiej rodziny, ukończył ekonomię na rzymskim uniwersytecie La Sapienza, doktorat zrobił w MIT, wykładał na uczelniach, pracował w bankach, jest żonaty i ma dwoje dzieci. Fakt, że tak mocno zaangażował się w ratowanie euro, to konsekwencja ugruntowanych przekonań. Już w swych pracach dyplomowych Draghi poruszał kwestie integracji ekonomicznej i monetarnej.

Przydomek Super Mario nie ma jednak nic wspólnego z jego dokonaniami. Zapożyczono go z gier firmy Nintendo i trzeba przyznać, że pasuje jak ulał. Włosi zresztą lubią obdarzać swych przywódców przydomkami. Prezydenta Giorgio Napolitano, który urzędował aż 11 lat, nazywano Re Giorgio – Król Giorgio. Silvio Berlusconi to Il Cavaliere – Kawaler; wbrew pozorom było to nawiązanie do orderu, a nie aluzja do ekscesów obyczajowych. Giulio Andreotti, siedmiokrotnie premier, zwany był Divo Giulio – Boski Juliusz, jak Cezar.

Elektorzy rozpoczną głosowanie 24 stycznia. Prezydentura kusi i Mario Draghi może mieć wielu konkurentów, takich jak Silvio Berlusconi, który od lat o niej myśli, i ekspremier Giuliano Amato. Poza przymiotami kandydatów – duchowymi i politycznymi – elektorzy wezmą też pod uwagę inne czynniki, zwłaszcza to, że jeśli Draghi zwycięży, to rząd raczej nie przetrwa, a to może oznaczać przyspieszenie wyborów. Dla deputowanych to niedobrze. Niejeden nie zachowa mandatu, bo nowy parlament ma być mniejszy. Chociaż Draghi popularnością bije wszystkich, ceni go bowiem 65 proc. Włochów, to wynik głosowania wcale nie jest pewny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

Z Balli Marzec, opozycjonistką z Kazachstanu
rozmawia Jerzy Dąbrowski

Reżim od 30 lat zwalcza opozycję

Balli Marzec pochodzi z Kazachstanu. Swojego męża poznała na studiach na Politechnice w Moskwie. Przez dwa lata nie mogła przyjechać do Polski, ponieważ nie otrzymywała pozwolenia od władz sowieckich – nigdy nie podawano przyczyny odmowy na piśmie. Jej mąż zobaczył swojego synka, kiedy ten miał już prawie dwa lata.

JERZY DĄBROWSKI: Co spowodowało, że postanowiła pani związać swoją przyszłość z opozycją w Kazachstanie?

BALLI MARZEC: W 2002 r., będąc już w Warszawie, z grupą emigrantów z Kazachstanu założyliśmy stowarzyszenie Wspólnota Kazachska. W czasie wizyty Nazarbajewa, ówczesnego prezydenta Kazachstanu, w Polsce w 2004 r. jako Kazaszka mieszkająca w Polsce otrzymałam zaproszenie do Sejmu na spotkanie z delegacją z Kazachstanu. Obstawa Nazarbajewa poprosiła straż marszałkowską, aby usunąć nas z sali kolumnowej. Nie dałam się wyrzucić. Przez cały czas byłam pilnowana przez funkcjonariusza BOR. Czułam się bardzo upokorzona. Był ze mną mój synek, który widząc to wszystko, popłakał się i zapytał: „Mamo, po co tu przyszliśmy?".

To był moment przełomowy, kiedy pomyślałam, że jeśli władza Kazachstanu tak brutalnie postępuje ze swoimi rodakami za granicą, to co oni robią z ludźmi w kraju?! Najbardziej mnie bolało, że władze Kazachstanu rękami polskich służb próbowały mnie wyrzucić z polskiego Sejmu.

Czy jest pani w jakiś sposób inwigilowana przez służby Kazachstanu w Polsce?

Tak. Oni działają po cichu. Nieoficjalnie. Bardzo trudno znaleźć ślady ich działalności, ale jest dużo symptomów, które to potwierdzają. Ci sami ludzie pojawiają się w tych samych miejscach. Czuję, że jestem śledzona. Jest pełno dziwnych zbiegów okoliczności. Robią wszystko, abyśmy czuli się bez przerwy zagrożeni. Kilka razy ktoś próbował mnie przejechać na pasach.

Podczas mojej pikiety wizyty Nazarbajewa na Słowacji w 2007 r. na zlecenie służb kazachskich policja Słowacji aresztowała mnie i poturbowała na oczach dziennikarzy. Po tym, jak pokazano to w telewizji słowackiej, pod naciskiem opinii publicznej minister spraw wewnętrznych pan Kaliniak oficjalnie mnie przeprosił na specjalnie zwołanej konferencji prasowej.

W czasie wizyty Nazarbajewa w Polsce w 2016 r. i mojej pikiety tej wizyty ludzie w cywilu podchodzili do mnie i po cichu straszyli: „Zamknij się! Pożałujesz!".

Wiedząc to wszystko, staram się być bardzo ostrożna: ostrożnie przechodzić przez jezdnię, uważać na samochody.

Nie widziałam mojej mamy 14 lat. Nie zobaczyłam się z nią przed jej śmiercią. Nie dzwoniłam, bo obawiałam się, że ona będzie miała z tego powodu kłopoty, ostatni raz jej głos słyszałam w 2008 r. W 2017 r. udało mi się pojechać na pogrzeb mamy, bo wtedy wpuszczano do Kazachstanu bez wizy ze względu na Expo.

Czy w Kazachstanie istnieje jakaś prawdziwa opozycja mogąca przeciwstawić się obecnemu reżimowi?

Reżim w Kazachstanie od 30 lat zwalcza opozycję – zastrasza, aresztuje, a nawet morduje. Ludzie Nazarbajewa mordują wszystkich, którzy głośno krytykują politykę satrapy.

Lider opozycji, Altynbek Sarsenbayuly, kandydat na prezydenta, został znaleziony martwy ze swoim kierowcą i ochroniarzem w 2006 r. niedaleko Ałmaty. Wszyscy mieli związane z tyłu ręce i kule w potylicy.

Inny lider opozycji, były minister w rządzie Nazarbajewa, Zamanbek Qalabayuly Nurkadilov, który zaczął ostro krytykować prezydenta, został w 2005 r. znaleziony martwy z dwoma strzałami w serce i jednym w głowę. Według oficjalnej wersji władz popełnił samobójstwo.

Władza prześladuje opozycję nie tylko w kraju, lecz także za granicą i pomagają jej w tym lobbyści reżi-

FOT. JERZY DĄBROWSKI/ONS

eprasa.pl c9911e100d

mu, których szczodrze opłaca Nazarbajew. Znanym lobbystą jest Aleksander Kwaśniewski, który za swoją działalność otrzymywał 5 mln dol. rocznie, jak twierdził nieżyjący zięć Nazarbajewa, Rachat Alijew. Oczekujemy od polskiej opinii publicznej potępienia postawy byłego prezydenta RP.

Jak wyglądały rządy Nazarbajewa?

Nazarbajew rządził Kazachstanem od 1991 r. Przez 30 lat rządów doprowadził do tego, że w tym bogatym w surowce kraju większość ludzi żyje w biedzie. Ani jedne wybory nie zostały uznane przez społeczność międzynarodową jako wolne i uczciwe.

Po zamordowaniu własnego wnuka Ajsułtana i swojego zięcia Kazachowie dali mu przydomek Krwawy.

Wnuk, który wyjechał do Londynu, zaczął krytykować dziadka. Opowiadał, jak Nazarbajew za grosze sprzedaje gaz do Rosji. Przed śmiercią prosił o azyl w Wielkiej Brytanii. Oficjalnie zrobiono z niego narkomana. Jego ojciec, Rachat Alijew, dyplomata i polityk kazachski, został znaleziony martwy w austriackim więzieniu, gdzie znalazł się na wniosek władz Kazachstanu. Reżim twierdzi, że popełnił samobójstwo, a my, opozycja, jesteśmy pewni, że został zamordowany.

Jednym z najbardziej znanych opozycjonistów w Kazachstanie był Aron Atabek. Skazany w 2007 r. w sfingowanym procesie na 18 lat więzienia za przywództwo w rebelii w Shanyrak i Bakai oraz obronę chłopów, którzy zostali wyrzuceni przez milicję ze swoich prowizorycznych slumsów. Co się z nim stało?

Aron Atabek był poetą, dysydentem z czasów Związku Sowieckiego. Domagał się pełnego oczyszczenia ze wszystkich zarzutów. Nie prosił o wcześniejsze zwolnienie, ponieważ oznaczałoby to przyznanie się do winy. Arona zamęczyli w więzieniu. Nie miał żadnych kontaktów z rodziną. Był torturowany i izolowany w karcerze. Zmarł w zeszłym roku. W więzieniu złamali mu rękę i uszkodzili krtań. Nie mógł chodzić o własnych siłach, bo miał przetrącone kolana. Nie dano mu kul, twierdząc, że to jest broń. Musiał pełzać po podłodze. Miesiąc przed śmiercią wypuścili go do domu, żeby nie umarł w więzieniu...

Wielokrotnie apelowaliśmy o pomoc dla niego, ale świat zachodni milczał. Pokonamy dyktaturę w Kazachstanie i jego imieniem nazwiemy ulice, place i postawimy mu pomniki.

Może dlatego, jak dowiedziałem się jakiś czas temu z naszej prasy, że to prezydent Aleksander Kwaśniewski został doradcą Nazarbajewa do spraw reformy i demokracji? Jak podaje Wirtualna Polska, „Kwaśniewski odgrywa o tyle szczególną rolę, że biegle mówi po rosyjsku, dzięki czemu jest bardziej dostrzegany i szanowany". Jakie reformy w Kazachstanie wprowadzono po współpracy z prezydentem Kwaśniewskim?

Kiedy w 2011 r. wojsko Nazarbajewa strzelało do robotników w Zhanaozen, Kwaśniewski był jego doradcą. Nie znam żadnych reform, które wprowadzone zostały w Kazachstanie dzięki Kwaśniewskiemu.

Oprócz Kwaśniewskiego w powstałej w 2010 r. w Kazachstanie Niezależnej Międzynarodowej Radzie Doradczej, która miała pomóc Nazarbajewowi w modernizowaniu Kazachstanu, zasiadali jeszcze była kanclerz Austrii Alfreda Gusenbauer, były premier Wielkiej Brytanii Tony Blair i były prezydent Niemiec Horst Köhler. Ile zarabiali?

Tony Blair dostawał rocznie od 12 do 14 mln funtów za pisanie przemówień dyktatorowi. Były prezydent Niemiec Horst Köhler zadowolił się tylko 300 tys. euro na miesiąc.

A Kwaśniewski odmówił odpowiedzi, powołując się na poufność umowy.

Trzeba przyznać, że po głosach krytyki w swoim kraju za współpracę z krwawym dyktatorem Blair wycofał się i przeprosił opinię publiczną.

Od dwóch lat Kazachstanem rządzi Kasym-Żomart Tokajew. Czy jego polityka odbiega od linii Nazarbajewa?

Nie. Tokajew został namaszczony przez Nazarbajewa, który ma już 82 lata i chce nadal mieć wpływ na losy kraju, ale tylko z „tylnego siedzenia". Zrobił to, bo czuł, że wszyscy obywatele mieli go już dosyć. Dyktator Nazarbajew ma już taki charakter, że będzie trzymał się kurczowo władzy do końca swoich dni.

2 stycznia w całym kraju wybuchły spontaniczne protesty społeczeństwa. Tak masowych protestów nie było wcześniej w Kazachstanie. Protesty były pokojowe. Tylko w Ałmaty początkowo pokojowe protesty przekształciły się w zamieszki z użyciem broni. Na początku to było niezrozumiałe, nie rozumieliśmy, o co chodzi. Później zrozumieliśmy, że protesty w Ałmaty zostały wykorzystane przez klany do walki o władzę. Podejrzewam, że to Nazarbajew i jego rodzina chcą wrócić do władzy, bo Żomart Tokajew zaczął wymykać się im spod kontroli.

Czy – jak podały media – tylko podwyżki gazu LPG były rzeczywistą przyczyną rozruchów, które rozpoczęły się kilka dni temu?

To była kropla, która przelała czarę goryczy. Strajki zapoczątkowali ludzie, którzy wydobywali gaz i nie stać ich było na jego zakup. Większości Kazachów nie stać na przeżycie od pierwszego do pierwszego.

Ludzie spontanicznie wyszli na ulice w Zhanaozen. W reakcji na protesty władza obniżyła cenę gazu poniżej ceny, która obowiązywała jeszcze przed rozruchami, ale tylko w tym regionie. Widząc, że władza idzie na ustępstwa, na ulice wyszedł cały Kazachstan, bo ludzie zrozumieli, że trzeba walczyć o swoje.

Jeszcze dwa dni temu pisała pani na swoim Facebooku, że reżim upada i władza ucieka do swoich posiadłości w Szwajcarii. Dzisiaj dzięki bratniej pomocy Rosji i Białorusi sytuacja „została opanowana." Czy wie pani, co się tam teraz dzieje?

Jak wiadomo, do tłumienia rebelii w Kazachstanie przyleciało 3 tys. żołnierzy rosyjskich i białoruskich, a to jeszcze nie koniec. Internet działał wczoraj kilka godzin, więc można było przeczytać jakieś wiadomości. Nie działają banki i bankomaty. Nie można płacić kartami kredytowymi. Wiele osób pozostało bez gotówki. Nie ma zaopatrzenia, nie działa komunikacja, zamknięto lotniska, ale najbardziej przerażają ofiary śmiertelne.

Oficjalne dane podające liczbę 164 osób zabitych są nieprawdziwe. Tam strzelano z karabinów maszynowych do tłumu. Tak samo było podczas tłumienia protestów w 2011 r. w mieście Zhanaozen. Oficjalne dane podawały liczbę 15 zabitych, a opozycja mówiła o setkach ofiar. Wtedy po strzelaniu do protestujących znajdowano podziurawione kulami ciała w stepie. Parę dni temu konflikt, który rozlał się na cały Kazachstan, też wybuchł w tym mieście.

Dzisiaj wiem, że władza po tym incydencie kupiła mobilne krematoria...

Władzy nie ufamy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

Coraz Niższe

Piotr Włoczyk

Skandale wokół największych gwiazd, żenujące lukrowanie prezydentury Joe Bidena i spadające na łeb na szyję wyniki oglądalności – CNN znalazło się na równi pochyłej

Chris Cuomo do grudnia 2021 r. był najważniejszą twarzą CNN. Jego „Cuomo Prime Time" przyciągał największą widownię spośród wszystkich programów emitowanych przez tę stację. Na samym początku pandemii hitem były jego rozmowy z bratem Andrew (do sierpnia tego roku był on gubernatorem stanu Nowy Jork), który na bieżąco relacjonował na antenie CNN walkę z koronawirusem.

Chris Cuomo niestrudzenie przekonywał wówczas w swoich tyradach, że walka z COVID wymaga stosowania kolejnych lockdownów i wprowadzania coraz to nowych obostrzeń. Kiedy na początku kwietnia 2020 r. zachorował na COVID, prowadził swój show z piwnicy domu na Long Island. Sprawiający wrażenie człowieka w całkiem niezłej formie, opisywał w dramatyczny sposób, jak koronawirusowa „bestia" atakuje go w nocy. Wreszcie po trzech tygodniach izolacji w piwnicy swojego domu Cuomo uroczyście ją opuścił, co zostało oczywiście wyemitowane na żywo na antenie CNN. Sęk w tym, że całe to wyjście na wolność było inscenizacją. Tydzień wcześniej bowiem pewien rowerzysta nakrył Chrisa Cuomo podczas wypadu na jego działkę oddaloną od domu o kilka kilometrów. Sam gwiazdor CNN przyznał później, że takie zdarzenie faktycznie miało miejsce, ale zamiast wyrazić skruchę, Cuomo stwierdził, że nikt go nie będzie pouczał, jak ma żyć. Mimo to historia ta nie przekonała kierownictwa CNN, że Cuomo być może nie jest jednak najlepszą osobą do pouczania innych.

JAK BRAT BRATU

Nagły koniec jego karierze przyniosło nieoczekiwanie to, co wcześniej tak bardzo podobało się szefom jego stacji: bardzo bliska więź z bratem politykiem. Jedna afera pociągnęła na dno obu braci, ulubieńców liberalnego establishmentu. Kiedy na początku zeszłego roku prokurator generalna stanu Nowy Jork ogłosiła, że wszczyna wobec gubernatora śledztwo w sprawie podejrzenia o molestowanie seksualne, jego brat z CNN przyszedł mu z pomocą. Jak potwierdziły to potem ujawnione e-maile, Chris doradzał starszemu bratu, jak walczyć o wizerunek, równocześnie usiłując zorientować się, co inne redakcje wiedzą na temat oskarżeń. Robił to wszystko, mimo że wcześniej wielokrotnie przekonywał widzów, iż mężczyźni w Ameryce muszą się bardzo zmienić, jeżeli chodzi o ich stosunek do kobiet, a on zawsze będzie wspierał ofiary molestowania. Deklaracje te dotyczyły jednak oskarżeń wobec innych ludzi, nie jego brata.

Początkowo CNN wzbraniało się przed wyrzuceniem Cuomo. Mimo coraz głośniejszych oskarżeń o hipokryzję kierownictwo stacji twierdziło, że trudno oczekiwać, by brat nie pomagał bratu. Gdy jednak upubliczniano coraz bardziej pogrążające Chrisa wiadomości, z których jasno wynikało, w jakim poważaniu ma zeznania 11 kobiet oskarżających o molestowanie gubernatora Nowego Jorku, kierownictwo stacji nie miało innego wyjścia i na początku grudnia Cuomo wyleciał z hukiem ze stacji. Do dziś obie strony oskarżają się w mediach o najgorsze rzeczy. W tle są bowiem ogromne pieniądze – Cuomo dostawał za godzinę pracy przed kamerą 25 tys. dol. CNN nie chce mu wypłacić 18 mln dol. gaży, która należy mu się na mocy czteroletniego kontraktu. W ramach festiwalu prania brudów Cuomo ogłosił więc przez swojego prawnika, że Jeff Zucker, szef stacji, od początku był doskonale poinformowany o tym, na czym konkretnie polegało jego doradzanie bratu politykowi: „W tej sprawie nie było żadnych sekretów, o czym mogą zaświadczyć inni poza panem Cuomo".

„Przenikanie się polityki i świata mediów nie jest niczym nowym, ale reprezentuje szerszy kryzys dziennikarstwa w Ameryce" – mówi „The Guardian" Kyle Pope, redaktor naczelny „Columbia Journalism Review". – CNN korzystało na relacji pomiędzy Andrew i Chrisem Cuomo podczas covidowych lockdownów, gdy na antenie leciały te niestosowne, wręcz lizusowskie wywiady. CNN jednak promowało je, uważając, że dają widzom wgląd w krytyczny moment. To, że teraz kierownictwo CNN pozuje na zszokowane tym, iż obaj bracia tak blisko ze sobą współpracowali, jest po prostu żałosne".

Oskarżenia o złamanie podstawowych zasad etyki dziennikarskiej to jednak nie koniec problemów Chrisa Cuomo. Adwokat Debra S. Katz, która specjalizuje się w sprawach o molestowanie seksual-

eprasa.pl c9911e100d

Notowania

FOT. ADOBE STOCK

ne, ogłosiła w grudniu, że reprezentuje kobietę, która twierdzi, iż były gwiazdor CNN zachował się wobec niej w skandaliczny sposób.

RÓWNIA POCHYŁA

Jak zauważył amerykański „Newsweek", sprawa Cuomo kończy „koszmarny rok" dla CNN. Jak pokazują bowiem dane Nielsena, w zeszłym roku Fox News totalnie znokautował konkurencję po lewej stronie. Prawicowy gigant osiągnął w listopadzie zeszłego roku średnią oglądalność na poziomie 2,6 mln widzów. Widownia głównych lewicowych stacji jest na tym tle śmiesznie mała: MSNBC zanotowało 1,1 mln widzów, a CNN zaledwie 650 tys.! Odejście z Białego Domu Donalda Trumpa i spowszednienie pandemii sprawiło, że wszystkie amerykańskie telewizje informacyjne zanotowały spadek oglądalności, ale żadna nie ma tak tragicznych wyników jak CNN. Stacja założona przez Teda Turnera zanotowała spadek rok do roku na poziomie 77 proc! (dla porównania: MSNBC straciło 59 proc., a Fox News 35 proc.). Tak tragiczne wyniki CNN to doskonały prezent dla publicystów Fox News. Ich stacja w październiku obchodziła 25-lecie istnienia (stacja ta od sześciu lat zajmuje pierwsze miejsce na liście najchętniej oglądanych kanałów informacyjnych).

W związku z tym trudno się dziwić, że w ostatnich miesiącach na antenie Fox News końca nie mają kpiny z lewicowej konkurencji. Szczególnie wesoło było, gdy okazało się, że więcej osób o liberalnych poglądach ogląda prawicowego giganta niż CNN (według Nielsena Fox News ogląda 29 proc. liberalnej widowni, podczas gdy CNN tylko 24 proc.). Publicyści Fox News zgodnie tłumaczą to jednym czynnikiem: coraz więcej ludzi po lewej stronie amerykańskiej sceny politycznej rozumie, że CNN przesadziło w ostatnim roku z propagandą. Oglądając CNN, nie da się bowiem dowiedzieć, dokąd tak naprawdę zmierza Ameryka pod rządami Joe Bidena.

W zeszłym roku Fox News totalnie znokautował konkurencję po lewej stronie, bo CNN mocno przesadziło z propagandą

Szczególnie ucieszyć musiały całą załogę Fox News słowa miliardera Johna Malone'a, jednego z głównych udziałowców Discovery, które przymierza się w tym roku do przejęcia WarnerMedia (właściciela CNN). „Chciałbym, aby CNN wróciło do dziennikarstwa, od którego zaczęła się historia tej stacji, i by w końcu zatrudniło prawdziwych dziennikarzy, co byłoby niewątpliwie czymś nowym – powiedział John Malone. – Fox News w moim odczuciu podąża ciekawym szlakiem, próbując łączyć newsy, czyli prawdziwe dziennikarstwo, z programami, w których przedstawia się różne opinie".

Na razie jednak CNN dalece odbiega od ideału Johna Malone'a. W stacji tej amerykański prezydent doskonale nad wszystkim panuje, strategia lockdownów i wprowadzania coraz dalej idących restrykcji jest jedyną właściwą, a największym problemem USA jest „biała supremacja". W latach 2020 i 2021 na antenie tej stacji najczęściej zapraszanymi gośćmi (poza wirusologami w rodzaju dr. Anthony'ego Fauciego) byli wszelkiej maści eksperci od spraw rasowych, którzy ciosali kołki na głowie białym Amerykanom. Wszystkim białym, nie tylko republikanom. Również w programie Chrisa Cuomo wielokrotnie można było usłyszeć z ust gości, że wszyscy biali Amerykanie cieszą się przywilejami i należy to jak najszybciej zmienić.

Tymczasem coraz więcej białych demokratów zaczyna rozumieć, że takie stawianie spraw rasowych jest niebezpieczne również dla ich własnych dzieci, które mogą przez to dorastać w poczuciu winy z powodu swojego koloru skóry. Szczytem wszystkiego było jednak to, jak CNN informowało Amerykanów o ucieczce z Afganistanu: doszło do pewnych potknięć, ale cała operacja zakończyła się sukcesem i czas już o tym zapomnieć.

Nie lada problemów CNN dostarcza też drugi z największych gwiazdorów stacji (i bliski przyjaciel Chrisa Cuomo): Don Lemon. Zadeklarowany aktywista homoseksualny i zwolennik ruchu Black Lives Matter mierzy się właśnie z oskarżeniami o molestowanie seksualne innego mężczyzny oraz o udzielanie pomocy człowiekowi skazanemu za zorganizowanie udawanego ataku o podłożu rasistowskim. Szczególnie ta druga sprawa powinna niepokoić kierownictwo CNN. W grudniu zeszłego roku sąd w Chicago uznał, że czarnoskóry aktor Jussie Smollett sam zorganizował atak na siebie, by zyskać na popularności. W śledztwie policja ustaliła, że Smollett wynajął dwóch obywateli Nigerii, by „napadli" go nocą na ulicy, krzycząc jednocześnie rasistowskie i protrumpowe hasła (do zdarzenia tego doszło zimą i napastnicy byli grubo ubrani). W czasie procesu Smollett zeznał, że to właśnie Don Lemon ostrzegł go, że policja zaczyna podejrzewać, iż cała sprawa została ukartowana. Czyżbyśmy mieli więc do czynienia z powtórką sprawy Chrisa Cuomo?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

Łukasz Warzecha

To nie

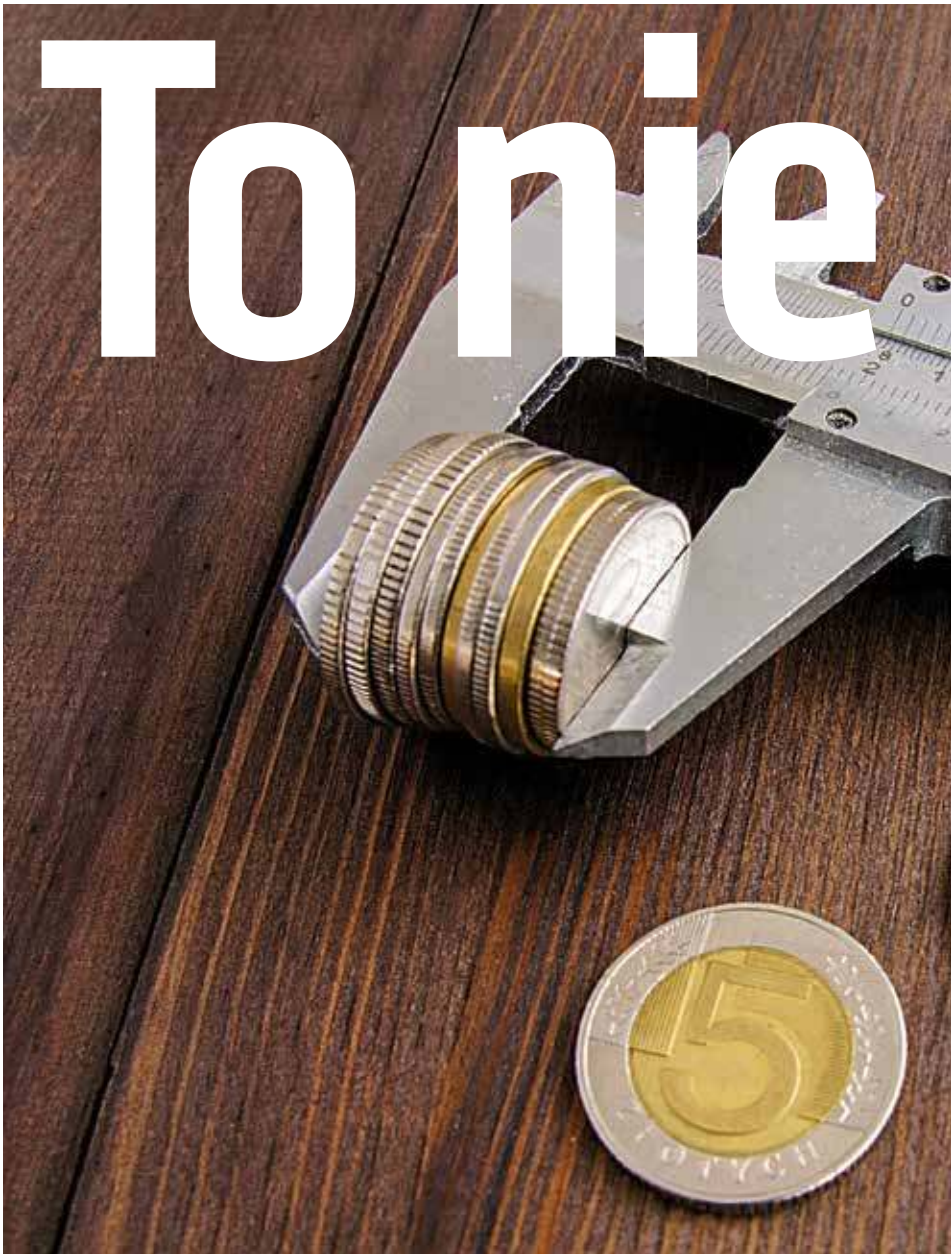

Polski Ład miał być asem w rękawie Zjednoczonej Prawicy i dać PiS wygraną w kolejnych wyborach w przyszłym roku. Po dwóch tygodniach obowiązywania ustawy można powiedzieć, że obóz władzy poniósł nawet nie porażkę, ale klęskę

Wstępem do klęski był już etap prezentacji założeń pakietu Polskiego Ładu, jeszcze przed ukazaniem się projektu z listopada „o zmianie ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych, ustawy o podatku dochodowym od osób prawnych oraz niektórych innych ustaw". W rządzie był wówczas Jarosław Gowin, który zresztą dał projektowi poparcie, pokazując się na jego inauguracji, ale szybko stał się jego krytykiem. Rychło okazało się, że do Polaków przebija się głównie to, że Polski Ład oznacza podwyżkę składki zdrowotnej dla ogromnej części podatników, a więc niższe dochody, a nie to, że ktoś na nim zyska. Zanim powstała ustawa, próbowano jeszcze naciskać przede wszystkim na to, aby nie wprowadzać jej w życie niemal natychmiast po podpisaniu przez prezydenta (półtora miesiąca później), ponieważ zakres zmian dla przedsiębiorców jest tak gigantyczny, że nikt nie będzie w stanie ich przeanalizować w kilka tygodni. Rząd pozostał nieubłagany i faktycznie – sprawdziły się najgorsze prognozy. Tym razem jednak nie sposób winić za to Rosji czy Brukseli. To nasza własna robota.

MIAŁO BYĆ SPRAWIEDLIWIEJ

Uzasadnienia tych radykalnych zmian były dwa. Pierwsze to „sprawiedliwość społeczna". Politycy PiS z Jarosławem Kaczyńskim na czele wskazywali, że system podatkowy jest w Polsce degresywny, ale zaliczali do niego to, co formalnie nie jest podatkiem, lecz opłatą za usługi, czyli składkę zdrowotną. Ta argumentacja jest bardzo wątpliwa, ale zostawmy ten spór na boku. Ważne, że wobec poziomu obecnego chaosu tyrady o zaprowadzaniu sprawiedliwości społecznej wydają się już nie mieć żadnego znaczenia i nie robią na nikim wrażenia, gdy niespodziewanie mniejsze pieniądze dostają nawet niektórzy emeryci.

Drugim uzasadnieniem była rzekoma konieczność znaczącego dofinansowania państwowej służby zdrowia. Tu wskazywano na skutki epidemii COVID-19 w Polsce. Tyle że, po pierwsze, jest bardzo dyskusyjne, czy dramatyczna liczba nadmiarowych zgonów jest skutkiem niedofinansowania czy może raczej dezorganizacji i przyjmowanych w czasie epidemii regulacji. Po drugie zaś – wraz z wprowadzeniem Polskiego Ładu nie przedstawiono żadnego planu naprawczego dla służby zdrowia. Jednym słowem – podatnicy mają dorzucić do systemu ogromne pieniądze, ale bez żadnych widoków, że cokolwiek z tego wyniknie.

Przepisy liczą sobie 302 strony, a ich konstrukcja jest charakterystyczna dla ustaw nowelizujących inne ustawy, a więc jest nie do przyswojenia przez przeciętnego podatnika czy nawet przedsiębiorcę. Oto próbka, dotycząca zmian w ustawie o podatku dochodowym od osób fizycznych:

„4) w art. 8:

a) uchyla się ust. 3–6,

b) uchyla się ust. 8;

5) w art. 9:

a) w ust. 1a wyrazy »art. 30da–30f« zastępuje się wyrazami »art. 30da–30dh, art. 30e–30g, art. 30j–30p«".

eprasa.pl c9911e100d

FOT. ADOBE STOCK

W tych meandrach pogubili się nie tylko księgowi, lecz także nawet pracownicy aparatu skarbowego. Związek zawodowy pracowników Krajowej Administracji Skarbowej Związkowa Alternatywa w liście otwartym do premiera Morawieckiego i ministra finansów Tadeusza Kościńskiego napisał: „Reforma została przygotowana pośpiesznie, z bardzo krótkim vacatio legis i bez odpowiedniego przygotowania państwa do jej wdrożenia. Również pracownicy KAS nie byli z wyprzedzeniem informowani o obowiązującej wykładni nowych rozwiązań podatkowych. […] Nowe przepisy są niejasne i niedoprecyzowane, a Ministerstwo Finansów wciąż nie przedstawiło obowiązującej wykładni wielu kluczowych kwestii […]".

Pytany przeze mnie w programie „Polska na serio" o Polski Ład Adam Abramowicz, rzecznik małych i średnich przedsiębiorców, sarkastycznie stwierdził, że skoro nawet pracownicy skarbówki nie są w stanie zrozumieć tego, co w ustawie jest, to czego można wymagać od przedsiębiorców.

Jedno powinno być jasne: teraz już nawet mała działalność gospodarcza, której właściciel wcześniej w prosty sposób rozliczał się poprzez książkę przychodów i rozchodów, nie jest w stanie obyć się bez księgowości. To oznacza dla niego dodatkowy miesięczny koszt w wysokości przynajmniej kilkuset złotych (oprócz wzrostu innych obciążeń). Ci zaś, którzy z księgowości już korzystali, muszą się liczyć z podwyżkami ceny tej usługi. „Przedsiębiorca nie powinien tracić czasu na takie sprawy, tylko zajmować się ulepszaniem swojego biznesu" – powiedział mi Abramowicz.

Jesienią trwały też próby negocjowania wysokości składki zdrowotnej, które udały się w małym zakresie, głównie dzięki uporowi właśnie rzecznika małych i średnich przedsiębiorców. Abramowicz starał się ratować najprostszą i bardzo popularną formę opodatkowania osób prowadzących działalność gospodarczą, czyli 19-procentowy podatek liniowy, który po wprowadzeniu niemożliwej do odliczenia od dochodu dziewięcioprocentowej składki zdrowotnej stałby się podatkiem 28-procentowym i tym samym ta forma opodatkowania byłaby już dla wielu osób nieopłacalna. Składkę udało się ostatecznie zbić do 4,9 proc. (nie może to być jednak kwota odpowiadająca mniej niż 9 proc. dochodu), ale tylko w przypadku tej jednej formy opodatkowania. W dodatku nie wiadomo, jak długo ta wysokość zostanie utrzymana.

ULGA KOMPLIKUJĄCA

Pod wpływem nacisków ówczesnego wicepremiera Gowina skonstruowano także ulgę dla klasy średniej, żeby zneutralizować narrację o tym, że Polski Ład uderza właśnie w tę grupę. Problem w tym, że ulga dodatkowo komplikuje i tak skrajnie niejasny system. W ustawie opisuje się ją tak:

„1) (A × 6,68% – 4566 zł) ÷ 0,17, dla A wynoszącego co najmniej 68 412 zł i nieprzekraczającego kwoty 102 588 zł,

2) (A × (-7,35%) + 9829 zł) ÷ 0,17, dla A wyższego od 102 588 zł i nieprzekraczającego kwoty 133 692 zł

– w którym A oznacza sumę uzyskanych przez podatnika w roku podatkowym i podlegających opodatkowaniu zgodnie z art. 27 przychodów ze stosunku służbowego, stosunku pracy, pracy nakładczej i spółdzielczego stosunku pracy oraz uzyskanych w ciągu roku przychodów z pozarolniczej działalności gospodarczej pomniejszonych o koszty prowadzenia tej działalności z wyłączeniem z tych kosztów składek na ubezpieczenia społeczne, o których mowa w art. 26 ust. 1 pkt 2 lit. a i pkt 2a".

Nietrudno zauważyć, że ulga nie ma zastosowania choćby do wolnych zawodów, bo nie obejmuje dochodów z pracy na podstawie umów cywilnoprawnych. To z kolei dokłada komplikacji szczególnie

eprasa.pl c9911e100d

w przypadku osób, które osiągają przychody z różnych źródeł na podstawie różnych rodzajów umów.

Jednak nawet dla osoby na etacie ulga może być pułapką. Jeżeli pracownik będzie z niej korzystał co miesiąc, ale w którymś momencie przekroczy kwotę przychodu do niej uprawniającego, przy rocznym rozliczeniu podatkowym będzie musiał zwrócić wszystko, co wcześniej na tej uldze w ciągu roku zyskał. Możliwa jest też sytuacja poniekąd odwrotna: ktoś w danym miesiącu przekroczy minimalną kwotę dla zastosowania ulgi, ale już nie w następnych. Wówczas również na koniec będzie zmuszony do zwrotu uzyskanej sumy.

Rzecznik małych i średnich przedsiębiorców uważa, że Polski Ład jest sprzeczny z zasadami niegdyś szumnie ogłaszanej przez szefa rządu Konstytucji dla Biznesu, ponieważ nakłada na przedsiębiorców obowiązki, które nie powinny być ich udziałem (mowa o opłacaniu składki zdrowotnej). Sławomir Wąsowicz, księgowy i biegły rewident z biura usług księgowych i audytorskich W&D, tłumaczy „Do Rzeczy", że przedsiębiorca, który w danym miesiącu nie miał przychodów albo odnotował stratę, i tak musi zapłacić składkę na minimalnym poziomie 270,90 zł. Na koniec roku może się okazać, że ma w związku z tym nadpłatę. Lecz aby ją od fiskusa odzyskać, musi w ściśle określonym miesięcznym terminie wystąpić o to do ZUS poprzez system e-PUAP. Co się stanie z jego pieniędzmi, jeśli to zaniedba? Nie wiadomo. Zapewne zawłaszczy je Skarb Państwa, ale ustawa tego nie wyjaśnia.

Adam Abramowicz uważa, że to stawianie spraw na głowie. Urząd nie powinien żądać od nikogo wniosków w sprawie, w której ma wszystkie potrzebne informacje, aby dokonać zwrotu. Rzecznik stara się w tej sprawie negocjować z MF, aby ten mechanizm zmienić.

Blady strach padł również na tych przedsiębiorców, którzy mają niesprzedane stany magazynowe z ubiegłego roku. Nawet jeśli na ich sprzedaży nie zarobią, to Polski Ład w taki sposób definiuje podstawę wymiaru składki, że będą musieli do niej doliczyć wartość tych zapasów, co dla wielu może się skończyć koniecznością zapłacenia horrendalnie wysokich składek – szczególnie w relacji do faktycznych przychodów.

OBNIŻONE WYPŁATY

Problemy przedsiębiorców to jednak tylko część krajobrazu – choć gospodarczo najbardziej znacząca, bo oni są przez nowy system najbardziej poszkodowani i poszkodowani pozostaną. Lecz propagandzie sukcesu wokół Polskiego Ładu najsilniej zaszkodziły problemy tych, którzy stracić na nim nie mieli. Tymczasem okazało się, że obniżone pobory od początku roku otrzymali nauczyciele, pracownicy służb mundurowych, niektórzy etatowcy, a nawet część emerytów. Rząd tłumaczył się „niedopatrzeniem", ale trudno tak nazwać kompromitujący błąd w ustawie. Kluczem okazała się konieczność składania formularza PIT-2, o którym mało kto dotąd słyszał – i po prawdzie słyszeć w ogóle nie powinien, trudno bowiem od kogokolwiek wymagać, żeby nagle, bez właściwie żadnego powodu, zajmował się dodatkową papierologią, jeśli nie chce, żeby jego wynagrodzenie nagle okazało się o kilkaset złotych miesięcznie niższe.

Okazało się, że obniżone pobory otrzymali nauczyciele, pracownicy służb mundurowych, niektórzy etatowcy, a nawet emeryci

Tu winna okazała się znowu ulga dla klasy średniej, która powinna obejmować wynagrodzenia w trakcie ich wypłacania w ciągu roku, ale bez złożenia PIT-2 jest to niemożliwe. Owszem, ostatecznie przyszłoby wyrównanie, ale dopiero po rozliczeniu podatków w 2023 r. Rozwiązanie tego problemu, które na chybcika sprokurowało Ministerstwo Finansów, jest nie tylko z punktu widzenia pracodawców niezwykle uciążliwe, lecz także w dodatku prawdopodobnie niezgodne z prawem. Minister Kościński 7 stycznia wydał akt zmieniający sposób rozliczania zaliczek na podatek, ale – jak wskazują prawnicy – rozporządzenie nie może zmieniać ustawy, a tutaj tak się właśnie dzieje.

W dodatku rozporządzenie nakłada na pracodawców obowiązek dwukrotnego przeliczenia wynagrodzeń – według wcześniejszych reguł Polskiego Ładu oraz zgodnie z wytycznymi rozporządzenia, czyli według poprzednich zasad. Pracownik ma dostać wynagrodzenie według korzystniejszego dla siebie rozwiązania. To jednak zmiana reguł gry w jej trakcie i wymaga od przedsiębiorców ogromnego dodatkowego wysiłku, a od księgowych – dwukrotnie więcej pracy.

Sławomir Wąsowicz z Kancelarii W&D opowiada, że pracownicy jego firmy operowali na oprogramowaniu, które producent dostosował do Polskiego Ładu, ale oczywiście w stanie na koniec grudnia ubiegłego roku, bez uwzględnienia rozporządzenia ministra. „Zmiana jest na tyle poważna, że posiadana przez nas wersja oprogramowania jest praktycznie bezwartościowa" – mówi Wąsowicz. W związku z tym liczenie odbywa się „na piechotę". Część klientów kancelarii wypłaciła już pracownikom wynagrodzenia według starej metodologii, co teraz trzeba weryfikować. Poziom chaosu przebija wszystko, co widziano do tej pory.

Jednak nawet w rozporządzeniu ministra Kościńskiego może się kryć pułapka. Sławomir Wąsowicz tłumaczy, że osoby, które z niego skorzystają, przy rozliczeniu rocznym mogą się nagle przekonać, że sumaryczna kwota miesięcznych zaliczek jest wyraźnie niższa od kwoty całości zobowiązania podatkowego. A to oznacza sporą dopłatę, na którą podatnik po prostu może nie mieć pieniędzy.

I tu dochodzimy do bardzo prawdopodobnego trzeciego aktu tragedii, który rozegra się w kwietniu 2023 r., a zatem wówczas, gdy dopieszczana przez rządzących grupa podatników miała najbardziej odczuć pozytywne skutki Polskiego Ładu. Może się mianowicie okazać, że wielu z nich poczuje je w niedużym stopniu, mając zysk rzędu niewiele ponad 100 zł miesięcznie, a wielu innych spotka przykra niespodzianka w postaci konieczności dokonania dopłaty podatkowej. Na koniec grupa zyskujących coś więcej na nowym systemie będzie o wiele mniejsza niż wciąż powtarzana liczba 18 mln Polaków, za to radykalnie powiększy się grupa wkurzonych. To wszystko w dodatku w czasach szalejącej inflacji, problemów z surowcami, rozbuchanych cen energii i wciąż trwającej epidemii. Polityczny zysk PiS z Polskiego Ładu może ostatecznie być pomijalny, jeśli wręcz nie ujemny, za to koszt dla gospodarki będzie ogromny. Nawet nie przede wszystkim z powodu dodatkowego obciążenia fiskalnego, ale z powodu skrajnego skomplikowania mechanizmu oraz poczucia niepewności prawa, zniechęcającego do prowadzenia biznesu. Skórka będzie niewarta wyprawki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

Mieszkanie w Polskim Ładzie

Piotr Hofman

Program Polskiego Ładu w całości poświęca jeden z pięciu filarów kwestiom związanym z sytuacją na polskim rynku nieruchomości. Pierwszym postulatem jest „Mieszkanie bez wkładu własnego" – program gwarancji i dopłat do wkładów własnych kredytów hipotecznych dla nieruchomości mieszkaniowych.

Większość Polaków odczuwa niedobór lokali mieszkalnych, który od dekad ma charakter systemowy. Kolejne programy rządowe mają pomóc rozwiązać ten problem, choć zaspokojenie istniejących potrzeb mieszkaniowych może potrwać nawet dziesiątki lat. Według danych GUS liczba mieszkań na 1 tys. mieszkańców wynosi w Polsce 386, podczas gdy w Czechach jest to 465 mieszkań, na Węgrzech 455, a w Niemczech 511.

W ostatniej dekadzie poziom produkcji mieszkaniowej widocznie wzrósł. W 2020 r. było to 222 tys. (rekord od czterech dekad) wobec zaledwie 148 tys. w 2015 r. Za wzrost ten odpowiadają jednak głównie w miarę stabilny poziom budownictwa inwestorów indywidualnych oraz silnie wzrastająca produkcja deweloperska.

W „Mieszkaniu bez wkładu własnego" maksymalna wysokość dopłat ma wynieść 100 tys. zł w przypadku wkładu własnego lub 160 tys. złotych dofinansowania dla rodzin wielodzietnych i osób korzystających z budownictwa społecznego. Wysokość takiego dofinansowania będzie uzależniona od liczby dzieci w rodzinie – kwalifikować będą się rodziny co najmniej 2+2. Dopłata będzie wynosiła 20 tys. PLN za drugie dziecko, 60 tys. PLN w przypadku posiadania trójki dzieci i dodatkowe 20 tys. PLN za każde kolejne dziecko (max. 160 tys. PLN). Program będzie przeznaczony dla osób w wieku 24–40 lat i szacuje się, że programem dopłat objętych będzie ponad 80 tys. beneficjentów (rodzin i singli), a na same bony mieszkaniowe i społeczne rząd przeznaczy ponad 1 mld zł rocznie.

Poprzednie programy rządowe nie mogły cieszyć się wielką popularnością, ponieważ realizowane były w zbyt krótkich okresach czasu.

Propozycje mieszkaniowe Polskiego Ładu wyglądają stabilniej. Mimo wszystko wciąż nie są to rozwiązania idealne.

Owszem, gwarancja zastępująca wkład własny to dużo lepsze rozwiązanie niż finansowanie bezpośrednich dopłat, tak jak było to w przypadku poprzednich programów, które powodowały np. dopasowywanie stawek za metr kwadratowy do limitów.

Dzisiaj problematyczne mogą być kredyty. Kredytobiorcy, którzy będą chcieli skorzystać z obecnego programu „Mieszkanie bez wkładu własnego", nie będą mogli wybrać dowolnego kredytu. Ten będzie bowiem mógł zostać udzielony na nie mniej niż 15 lat. Możliwe, że wcześniejsza spłata kredytu może być niemożliwa. Kolejnym potencjalnym problemem, mogą być ewentualnie narzucone limity cenowe – według algorytmu lokalizacji i liczby mieszkańców. W przypadku deficytu mieszkań powinno się wspierać przede wszystkim ich produkcję, czyli rynek pierwotny (domy budowane indywidualnie i przez deweloperów). Na ceny mieszkań wpływają nie tylko rosnący popyt, lecz także koszty pracy i materiałów budowlanych oraz nieefektywna administracja.

Kluczowe będzie istotne zwiększenie podaży nowych mieszkań, co ograniczałoby presję cenową. Przede wszystkim jednak należy zrobić kooperację państwa z firmami prywatnymi. Firmy deweloperskie przy odpowiednich przepisach mogłyby współpracować przy realizacji rządowych programów mieszkaniowych. Do tego zaś potrzeba uproszczenia przepisów budowlanych oraz odblokowania nowych gruntów inwestycyjnych, zwłaszcza w obszarze miast. Dziś to właśnie ich brak hamuje rozwój rynku mieszkaniowego oraz jest przyczyną wzrostu cen dostępnych gruntów, a ostatecznie mieszkań. Podsumowując – dobrze, że rząd zdaje sobie sprawę z deficytu mieszkaniowego. Pamiętajmy, że budownictwo mieszkaniowe jest strategicznym punktem rozwoju gospodarki. Dlatego należy o nie dbać i minimalizować bariery administracyjne i finansowe do jego dalszego rozwoju. Kierując wsparcie na oba rynki – bankowy i budowlany – rząd bierze na siebie dużą odpowiedzialność. W pewien więc sposób staje się kreatorem wolnorynkowego obszaru gospodarki, którym jest budownictwo mieszkaniowe. I nie da się ukryć, że – patrząc na wzorce Szwecji, Niemiec i Kanady – tego oczekujemy.

eprasa.pl c9911e100d

Z prof. Grażyną Ancyparowicz, członkiem Rady Polityki Pieniężnej
rozmawia Tomasz Cukiernik

Polski Ład umacnia „janosikową" politykę społeczną

FOT. PIOTR MAŁECKI DLA NBP

eprasa.pl c9911e100d

TOMASZ CUKIERNIK: Jak ocenia pani Polski Ład?

PROF. GRAŻYNA ANCYPAROWICZ: Kompleksowa ocena Polskiego Ładu nie jest możliwa przez pojedynczą osobę, bo dokument ten jest bardzo obszerny, ma charakter eklektyczny, a w niektórych fragmentach dotyka niezmiernie istotnych spraw systemowych, co utrudnia jego merytoryczną ocenę. Doraźne, wprowadzane od stycznia 2022 r. zmiany w różnych obszarach gospodarki i polityki społecznej przeplatają się z odległą wizją skutków, które zmiany te mają przynieść w 2030 r., a nawet w jeszcze bardziej odległej perspektywie. Odzyskanie pełnej kontroli nad procesami zachodzącymi obecnie w Polsce, w tym skuteczne zwalczenie inflacji, wymaga szybkiego i znacznego uproszczenia zasad funkcjonowania gospodarki, a Polski Ład – przynajmniej w części dotyczącej rozliczeń obywateli z fiskusem – nie jest niestety krokiem w tym kierunku.

Przechodząc do konkretów: od stycznia wprowadzone zostały ustawy zmieniające zasady opodatkowania osób fizycznych. Zmiany te mają pozostawić w kieszeniach Polaków dodatkowe 17 mld zł. Jak ocenia pani tę reformę?

Owe legendarne 17 mld zł pochodzi zapewne z kontrfaktycznego scenariusza dotyczącego skutków zmian systemowych w podatku od dochodów osób fizycznych. W rzeczywistości w projekcie ustawy budżetowej na 2022 r. wpływy z PIT mają wynieść 67 mld zł, a więc tylko o ok. 4 mld mniej niż w ubiegłym roku. Jeśli spojrzymy szerzej – nie tylko na projekt budżetu państwa, lecz także na cały sektor finansów publicznych – to wyraźnie widać, że mamy do czynienia z tzw. zacieśnianiem polityki fiskalnej, czego przejawem jest wyższy o ponad 25 mld zł wzrost dochodów niż wydatków tego sektora. Oczywiście są to szacunki przyjęte w projekcie ustawy budżetowej, przekazanej do Sejmu jesienią ubiegłego roku. Nie mogą zatem uwzględniać ani kosztów tzw. tarcz antyinflacyjnych, ani skutków korekty rozwiązań przyjętych w ustawie budżetowej i innych aktach prawnych z nią powiązanych.

Skąd taka rozbieżność kwot między ustawą budżetową a deklaracjami rządu?

Ten pozorny paradoks łatwo wyjaśnić. Dodatkowe wpływy z podatku PIT zapewni wzrost nominalnych wynagrodzeń, ale to nie jest ani jedyna, ani główna przyczyna rozbieżności między deklaracjami Polskiego Ładu a ustawą budżetową. Korzystne – jak deklaruje rząd – rozwiązania podatkowe dla 18 mln Polaków spowodowałyby znacznie niższe wpływy z tego podatku w porównaniu z poprzednimi latami. Ubytek ten jest w projekcji tak niewielki, bo zrekompensują go niemal w całości nowe rozwiązania dotyczące składki na ubezpieczenia zdrowotne. Znosząc możliwość pomniejszenia kwoty należnego podatku dochodowego o 7,75 proc. przychodu, wygospodarowano coś w rodzaju „trzynastki" dla budżetu państwa. Innymi słowy, poczynając od 2022 r., każdy uczciwy obywatel odda ministrowi finansów jedną dwunastą swoich rocznych przychodów, tych samych (lub wyższych), które w latach poprzednich pomniejszały kwotę należnego podatku dochodowego, przy czym większość podatników będzie przekonana, że w ten sposób zwiększa nakłady na służbę zdrowia, a nie dochody budżetu państwa.

Generalnie rzecz biorąc, zmiany będą jednak korzystne dla większości obywateli?

I tak, i nie. Wprowadzone od 1 stycznia 2022 r. zmiany w podatku dochodowym od osób fizycznych są korzystne bądź neutralne dla osób nisko uposażonych, ale tylko w krótkim okresie. W miarę wzrostu płac nominalnych będzie malała liczba beneficjentów, a rosła liczba rozczarowanych reformą podatkową. Od 2006 r. utrwaliła się bowiem praktyka utrzymywania progów podatkowych na niezmienionym poziomie i raczej nie należy spodziewać się rewolucji w tej dziedzinie. No, ale jak będzie – pokaże przyszłość. Ważniejsze jest to, że reforma PIT już w momencie wdrażania wzbudziła niepokój wielu środowisk, które otrzymały zaniżone wynagrodzenia i świadczenia z ubezpieczenia społecznego, właśnie z uwagi na niemożność choćby częściowego odliczenia składki zdrowotnej. Rząd na protesty społeczne zareagował nerwowo, wprowadzając ad hoc poprawki, które jeszcze bardziej komplikują system ulg i zwolnień dla tzw. klasy średniej, czyniąc go bardziej zawiłym i mniej transparentnym niż w wersji przyjętej przez Sejm.

Dla kogo nowy system PIT jest korzystny, a w kogo i w jaki sposób najbardziej uderza?

Nowy system podatkowy może być korzystny dla ministra finansów, który – jak powiedziała to dawno temu Wiesława Ziółkowska (członek Rady Polityki Pieniężnej w latach 1998–2004) – chciałby mieć relatywnie wysoką inflację i wysokie wpływy z podatków. Właśnie z tego powodu, w założeniach do ustawy budżetowej, z reguły przyjmuje się nieco zaniżone wskaźniki CPI, aby dzięki wyższym wpływom nominalnym (zwłaszcza z podatków pośrednich, takich jak PTU) uzyskać pewien margines bezpieczeństwa, gwarantujący utrzymanie końcowego wyniku budżetu na ustawowym poziomie. Ta praktyka jest powszechna i niegroźna, pod warunkiem że dynamika cen konsumpcyjnych i opodatkowania nie przekroczy granic tolerancji ze strony społeczeństwa. Przekroczenie tych granic niesie zawsze przykre, a niekiedy groźne następstwa.

Dlaczego Polski Ład z uwagi na przyjęte programy socjalne jest inflacjogenny?

Pełna odpowiedź na to pytanie wymagałaby obszernego wykładu i przywołania wielu autorytetów z zakresu teorii ekonomii, cytowania statystyk. Polski Ład składa się z pięciu głównych filarów, z których każdy może mieć zarówno dodatni, jak i negatywny wpływ na gospodarkę, inflację i nastroje społeczne. Program ten jest wprowadzany w niefortunnym okresie, gdy gospodarka dopiero zaczęła dochodzić do siebie po głębokiej globalnej recesji spowodowanej pandemią, która wciąż trwa i powoduje trudne do przewidzenia reperkusje. Przeciwdziałanie im wymaga kosztownych, szczególnych rozwiązań ukierunkowanych na podtrzymanie egzystencji najsłabszych grup społecznych. Jednak, od kilku lat, po sukcesie programu „500+", w Polsce coraz szerzej wprowadzano świadczenia o powszechnym charakterze, realizowane głównie kosztem zadłużania państwa, a także kosztem presji podatkowej wywieranej na lepiej sytuowane grupy społeczne. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że za klasę średnią uznaje się osoby o niezbyt wysokich (jak na warunki europejskie) dochodach. Polski Ład umacnia tę po części „janosikową" politykę społeczną, coraz bardziej odchodzi od zasady subsydiarności na rzecz forsowania modelu państwa opiekuńczego. Taka polityka utrwala postawy roszczeniowe, pobudza oczekiwania i powoduje dysonanse w życiu społecznym. Jednym z jej następstw jest także to, że prowadzi do zmian

eprasa.pl c9911e100d

w strukturze konsumpcji, zwiększających presję inflacyjną.

Czy dotyczy to również reformy PIT?

Osoby lepiej sytuowane powinny płacić wyższe podatki, to oczywiste, ale wprowadzona w 2006 r. reforma PIT ustanowiła praktycznie jeden próg podatkowy na poziomie ok. 85 tys. zł i tylko dwie stawki podatku: 18 proc. (obniżona do 17 proc.) i 32 proc. Od tego czasu dochód do dyspozycji gospodarstw domowych wzrósł realnie o 167 proc., co powodowało, że coraz większa część podatników średnio uposażonych „wpadała" w drugi próg podatkowy. Reforma tego wadliwego systemu powinna więc polegać na zwiększaniu (przynajmniej w tempie zbliżonym do inflacji) kwoty wolnej, waloryzacji progów i wprowadzenia co najmniej jednej dodatkowej stawki podatkowej dla osób o wysokich dochodach. Tego nie uczyniono. Natomiast od 2016 r. zaczęto ostrożnie podnosić kwotę wolną, czego beneficjentami byli głównie podatnicy utrzymujący się z tzw. niezarobkowych źródeł. W miarę wzrostu dochodów zmniejszały się odpisy na kwotę wolną, a po przekroczeniu pierwszego progu podatkowego kwota wolna całkowicie zanikała.

Nieuwzględnienie kwoty wolnej w algorytmie naliczania podatku nie budziło ostrych sprzeciwów, ponieważ osoby nieco zamożniejsze traciły na tej operacji jedynie po kilkaset złotych rocznie. Jednakże, przy pierwotnych założeniach po podniesieniu kwoty wolnej do 30 tys. zł i wykorzystaniu mechanizmu złotówka za złotówkę, strata dla podatników opodatkowanych górną stawką będzie dotkliwa. Byłaby również (z uwagi na wspomniane wcześniej machinacje wokół stawki zdrowotnej) negatywnie odczuwalna dla podatników mieszczących się w dolnej, 17-procentowej stawce, ale wobec nich zastosowano tzw. ulgę dla klasy średniej, której nie uwzględniono, wypłacając w pierwszych dniach stycznia wynagrodzenia, emerytury i renty. Stąd protesty osób, które otrzymały w ramach reformy PIT niższe wynagrodzenia i świadczenia emerytalno-rentowe. Ich oburzenie to zapewne zaledwie słaby przedsmak tego, co zdarzy się, gdy przyjdzie czas ostatecznego rozliczania PIT za 2022 r. Ale może się mylę.

Rosnące ceny energii elektrycznej i gazu dodatkowo napędzą inflację. Polacy są przerażeni. Kiedy widzi pani szansę na powstrzymanie dalszego wzrostu inflacji?

Wzrost kosztów energii elektrycznej i gazu można oczywiście tłumaczyć błędną polityką prowadzoną w przeszłości, prywatyzacją, niekorzystnymi uwarunkowaniami geopolitycznymi, ocieplaniem klimatu i innymi powszechnie znanymi sofistycznymi argumentami. Jednak dla mnie pozostaje zagadką, dlaczego URE buduje swoje taryfy na bazie stawek spot (podlegających skokowym, spekulacyjnym zmianom), podczas gdy dostawy energii elektrycznej i gazu dla gospodarstw domowych, obiektów użyteczności publicznej i przedsiębiorstw mają charakter długoterminowy, nawet jeśli umowy te są odnawiane w okresach rocznych lub krótszych.

W świetle danych za grudzień obawiam się, że listopadowa projekcja inflacji i PKB może okazać się zbyt optymistyczna

Jak ocenia pani pomysł posła PiS Kazimierza Smolińskiego, by wprowadzić ceny maksymalne na podstawowe produkty spożywcze?

Pan poseł niemal natychmiast wycofał się z tego pomysłu. Na szczęście.

Czy Narodowy Bank Polski we właściwym momencie zaczął odchodzić od polityki akomodacyjnej?

Tak, w opinii profesjonalistów, w szczególności Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Warto uświadomić czytelnikom, że podniesienie stóp banku centralnego w pierwszym momencie zawsze podkręca inflację, bo rosną koszty obsługi kredytu. Koszty te producenci i usługodawcy starają się przenieść na ceny dóbr finalnych. Natomiast w średniej i dalszej perspektywie podniesienie stóp procentowych banku centralnego ogranicza akcję kredytową banków komercyjnych. Strumień pieniądza zasilającego realną sferę gospodarki słabnie, co nieodwołalnie prowadzi do schłodzenia koniunktury, ale niekoniecznie skutecznie hamuje inflację. Dlatego wszelkie zmiany parametrów polityki pieniężnej muszą być wprowadzane rozważnie, niezależnie od presji mediów, opinii środowisk akademickich czy oczekiwań rządu.

Pojawiają się obawy o pogorszenie sytuacji finansowej małych i średnich firm oraz klasy średniej. Rząd stara się temu przeciwdziałać, wprowadzając „tarcze antyinflacyjne". Jaki będzie tego skutek?

To nie są tarcze antyinflacyjne, tylko rozwiązania, które w zamyśle mają przejściowo obniżyć wskaźniki inflacji kosztem zmniejszenia wpływów z podatków pośrednich, a równocześnie poprzez różnego typu dopłaty łagodzić dolegliwość rosnących kosztów utrzymania mieszkań najuboższych gospodarstw domowych oraz umożliwić eksploatację niektórych obiektów użyteczności publicznej. Jest to rozwiązanie doraźne, bo wiadomo, że raczej prędzej niż później musi nastąpić powrót do normalnych stawek PTU, a wraz z tym można spodziewać się skokowego wzrostu uprzednio administracyjnie zaniżanych cen.

Jak długo utrzyma się presja inflacyjna?

Relatywnie wysoka inflacja, która nęka nas od kilku miesięcy, jest wynikiem tak wielu czynników zewnętrznych i uwarunkowań wewnętrznych, że przewidywanie jej wysokości wymagałoby nadprzyrodzonych umiejętności. Mamy do dyspozycji jedynie prognozy, a te z reguły wykorzystują dane wcześniejsze (historyczne) i zakładają kontynuację dotychczasowych trendów, ich ewolucję bądź zmianę wektora. Bardzo trudno jest prognozować zmiany skokowe (czyli szoki), a z tym mamy teraz do czynienia. Bieżącą koniunkturę cechuje to, że niemal wszystkie parametry makroekonomiczne stają się coraz mniej przewidywalne. W świetle danych za grudzień 2021 r. obawiam się, że ostatnia, listopadowa projekcja inflacji i PKB może okazać się nazbyt optymistyczna. Powrót polskiej gospodarki na ścieżkę zrównoważonego wzrostu to tylko jedno z licznych wyzwań, z którymi będziemy musieli zmierzyć się w najbliższych miesiącach. Jednak wychodziliśmy już z gorszych opałów, więc wierzę, że przy odrobinie refleksji towarzyszącej wdrażaniu Polskiego Ładu (pośpiech jest wskazany tylko przy łapaniu pcheł) damy radę pokonać wszystkie trudności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c9911e100d

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polski Łat, czyli Ład z łat

Jakże głęboko polski, wręcz arcypolski jest ten Polski Ład, bo z jakże głęboko polskich – arcypolskich składa się łat. Oczywiście arcypolskich wyłącznie w tym sensie, który jest nam od wieków przypisywany przez wrogów, a z którym chyba żaden Polak nie chciałby, żeby arcypolskość była kojarzona.

I wszystko to zostało osiągnięte – ba, wciąż jest osiągane, bo przecież Polski Ład, jak się okazuje, i to „coraz bardziej" okazuje, wciąż jest in statu nascendi! – w zgodzie ze wszystkimi regułami takiego antyarcypolskiego sposobu postępowania.

Po pierwsze, jako że chodziło o nie byle co, lecz o Polski Ład, czyli w istocie o nowy system podatkowy dla dziesiątków milionów Polaków, zamiast dać sobie dużo więcej czasu – rok, albo i dwa lata – z premedytacją, z pełnym rozmysłem czasu tego dano sobie w sam raz tyle, żeby na nic nie mogło go starczyć – no i, rzecz jasna, nie starczyło!

A zwłaszcza – po drugie! – żeby go nie starczyło na wyszukiwanie i wyszukanie w odpowiednim czasie, czyli jeszcze przed przyjęciem Polskiego Ładu przez Sejm i Senat i podpisaniem przez prezydenta, zwykłych błędów, tych małych i tych dużych, a także wszelakich niespójności, niejasności, kolizji, mniejszych czy większych luk itd., itp. Żeby tego czasu na dogłębne przenicowanie Polskiego Ładu – od początku do końca i z powrotem – nie starczyło przede wszystkim zawsze knującym przeciw rządowi i szukającym dziury w całym politykom opozycji. A przy okazji, by nie starczyło go również ekspertom. Bo i po co mieliby oni wytykać zawsze wszystko najlepiej wiedzącym politykom rządzącym, że tu się pomylili, tam sknocili, a jeszcze gdzie indziej coś korzystnego dla siebie, a niekorzystnego dla obywateli przemycili?

A potem – po trzecie! – wszystko potoczyło się już tak, jak nietrudno było sobie od początku wyobrazić, że się potoczy, czyli ruszyło wielkie, ogólnopolskie łatanie. Najpierw była pierwsza łata, potem – druga, później – trzecia; wszystkie w grudniu 2021 r.! Na domiar, mimo że łaty łatały Polski Ład – jak to w patolegislacji – dopisywane były do przeróżnych ustaw, które akurat uchwalano w parlamencie, więc nietrudno odgadnąć – bałaganu od tego nie ubywało.

A od początku stycznia 2022 r., gdy Polski Ład z polskich łat, czyli dziś już pełną gębą Polski Łat, wszedł w życie – właściwie nie ma dnia, by nie wypatrzono a to kolejnego grubego błędu, a to mniejszej niedoróbki, a to interpretacyjnej niejasności, które wyjaśniać muszą jedna po drugiej państwowe instytucje i ministerstwa – rzecz jasna, jedne orzekając tak, a drugie – siak, czyli jeszcze powiększając i tak wielki zamęt.

I oczywiście już się piszą – znów na kolanie, i już są zapowiadane – jedna po drugiej – kolejne łaty na Polski Łat, które „już", „zaraz", „jeszcze w styczniu, a najdalej w lutym" wszystkie te błędy „oczywiście naprawią". ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Koszt zielonej komuny

Raport analityków banku Pekao, dotyczący kosztów wprowadzenia pakietu „Fit for 55" dla Polski, wywołał nowe napięcia w koalicji. Nic dziwnego, skoro wynika z niego, że z własnych środków Polska musiałaby pokryć do 2030 r. ok. 300 mld euro, czyli ponad 1,3 bln zł według obecnego kursu. To są koszty druzgocące, ale też powinno to być jasne nawet bez konkretnych wyliczeń od razu po zaprezentowaniu założeń pakietu. Na które – to trzeba przypominać – co do zasady zgodził się obecny rząd.

Dlaczego mamy się godzić na ideologiczne przestrajanie naszych upodobań, nawyków, „bo klimat"?

O raporcie napisał „Dziennik Gazeta Prawna", a autorzy tekstu przywołują również opinie ekonomistów twierdzących, że polską gospodarkę mimo wszystko, z trudem, ale jednak stać na wyłożenie tych pieniędzy. A poza tym transformacji energetycznej musimy dokonać i tak. To drugie stwierdzenie jest prawdą – o ile będziemy jej dokonywać we własnym tempie, niepowodującym pauperyzacji Polaków. To pierwsze jest już tylko półprawdą.

Ekonomiści i analitycy patrzą bowiem z makroekonomicznego punktu widzenia i widzą słupki w Excelu. Tymczasem „FF55" to coś więcej niż zwykły makroekonomiczny, skrajnie etatystyczny (bo gwałcący wolnorynkowe mechanizmy) program. To również program inżynierii społecznej i o tym nie możemy zapominać. Nawet gdybyśmy przyjęli, że jakimś cudem Polska będzie w stanie udźwignąć w ciągu ośmiu lat dodatkowy koszt ponad biliona złotych, nie zmienia to faktu, że stałoby się to kosztem ogromnej liczby Polaków, a także małych i średnich biznesów. Mówiąc obrazowo: owszem, jeśli się zarżniemy finansowo, to może damy radę. Tylko jaki mamy w tym interes?

Przede wszystkim zaś – dlaczego mielibyśmy godzić się na ideologiczne przestrajanie naszych upodobań, nawyków, rezygnację z przyjemności, „bo klimat"? O tym zasadniczym aspekcie programu promowanego przez Fransa Timmermansa całkowicie się zapomina, a przecież jasno mówi o tym sam wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej. A to właśnie on sprawia, że „FF55" można nazywać „zieloną komuną", bo tak jak w komunie chodzi o narzucenie nam sposobu życia, którego nie chcemy i który nam nie pasuje. ©℗

eprasa.pl c9911e100d

TEST „DO RZECZY": SOUNDBAR SONOS BEAM GEN 2

Minimalistyczne wzornictwo, kompaktowe rozmiary, wsparcie dla technologii Dolby Atmos i możliwość odtwarzania muzyki z największych serwisów muzycznych – to największe zalety drugiej generacji popularnego modelu Beam amerykańskiej firmy Sonos.

Testowane urządzenie jest dostępne w białym lub czarnym kolorze. Podobać może się zarówno minimalistyczny design, jak i kompaktowe rozmiary (65,1 x 10 x 6,8 cm) urządzenia, które waży zaledwie 2,8 kg. Zmieści się więc nawet pod ekranami, których przekątna niewiele przekracza 40 cali.

Konfiguracja jest banalnie prosta. Beam posiada złącze HDMI, więc połączenie z telewizorem przebiega szybko. Pilota w zestawie nie ma, ale w praktyce w ogóle nie jest potrzebny. Przygotowanie urządzenia do współpracy ze smartfonem odbywa się z wykorzystaniem modułu NFC i również przebiega błyskawicznie. Aplikacja Sonos sprawia, że Beam działa nie tylko jak klasyczny soundbar, ale po połączeniu z siecią wi-fi działa także jako radio internetowe i może odtwarzać muzykę z setek stacji radiowych z całego świata. Oczywiście Beam umożliwia też słuchanie utworów za pośrednictwem serwisów muzycznych, takich jak Apple Music, Deezer, myTuner Radio, Tidal, Spotify, Storytel, TuneIn czy YouTube Music. Można też łatwo słuchać podcastów i audiobooków z różnych serwisów lub ściągniętych wcześniej na smartfona.

Jakość dźwięku testowanego soundbara jest bardzo dobra. Brzmienie jest czyste i pełniejsze niż w pierwszej generacji Beama. Gitarowe solówki, wokal i perkusja brzmią świetnie. Basy także są dość wyraźne, zwłaszcza biorąc pod uwagę rozmiary urządzenia, choć mimo wszystko mogłyby być nieco mocniejsze i głębsze. Oczywiście Beama łatwo można połączyć z bardzo dobrym subwooferem Sonosa, ale taki dodatek w salonie kosztuje już 3899 zł. Testowany soundbar można też łatwo bezprzewodowo połączyć np. z modelem One SL, który kosztuje niecały tysiąc złotych. Dzięki wsparciu technologii Dolby Atmos urządzenie zaskakująco dobrze sprawdza się w charakterze głośnika kina domowego, choć jednoelementowy „zestaw" nie stworzy, rzecz jasna, prawdziwego efektu dźwięku przestrzennego.

Użytkownicy iPhone'ów i iPadów podczas konfiguracji soundbara mogą też skorzystać z funkcji TruePlay (niedostępnej na urządzenia z Androidem), która ułatwia odpowiednie ustawienie głośnika, aby dźwięk najlepiej rozchodził się w konkretnym pomieszczeniu.

Wady? Największą jest zapewne brak możliwości połączenia soundbara ze smartfonem czy z komputerem za pomocą Bluetooth. Kolejną wadę dostrzegą posiadacze starszych modeli telewizorów. Testowany soundbar działa bowiem najlepiej, gdy telewizor obsługuje funkcję ARC, czyli kanał zwrotny audio. Oczywiście w zestawie jest odpowiednia przejściówka, ale brak HDMI ARC istotnie ogranicza funkcjonalność soundbara. Minusem jest także brak obsługi w języku polskim inteligentnych asystentów, czyli Alexy oraz asystenta Google, choć sama aplikacja wydaje się wystarczająca do obsługi tego urządzenia.

Podsumowując, Sonos Beam to bardzo dobry kompaktowy soundbar z możliwością łatwej rozbudowy całego systemu. Za testowane urządzenie trzeba zapłacić 1799 zł. ©℗

Jacek Przybylski

INTELIGENTNY MATERAC

Coway Smart Care Air Mattress to wyjątkowy materac, który ma podnieść komfort snu na nowy poziom. Urządzenie może automatycznie dostosowywać twardość materaca w konkretnej strefie w zależności od wagi oraz pozycji osoby, która na nim śpi. A to oczywiście nie wszystko. Smart Care Air Mattress ma również wbudowany oczyszczacz powietrza, nawilżacz, dozownik relaksujących aromatów oraz samościemniające się oświetlenie, które pomaga stworzyć w sypialni nastrój gwarantujący spokojny i nieprzerwany sen. Gadżet ma trafić na rynek jeszcze w tym roku. Dokładna cena nie jest znana, ale prawdopodobnie na taki materac trzeba będzie wydać ponad 20 tys. zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WAGA Z EKG

Withings Body Scan to najnowsza waga francuskiego producenta, która przy użyciu tradycyjnej technologii bioimpedancji elektrycznej potrafi podać nie tylko uśredniony wynik dotyczący składu całego ciała, lecz także poinformować, ile tłuszczu, mięśni czy wody znajduje się w konkretnych partiach ciała, np. na brzuchu, na nogach czy ramionach. To nie wszystko. Najnowsza waga potrafi również ocenić postawę ciała, zmierzyć tętno, a także zrobić elektrokardiogram (EKG). Na podstawie badania dotyczącego pocenia się stóp urządzenie potrafi także ponoć dokonać analizy układu nerwowego. Oczywiście wyniki można śledzić w specjalnej aplikacji. Waga powinna pojawić się na rynku w drugiej połowie roku. Polska cena nie jest jeszcze znana. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl c9911e100d

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Nohajcy!

Orda Nogajska wzbudzała w XVII w. przerażenie we wszystkich sąsiadujących z nią krajach: w Mołdawii, na Wołoszczyźnie, w Rzeczypospolitej i Moskwie. Byli to bliscy sąsiedzi dawnych Polaków, gdyż koczowali zaraz za granicami, zresztą ustalonymi bardzo płynnie. Od Dobrudży i ujścia Dunaju (a więc terenów dzisiejszej Rumunii) aż do stepów nadczarnomorskich (dzisiejsza Odessa i Mikołajów) i dalej – do ujścia Donu i terenów za Morzem Azowskim (dzisiejszy Mariupol i Rostów nad Donem). Nohajcy znani byli ze swej dzikości, z drugiej jednak strony stanowili niezwykle malowniczy i kłopotliwy zarazem element. Jak pisze Leszek Podhorodecki w swojej pracy o chanacie, stali na znacznie niższym poziomie życia niż Tatarzy krymscy.

Tatarskie gospodarstwo na anonimowej grafice z XIX w. FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Cnoty ani czci u nich nie masz – pisał w drugiej połowie XVI w. Andrzej Taranowski. – Bydła wielkie mnóstwo mają, tak iż u jednego najdzie po dwu i trzech tysięcy owiec, po sto klaczy, krów, wołów, jak więc i wielbłądów po kilkanaście i po kilkadziesiąt, które w zimie jako i lecie trawami po polach żywią".

Nohajcy koczowali w Dzikich Polach i stepach w jurtach z wełny owczej i wielbłądziej, nie mieli stałego miejsca pobytu, gdyż przenosili się z miejsca na miejsce, wypasając stada. Dlatego każda rodzina miała dwa dwukołowe wozy – jedną dla męża i żony, a drugą dla dzieci, zaprzężone w woły lub wielbłądy, na których przewozili jurty z miejsca na miejsce. W namiotach było zresztą miejsce tylko dla najbogatszych ludzi, ich służba i niewolnicy sypiali pod gołym niebem, nawet zimą.

Tatarzy nogajscy, chociaż wyznawali islam, nie bardzo przejmowali się ograniczeniami; nie pościli, nie modlili, jadali wieprzowinę. Ich życie było prymitywne, Giovanni de Lukki, który w 1625 r. podróżował na Krym, opisuje, że chodzili w skórach włożonych na gołe ciało, spodnie nosili bawełniane lub sukienne, czapki futrzane. Żywili się serami, pili kumys albo zsiadłe mleko z wodą, jadali także koninę. Utrzymywali się zaś z hodowli i myślistwa. Przede wszystkim zaś z wypraw wojennych, w czasie których zdobywali niewolników.

Taranowski opisuje dokładnie ich zwyczaje i sposób wyrabiania serów i kumysu. Według jego opisów szyli wory ze skór bydlęcych, wlewali do nich mleko krowie, końskie, owcze i wielbłądzie, kwasili je, a gdy się zsiadło, wylewali na opończe i suszyli na słońcu. Przez cały czas żywili się także byle czym – jadali padlinę i wszystko, co tylko dało się upolować na stepie. Nohaje lub – jak powiadano – nohajcy byli bliskimi sąsiadami Kozaków i w stepach trwała bezustanna podjazdowa wojna o najlepsze tereny, dostęp do wody. Zaporożcy rabowali ich wioski – usłusy, stada, podkradali zwierzęta, nohajcy rewanżowali się małymi wyprawami na tereny Ukrainy i Rusi. Byli to najdzielniejsi żołnierze chanatu, twardzi i wprawieni do boju. To właśnie ich oddziały pod wodzą Tuhaj-beja wsparły w 1648 r. powstanie kozaków Chmielnickiego. Według relacji współczesnych uczestników walk nohajcy nie byli dobrze uzbrojeni – tylko najbogatsi posiadali szable i łuki. Większość przystępowała do boju, tak jak chodziła – w koszulach, kożuchach, uzbrojona w masłaki, czyli prymitywne kiścienie z końskiej lub krowiej szczęki przywiązanej do zwykłego kija. Tak czy owak wzbogacili się na tej wyprawie. Po bitwie pod Korsuniem „odbyła się taka grabież bogactw, że najwięksi biedacy z plemienia tatarskiego, którzy w życiu swoim owczej skóry nie posiadali, przystroili się w futra sobolowe i rysie, tacy zaś, którzy o złocie i srebrze tylko słyszeli, teraz nie zwracając uwagi na złote dukaty, nabrali przedziwnych brył kruszcu, z których każda warta była stu, pięciuset albo i tysiąca złotych" – pisał tatarski kronikarz Senai Hadży Mehmed z Krymu.

Tatarzy nogajscy byli bardzo niebezpiecznym elementem – wielokrotnie wzniecali bunty przeciwko chanom, a nawet łączyli się z Kozakami przeciwko swoim braciom. Jedna z największych rebelii nogajskich wybuchła w 1635 r., wzniecona przez Kantymira, zwanego Krwawym Mieczem, przeciwko chanowi Inajetowi, synowi Gazi Gereja III. Zmagania trwały dwa lata i zakończyły się bitwą stoczoną 9 marca 1637 r. pod Białogrodem, w której chan pokonał niesfornego beja. Kantymir uszedł wówczas do Turcji, gdzie został w końcu zamordowany. Jednak dopiero śmierć chana, który także wezwany został do Konstantynopola i uduszony z rozkazu sułtana Murada IV, położyła kres walkom. Ordy nogajskie przestały istnieć ostatecznie po traktacie w Jassach w 1792 r., kiedy Turcja oddała Katarzynie II zamieszkiwany przez nich Jedysan, carowa zaś nakazała przesiedlenie jego tatarskich mieszkańców na wschód. ©℗

eprasa.pl c9911e100d

KACZKA Z SODZIAKAMI

Pieczona kaczka jest daniem mocno zakorzenionym w kuchni polskiej. Istnieje wiele przepisów na jej wykonanie. Dziś chciałbym zabrać Państwa na kaczkę do Zamościa – miasta z piękną historią i najpiękniejszą starówką w Polsce, jaką widziałem. Miasta, które uznawane jest za perłę renesansu. Właśnie tutaj na dworach ordynackich podawano kaczkę nadziewaną farszem pachnącym ziołami, przesyconym orzechami i owocami. Z racji tego, że uwielbiam łączyć różne odsłony kuchni staropolskiej, dodatkiem do kaczki będą znane na Lubelszczyźnie (skąd pochodzę) placki na sodzie tzw. sodziaki. Zapraszam do wspólnego smakowania kaczki po zamojsku z sosem śliwkowym i sodziakami.

Kaczka: • kaczka (2 szt.) • śliwki suszone (0,2 kg) • mieszanka studencka (0,15 kg) • jajka (2 szt.) • masło (0,5 kg) • pomarańcza (1 szt.) • czosnek (3 ząbki) • rozmaryn świeży, siekany (1 łyżeczka) • do smaku: sól, pieprz, majeranek, cząber mielony

Przygotowanie: Pierwszą kaczkę wytrybuj z kości, tak aby skóra pozostała cała, mięso wyluzuj od kości i posiekaj, skórę dopraw solą i pieprzem. Z drugiej kaczki wyluzuj mięso, a potem posiekaj je i dodaj do reszty mięsa. Śliwki suszone posiekaj i razem z mieszanką studencką podpraż przez chwilę na patelni, następnie ostudź i dodaj do mięsa. Mięso dopraw do smaku przyprawami, w następnym kroku dodaj posiekany czosnek i rozmaryn, a także jajka i wyrób masę. Nafaszeruj doprawioną skórę masą, którą wykonałeś przed chwilą, uformuj kaczkę. Na uformowaną, kształtną kaczkę połóż masło w kawałkach, gałązki rozmarynu oraz pokrojoną pomarańczę, piecz w temperaturze 150 st. C przez ok. dwie godziny, w trakcie pieczenia polewaj masłem.

Sodziaki: • kefir (0,25 l) • soda (1 łyżeczka) • 1 jajko • mąka (0,3 kg) • sól i cukier do smaku • olej rzepakowy lub masło klarowane do smażenia

Przygotowanie: Mąkę połącz z sodą, dodaj kefir i jajka, następnie wyrób ciasto, doprawiając do smaku solą i cukrem. Smaż placki na rozgrzanym maśle lub oleju, po usmażeniu odsącz na ręczniku papierowym.

Sos śliwkowy • śliwki suszone (ok. 0,1 kg) • śliwki węgierki (4 szt.) • masło zimne (2 łyżki) • miód gryczany (1,5 łyżki) • ocet jabłkowy (0,05 l) • rozmaryn świeży (1 gałązka) • wino czerwone (0,15 l) • sos z pieczenia kaczki (2 łyżki)

Przygotowanie: Miód karmelizuj przez chwilę na patelni, następnie dodaj posiekane śliwki suszone i węgierki oraz rozmaryn, przez chwilę podduś i zalej czerwonym winem, octem jabłkowym i sosem z pieczenia kaczki. Całość redukuj do konsystencji sosu, pod koniec dodaj zimne masło. Kaczkę podaj z placuszkami na sodzie i sosem śliwkowym. ©℗

Marcin Sikora – szef kuchni w hotelu Artis & Spa w Zamościu, twórca bloga wcinajpolskę.pl, kulinarny ambasador marki Winiarnia Zamojska.

FOT. ARTLOVE.PL | FOTOGRAFIA Z MŁODŚCI

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

Z mrozu

FOT. ADOBE STOCK

W czasie sierpniowej burzy w nasz dom walnął piorun (owszem, mamy piorunochron) i szlag trafił sporą część urządzeń elektrycznych. Poszły dwa monitory, otwieranie bramy, alarm i tym podobne gadżety elektryczne, bez których można żyć. Tylko jak, powstaje kwestia... Przez parę dni nie było też prądu w lodówce, więc oczywiście po otwarciu drzwi zamrażarki zastałam rozmoczoną miazgę produktów. Od kiedy tam się znajdowały, nie umiałabym powiedzieć, bo nie jestem na tyle perfekcyjną panią domu, żeby umieszczać daty zamrożenia. Więc wyznam szczerze, poczułam nawet ulgę, że muszę teraz wszystko wywalić, nie zastanawiając się, czy to coś jeszcze nadaje się do zjedzenia. I zacząć życie od nowa z pustymi szufladami oraz postanowieniem, że teraz będę już zamrażać tylko z kartką informacyjną. Pożałowałam tylko trochę mrożonych borowików, nad mięsami nie wylałam ani jednej łzy, żurawiny na wigilijny kisiel przepadły.

Powstaje pytanie: Jak długo można przechowywać jedzenie w zamrażarce? Czy na wieczność?

Departament Rolnictwa Stanów Zjednoczonych USDA, coś w rodzaju naszego Ministerstwa Rolnictwa, dba o zdrowie swoich obywateli. W Stanach zamrażanie jest dużo bardziej popularne niż w Europie. Mają gigantyczne lodówki, wiele gospodarstw ma ich kilka, zamraża się wszystko – warzywa, mięsa, obiady, desery. Single, którym się nie chce gotować, w ogóle niczego poza mrożonym nie jadają.

Wiadomo, że jedzenia już przedatowanego nie można zamrażać. Ale czy na przykład mięso bizona raczej przedatowanego, bo sprzed 50 tys. lat, nadaje się do jedzenia? Profesor Dale Guthrie z Uniwersytetu Alaski spróbował, przeżył i stwierdził, że było całkiem smaczne. Nie wiem, czy bym się odważyła, ale parę razy jadłam chleb, który w mrozie przebywał ze dwa miesiące i wciąż czuję się nieźle. Tymczasem wyrok dla pieczywa jest zaskakująco krótki – tydzień. Potem podobno chleb przesiąka zapachami zamrażalnika. Mięsa otrzymały aż do 18 miesięcy łaski, przy czym im większy kawałek, tym może w Arktyce przebywać dłużej. Za to jarzyny – tylko trzy miesiące.

Francuscy doradcy odradzają zamrażanie dań gotowych. Wcale mnie to nie dziwi – we Francji taki proceder uważany jest za symbol amerykańskiego analfabetyzmu kulinarnego. Ciekawe, co na to Picard, wielka sieć głęboko zamrożonych produktów?

Świetnie w mrozie czują się białka, natomiast nigdy, przenigdy nie zamrażajcie żółtek. Chyba że mają być ugotowane. Jak w kuchni molekularnej. ©℗

eprasa.pl c9911e100d

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Polowanie na mistrza

Serbski tenisista Novak Djoković stał się przykładem, a także ikoną sanitarystycznych absurdów. Wjechał do Australii na niepewnych papierach jako ozdrowieniec. Dostał wizę od stanu Wiktoria, którą uchylił urzędnik federalny. Djoković miał być zakażony niedawno, co jako ozdrowieńca wczesnego zwalniało go z obowiązku szczepień. Teraz odbywa się na niego polowanie, które ma pokazać, że zakażony nie przestrzegał zasad distancingu, przytulał się do dzieci i udzielał wywiadów. Ale to są zarzuty do jego odpowiedzialności, nie zaś legalności wjazdu do Australii.

Decyduje więc argument propagandowy i… polityczny. Rząd australijski chce pokazać, że jest równie surowy wobec sportowych celebrytów, co wobec własnych obywateli. Awantura z wpuszczeniem Serba jest dla rządu zarówno sposobem wykazania własnej konsekwencji, jak i odwróceniem uwagi od tego, że obostrzenia… nie działają.

Mamy całe napuszczenia mediów na Serba, nie tylko, by uzasadnić możliwą jego deportację (grozi mu więzienie oraz co najmniej zakaz wjazdu do Australii na trzy lata). No bo Djoković może wyjść na kort i już się spekuluje (napuszcza?) widownię, żeby go wygwizdać jako par excellence odszczepieńca. To czysta polityka, bo procedury sobie, a (stymulowana) wola ludu sobie. Nie bez kozery ukazują się publikacje badań opinii publicznej, która ma być w 80 proc. tego samego zdania co rząd, czyli że „pozostanie Djokovicia w Australii byłoby niebezpiecznym precedensem". Mamy więc przedkortową podgatowkę.

Jak widać, coraz mniej tu chodzi o sport. Te wydarzenia kreują poza tym Djokovicia jako exemplum złego luda dla koronaentuzjastów i idola koronarealistów, którzy chcą wykazać bzdurność działania całego systemu. W Australii zaszczepiło się 97 proc. populacji. Codziennie notuje się nowe rekordy zarażonych, mimo letnich wakacji. Okazuje się jednak, że największym zagrożeniem jest niezaszczepiony Djoković, z negatywnym wynikiem PCR i z testem na przeciwciała. Biorąc te sprawy na serio, wypadałoby stwierdzić, że zwolnienie Novaka Djokovicia przez sąd spowodowało wzrost dobowych zakażeń w Australii z 72 tys. 10 stycznia do 91 tys. 11 stycznia 2022 r. Widać, że jeden niezaszczepiony może rozłożyć cały kraj. Przecież, jak pisze Internet: „Gdyby naprawdę wybuchła globalna pandemia, a rząd australijski był tym naprawdę »przerażony«… nie byłoby tam żadnych turniejów tenisowych!".

Jak mawiał Dyzma: rząd zrobił, co chciał, jak dalej będzie – sami zobaczycie. Nie wiadomo (jeszcze), co zrobi rząd, ale mleko absurdu już się rozlało. Globalnie. Może być tak, że na kort wyjdzie mistrz świata wygwizdany nie za to, że źle gra, ale za to, że się nie szczepił. Jego rywale zaś mogą dostać owacje za wzięcie dawki przypominającej. Mamy więc do czynienia ze sportem w jego sanitarystycznej wersji. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Wsłuchując się w papieża

Święta Bożego Narodzenia i przełom roku to czas wzmożonej aktywności papieża Franciszka. Dziś ośmielę się przyjrzeć kolejnemu wystąpieniu Ojca Świętego, tym razem do dyplomatów akredytowanych w Watykanie.

Analizując treść, pomyślałem, jak to dobrze, że tego rodzaju wypowiedzi nie mają wagi doktrynalnej ani ciężaru nieomylności. Tym razem, jakżeby inaczej, papież zaczyna od pandemii: „Tam, gdzie przeprowadziliśmy skuteczną kampanię szczepień, tam zmniejszyło się ryzyko ciężkiego przebiegu choroby". Dobrze, że Ojciec Święty zwraca uwagę na zależności statystyczne, ale szkoda, że robi to skrajnie wybiórczo. Brakiem rzetelności jest ignorowanie faktu, że tam, gdzie masowo przeprowadzono akcję szczepień, tam silniej dały się we znaki kolejne odmiany wirusa, a liczba zakażeń i hospitalizacji gwałtownie wzrosła. W regionach, w których wdrożono leczenie przyczynowe, np. w niektórych prowincjach indyjskich (tam, gdzie masowo podawano iwermektynę), zachorowalność utrzymuje się na śladowym poziomie.

Franciszek ponadto stwierdza, że „troska o zdrowie jest obowiązkiem moralnym. Niestety, coraz częściej [...] pozwalamy, aby decydowała o nas ideologia [...] oparta na bezpodstawnych wiadomościach lub słabo udokumentowanych faktach. Każde stwierdzenie ideologiczne zrywa więzi ludzkiego rozumu z obiektywną rzeczywistością".

Chciałoby się zakrzyknąć: „Święte słowa!". Jednak czy ignorowanie zależności pokazującej, że im więcej szczepień, tym więcej zakażeń, nie jest właśnie ideologicznym zaślepieniem? Czy cała polityka pandemiczna realizowana przez państwa Zachodu (testy PCR, zaniechanie leczenia przyczynowego, lockdown, masowe szczepienia) nie jest zerwaniem „więzi ludzkiego rozumu z obiektywną rzeczywistością"?

Niestety, papież od początku dołączył do globalnego chóru. Chóru, który używając potężnych form nacisku: korupcji, przemocy, propagandy, walczy z pandemią wbrew nauce i medycynie. Znamienne jest, że jakiekolwiek formy dialogu, polemiki, krytyki lub sprzeciwu tłumione są bezwzględnie wszelkimi możliwymi środkami. Bo właśnie w taki sposób ideologie torują sobie drogę, nie oglądając się na „obiektywną rzeczywistość". Tego Franciszek nie chce zauważyć, choć mówi o dialogu i wzajemnym słuchaniu.

Papież sporo też mówił o imigrantach, ochronie klimatu, o konfliktach. O ochronie życia i ochronie wolności religijnej wspomniał jakby półgębkiem, mimochodem, mówiąc, że istnieją „pewne trwałe wartości". I znów terminy takie jak „dialog", „braterstwo", „konwersja ekologiczna" pojawiły się wielokrotnie, natomiast w całym obszernym wystąpieniu tylko raz pojawia się słowo „Bóg". I nie jako osobiste odniesienie, ale jako cytat z proroka Izajasza. ©℗

eprasa.pl c9911e100d

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Ty! Głuchy jesteś?

Kiedyś to było, co? A teraz to zrobiono takie badanie, że młodzi to nie za bardzo wiedzą, co znaczy na przykład „moralność Kalego". Skąd mają wiedzieć, jeśli nie czytają Sienkiewicza, bo Sienkiewicz z roku na rok staje się podobno coraz bardziej rasistowski? Niby nie żyje, a ciągle się staje. Ciekawe. Kiedyś było też takie określenie „język parlamentarny". I tu młodym wytłumaczę, że oznaczało to kulturę słowa, wypowiedzi, dobór środków leksykalnych dalekich od wulgarności, prostactwa oraz ludyczności. Język ten cechował klasy wykształcone, na przykład kiedyś politycy byli wykształceni.

Tak było kiedyś. Teraz się zmienia. Na przykład europosłanka PiS Beata Mazurek zwróciła się do ministra edukacji Przemysława Czarnka na Twitterze w te słowa: „Hej, Czarnek, Ty głuchy jesteś? Nie trzymaj nas w nieustannej niepewności, tylko miej odwagę udzielić odpowiedzi". Bądźmy sprawiedliwi, pani Beata napisała „Ty" wielką literą, co świadczy jednak o zaakcentowaniu szacunku, niemniej mnie owo zawołanie: „Hej, głuchy jesteś?" skojarzyło się jakoś z przesympatyczną, pełną wigoru sklepową dyscyplinującą klienta: „Hej, ile tej kiełbasy? Głuchy jesteś?". Ale to nie jest wina pani Beaty, tylko moja. Przepraszam. Należy dodać, że minister Czarnek przedstawił zaświadczenie lekarskie, że słuch ma prawidłowy. Serio. Należy także dodać, że w tej szlachetnej potyczce na kłonice chodziło o sprawę małopolskiej kurator Barbary Nowak, która nieopatrznie powiedziała to, co wielu myśli, ale powiedzieć nie można, że ta cała akcja szczepionkowa to może być eksperyment. I za te słowa domagano się wyrzucenia z pracy pani Basi. Wątku nie będę rozwijać, bo niebezpieczny, dodam tylko, że nie jestem głuchy, mogę przynieść zaświadczenie.

Bardzo nieprzyjemna sytuacja spotkała na Twitterze warszawskiego sędziego Tomasza Grochowicza. Sędzia umorzył postępowanie wobec pisarza Jakuba Żulczyka, który w swoim wpisie w mediach społecznościowych nazwał prezydenta „debilem" i w związku z tym był oskarżony o znieważenie głowy państwa. Sędzia Grochowicz uznał, że to znikoma szkodliwość społeczna. Niestety, ludzie źle wychowani i kompletnie nierozumiejący subtelności prawa zaczęli testować wyrok sędziego Grochowicza na sędzim Grochowiczu, nazywając go wprost debilem i twierdząc, że te słowa nie znieważają, że to debata i merytoryczna opinia. O, nie, nie, gagatki! Tak to nie działa. Jest zasadnicza różnica między nazwaniem kogoś „debilem" a nazwaniem kogoś „debilem". Jeśli się nie znacie, to się nie wypowiadajcie, bo sobie jeszcze kłopotów narobicie! ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Podziwiaj bliźniego swego

Małgośka, mówią mi, dość jadów, napisz coś miłego o swoich ideowych wrogach, okaż im tolerancję lub – jak wolisz – po katolsku miłosierdzie. Lubię kreatywne wyzwania, więc przyjęłam „challenge", żeby pogimnastykować mózg i pokazać, że stać mnie na okazanie uznania ponad podziałami.

Co tu kryć, podziwiam Wałęsę, że mieści tak monstrualne ego w jednym, choć niemałym ciele! Podziwiam Tuska za spryt, bo potężną wadę wymowy umie nakryć jeszcze potężniejszymi wadami rozumowania. Podziwiam Spurek za to, że w odwiecznym dylemacie ludzkim – wyboru między sercem a rozumem – wybiera lojalnie głos wegańskiego żołądka. Podziwiam Lempart za umiejętność otaczania się zdolnymi grafikami retuszerami w mediach od ośmiu gwiazdek. Podziwiam żonę Radka Sikorskiego za wierność przysiędze małżeńskiej.

Podziwiam „Wyborczą" za to, że zawsze umie zaskoczyć, bo nawet, gdy myślę, że osiągnęła już dno, to znów jest niespodzianka i parę metrów głębiej. Podziwiam prof. A. Bodnara za znaną nam tylko z hollywoodzkich produkcji odwagę wyznawania publicznie intymnych uczuć admiracji i przywiązania (choć lokować uczucia w RFN to jednak nowość). Podziwiam Macieja Stuhra za twórcze kontynuowanie kariery kabareciarza, nawet jeśli to, co dziś wyrabia, podobno jest na poważnie. Podziwiam Hołownię za to, że on wciąż traktuje swój udział w polityce bardzo serio, podczas gdy ludzie są przekonani, że on dalej fika w telewizyjnym show. Podziwiam Jandę, że nie traci żadnej okazji, żeby teatralnie się zbłaźnić, nawet jeśli jest już po godzinach pracy. Podziwiam Zandberga za zuchwałość pisania o zdrowiu społecznym i szacunku do życia przy jednoczesnym reanimowaniu trupa Karola Marksa. Podziwiam Tokarczuk za rzadko występującą wśród noblistów ekstrawagancję fryzury i jeszcze rzadszą wśród literatów umiejętność zniechęcania do czytania.

Podziwiam rozmach redaktorów „Tygodnika Powszechnego", bo sekularyzują z większą wprawą niż tygodnik „Nie". Podziwiam „osoby LGBTI" za sukces nowej rewolucji kopernikańskiej, dzięki której odkryto, że to rozporek jest w centrum wszechświata. Podziwiam wyznawców sanitaryzmu za radykalizm wiary w misyjną działalność koncernów farmaceutycznych przy jednoczesnym wątpieniu w misyjną działalność KK. Podziwiam dziennikarzy mainstreamowych mediów za umiejętność tańca synchronicznego podług tego, jak im zagrają w Brukseli i Berlinie. Podziwiam naszych rodzimych ojkofobów, unijczyków, totalniaków za to, że zmuszają nas znowu do praktykowania „najtrudniejszego kunsztu – odpuszczania win". ©℗

eprasa.pl c9911e100d

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nie patrz w górę, czyli o lękach

ANDRZEJ NOWAK

Czego się boimy? Podwyżek cen (zwłaszcza energii); utrzymania dawnych, względnie niskich cen energii, które mogłyby przyspieszyć globalne ocieplenie; choroby spowodowanej wirusem; choroby spowodowanej walką z wirusem; przedłużenia obecnych rządów (w Polsce: „Faszystów z PiS" albo w Europie: „postępowej mafii" w Brukseli i Strasburgu); końca obecnych rządów (tam lub tam); inwigilacji przez program Pegasus; inwigilacji przez Facebooka, Google, Amazona i inne największe „zbieracze" danych; populizmu i spotkania z polskimi „Januszami" na plaży, która powinna być wszak zarezerwowana tylko dla europejskich „Julek"; spisku elit, które nami gardzą; „nachodźców", którzy zalewają Europę i nas mogą zalać, zabierając nam spokój, bezpieczeństwo i tożsamość; „ciemnogrodu", który nie chce otworzyć się na bliźnich, na „Innego".

Jedni boją się, że przez pandemię nie wyskoczą na kawkę do Florencji tanim lotem albo nie zaplanują wczasów na Zanzibarze; inni – że przez „pandemię" będą musieli zamknąć sklep czy bar, że stracą pracę i wszystkie oszczędności. Jedni – że „katole" zbyt wolno wymierają i można nie doczekać ich ostatecznego „opiłowania"; inni – że neobarbarzyńcy/neomarksiści wytępią do reszty ślady chrześcijańskiej tradycji, obyczajowości, kultury, religii samej. To, co dla jednych może być spełnieniem marzeń, dla innych jest koszmarem. Nawet nie jestem pewny, czy łączy nas wszystkich strach przed końcem ludzkiego świata. Przecież niektórzy ideolodzy końca „antropocenu" (jak nazywa się czas, w którym człowiek uzyskał wpływ na środowisko naturalne) wzywają, by nie mieć dzieci i przybliżyć wreszcie kres najbardziej pasożytniczego gatunku – ludzkiego, zapewniając piękną przyszłość bakteriom, lemingom i karaluchom.

Ale co będzie wtedy, kiedy zniknie cała Ziemia i wszystko, co na niej mieszka? To pytanie przywołuje film „Nie patrz w górę". Miał w grudniu swoją premierę; zebrał gwiazdorską obsadę: z Meryl Streep w roli żeńskiego odpowiednika prezydenta Trumpa, Leonardo DiCaprio i Jennifer Lawrence w rolach uczonych, którzy odkrywają, że Ziemi zagraża zbliżająca się olbrzymia kometa, wreszcie Marka Rylance'a w roli bilionera manipulującego swoją pychą i chciwością rząd USA, a zarazem przypisującego sobie z bezgranicznym poczuciem wyższości rolę zbawcy ludzkości (odpowiednik Billa Gatesa i Elona Muska w jednym). Można ten film odebrać jako jeszcze jedną głupawą komedię o zagładzie ludzkości. Lewacka krytyka, która dominuje od „Guardiana" do Filmwebu i z powrotem, już jednak oceniła ten film jako słaby i niebezpieczny zarazem. Dlaczego? Przecież można go potraktować jako szyderstwo z Trumpa i jego zwolenników. Ale jednak nie ma tu dobrego demokraty, który by tworzył kontrast dla republikańskiej karykatury. Filmowy „Trump" (Streep) swoim podporządkowaniem symbolowi największych korporacji medialno-elektronicznych przypomina jako żywo raczej Bidena, a w każdym razie demokratyczny establishment, murem stojący za GAFA (Google, Amazon, Facebook, Apple) i ich interesami... Ważniejsze jest to, że film ten obnaża całkowite samozniszczenie roli mediów jako czwartej władzy, kontrolnej wobec polityków i budującej kulturę obywatelską. Media oparte na systematycznym zidioceniu, zdominowane przez wykresy „klikalności", budowane w bańkach nienawiści i pogardzie do wszystkich tych, którzy żyją poza ich bańką, oraz na zachwycie dla doskonałości mieszkańców własnej bańki (BRAWO JA!) – nie są w stanie reagować na rzeczywistość. Chcą ją tylko kreować. A kiedy przychodzi śmiertelne zagrożenie z rzeczywistości niewykreowanej przez media, są gotowe to wyśmiać, potraktować jak polityczną intrygę wroga albo też jako okazję do zarobku dla korporacji, której są częścią (na strachu można znakomicie zarobić).

Tu nie ma, jak w tylu innych filmach amerykańskich, dobrego „New York Timesa" czy innej szlachetnej redakcji, która swą odwagą i siłą wpływu zarazem przebija się przez kłamstwo polityków czy wielkiego biznesu. Tu media są tylko częścią wielkiego biznesu i wielkiego bezsensu. W poruszający sposób wyraża szok wywołany taką konstatacją przemowa głównego bohatera (DiCaprio): „Co się z nami stało? Dlaczego nie umiemy już ze sobą rozmawiać?".

Nadchodzi zagłada z kosmosu. Ale można ją wykorzystać, wzbogacić się na niej. I jednocześnie uciec przed nią. To jest myśl takich „zbawców" jak filmowy odpowiednik Gatesa/Muska. Oczywiście takiego „zbawienia" nie wystarczy dla wszystkich… To jest raczej system ostatecznej segregacji: na wybranych (elitę, która zostanie ewakuowana do nowego, wspaniałego świata) i resztę, której zostaje przyjemność seksu i używek do końca. Rychłego.

To nie jest oczywiście film religijny. Taki nie miałby szans na dystrybucję w Netflixie. A jednak najbardziej przejmującą w nim sceną jest modlitwa w kręgu rodzinnym – do Boga. Z uznaniem pychy ludzkiej za zasługującą na karę, ale też z prośbą o łaskę. ©℗

eprasa.pl c9911e100d

ARMIA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Kiedy się ostatnio biłeś? Pytam przede wszystkim facetów. No więc kiedy? W podstawówce, w ogólniaku czy niedawno w knajpie lub po meczu? Chodzi o normalne naparzanie się pięściami i z kopa, gołymi rękami lub z kijem – obojętne – pytam, kiedy to było.

To jest pytanie istotne, bo kto bił się tak dawno temu, że już nawet nie pamięta kiedy, ten nie nadaje się do bójki. I nie chodzi o to, że nie pamięta techniki walenia pięścią w nos, chodzi o to, że nie pamięta WALKI jako takiej i będzie się krępował uderzyć, w obawie, że uszkodzi lub zabije, będzie więc odruchowo stosował uniki tam, gdzie należy atakować.

Są na mojej wiosce – zarówno tu, w USA, jak i w Polsce – takie typy, które widuję z rozkwaszoną gębą, bo się właśnie bili. Tak – najczęściej pijacy, ale nie tylko. W Polsce spotykam w moim kościele mężczyznę po osiemdziesiątce, który też czasami ma rozkwaszoną gębę. Znamy się z czasów, gdy był ochroniarzem ks. Jerzego Popiełuszki. W młodości był zawodnikiem judo i ma I dan. To w nim zostało i umie się bić; nie zwiewa przed napastnikiem. Bo tu nie chodzi o technikę ani o sprzęt – tu chodzi o ducha walki, o podstawową umiejętność wejścia w zwarcie. Możesz się bać, ich może być więcej lub pojedynczy przeciwnik może być obiektywnie większy i lepszy od ciebie, i od początku wiesz, że cię pokona, pobije, ale mimo to potrafisz stanąć do walki – o to chodzi.

Ten facet z kościoła przyszedł kiedyś na mszę z obitą gębą, a miał już wtedy skończone 70 lat. Pytam, kto go pobił, a on patrzy na mnie spokojnie i mówi: „Nikt. Nikt mnie nie pobił. To ja musiałem wystawić jednego młodziaka z tramwaju na bruk, bo zachowywał się agresywnie wobec pań".

Zrobił to bez oglądania się na swój wiek i bez oglądania się na to, że ten młodziak silniejszy i być może też ma czarny pas.

***

„Kiedy się ostatnio biłeś?" – to pytanie kluczowe. Nie chodzi o sprzęt, nie chodzi o wiek oraz o położenie na pozycji wygranej czy przegranej, lecz o to, czy podejmiesz walkę czy raczej będziesz odruchowo stosował uniki.

Kopacz, w czasach, gdy była premierem RP, powiedziała, że w razie ataku schowałaby się w domu. A dziś, gdy widzę ministra Błaszczaka i akurat nie pokazują jego nóg, zastanawiam się zawsze, czy występuje w kapciach. Ten chłop nie umie się bić – zakładam się o tysiąc dolarów, że nie bił się ostatnio i nie pamięta, kiedy to robił, oraz o drugi tysiąc, że akurat on nie bił się nigdy. W podstawówce był grzecznym chłopcem i wobec agresywnych kolegów stosował uniki, a nie fangę w nos. Ktoś taki – i nie chodzi osobiście o Błaszczaka, lecz o typ osoby – ktoś taki nie nadaje się do prowadzenia wojny i kompletnie absolutnie i nigdy nie nadaje się na przywódcę armii ani nawet na ministra.

Z kolei nasze Ministerstwo Obrony Narodowej nie nadaje się do obrony, bo już w samej nazwie widać, że to instytucja w kapciach. Sprawy miałyby się inaczej, gdybyśmy mieli Ministerstwo Wojny. Wojna może być obronna, ale nie może polegać wyłącznie na obronie, na unikach i na negocjacjach pokojowych oraz na obradach z sojusznikami. Na wojnie musisz się bić, musisz umieć zaatakować, musisz umieć wysłać żołnierzy na śmierć.

W polskiej armii mamy takich, którzy bić się potrafią, mamy elitarne jednostki i wybitne postaci. Mamy takich, którzy potrafiliby strzelić prosto w twarz lub wydłubać oko gołym palcem, lub zrobić to samo na odległość (za pomocą odpowiedniego sprzętu), ale nasza armia jako całość nie umie się bić, bo… nie bije się, lecz stacjonuje. To nie jest wina naszej armii, nie wojskowych, to wina polityków.

***

Putin bił się nieraz i bije do dziś. Jesienią skończy 70 lat, a wciąż pojawiają się filmy z jego treningów judo. Ma czarny pas – to na pewno – a ponieważ doszedł do VI dana, ma nawet pas biało-czerwony, ale być może ten dostał już trochę „po znajomości". W dzieciństwie był podwórkowym chuliganem, potem pracował w KGB, czyli umie zabijać, a odkąd został przywódcą Rosji, stale prowadzi wojny. I nie chodzi o wojny słowne, lecz o te prawdziwe, w których giną ludzie. Czyli umie się bić. Umie zabić i nie krępuje się tego robić.

Donald Trump też umie się bić. Był chuliganem i ojciec posłał go do szkoły kadetów po to, by tam go wyprowadzili na ludzi. Został zawodnikiem amerykańskiego futbolu – to nie judo, ale po treningu często wracasz z rozkwaszoną gębą lub zdrowo obity. Po szkole Trump pracował w biznesie i przez całe swoje życie toczył i toczy nadal walki i wojny: z konkurencją, z urzędasami, z politykami, a gdy został prezydentem, nie bał się wejść w zwarcia militarne po to, by zaprowadzić pokój. Biden – cała kariera w kapciach, a obecnie w papuciach.

***

„Kiedy się ostatnio biłeś?" – to pytanie dotyczy nie tylko pojedynczych osób, lecz także narodów oraz ich armii.

Armia rosyjska potrafi zabijać, potrafi się bić i robi to stale. Podobnie w Chinach, w Korei, Iranie, Turcji. Amerykańska nadal potrafi zaatakować, ale wyraźnie słabnie. Coraz trudniej znaleźć chętnych do wojska, a z tych, którzy się zgłaszają, tylko niewielki procent (25–30) nadaje się na żołnierzy, a nie na kucharzy. Liczebność armii USA spada, bo nie ma skąd zdobyć uzupełnień.

A w Polsce? Mamy armię czy tylko wojskowych, czy co? Nie toczyliśmy żadnej wojny od dawna (misje pokojowe to nie jest wojna), więc nie umiemy się bić i tyle. Nie szkolimy mężczyzn, odebraliśmy społeczeństwu broń, siedzimy na sofach i ogromna większość z nas nie umie odpowiedzieć na pytanie: „Kiedy się ostatnio biłeś?". Nasze przygotowanie na czas wojny jest zerowe. ©℗

eprasa.pl c9911e100d

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
PAWEŁ LISICKI
„SYSTEM DIABŁA”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~919 ZŁ~~

341,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 578 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c9911e100d

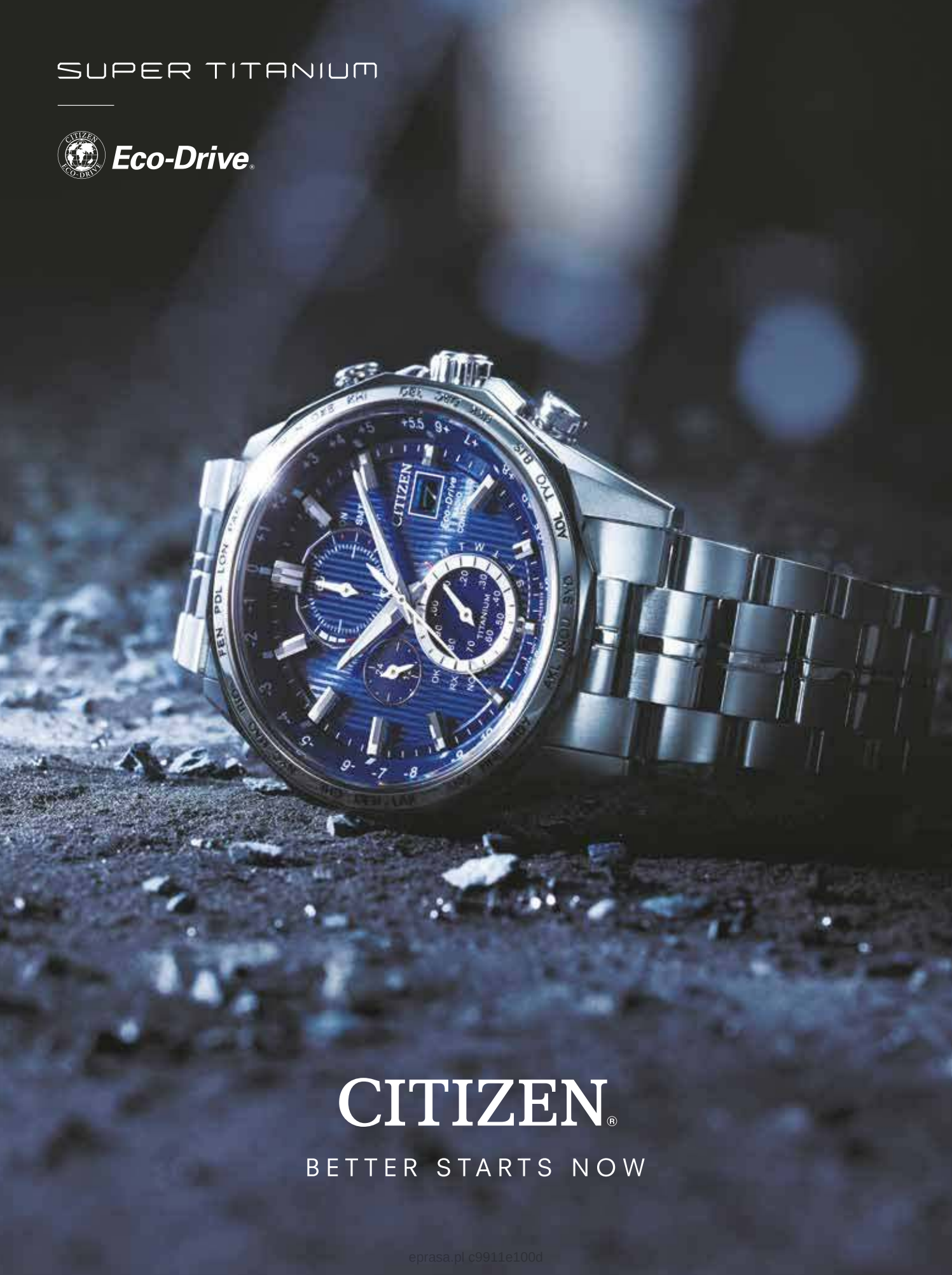

eprasa.pl c9911e100d